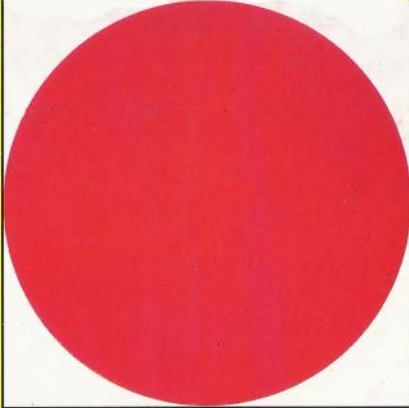
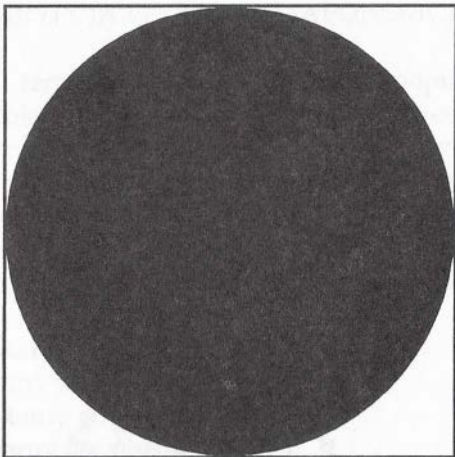


MISHIMA YUKIO



ZŁOTA PAGODA

BIBLIOTEKA JAPOŃSKA



**MISHIMA
YUKIO**

**ZŁOTA
PAGODA**

Przełożyła z japońskiego
ANNA ZIELIŃSKA-ELLIOTT



WARSZAWA 1997

Rozdział I

Kiedy byłem dzieckiem, ojciec często opowiadał mi o Złotej Pagodzie.

Urodziłem się na odludnym cyplu wysuniętym w Morze Japońskie, na północny wschód od Maizuru. Mój ojciec nie pochodził stamtąd, lecz z Shiraku, przedmieścia we wschodniej części Maizuru. Namówiono go, by został duchownym. Potem został kapłanem w świątyni położonej na oddalonym cyplu, ożenił się z miejscową dziewczyną i urodziłem się ja.

W okolicach przylądka Nariu nie było odpowiedniej szkoły, tak więc wkrótce musiałem opuścić dom rodziców i zamieszkać u wuja w rodzinnym miasteczku ojca. Zacząłem uczęszczać do miejskiego gimnazjum w Maizuru Wschodnim.

Miasteczko ojca było pełne światła. Jedynie w listopadzie i grudniu zdarzało się, że nawet gdy na niebie nie było ani jednej chmurki, mieliśmy po kilka przelotnych deszczów dziennie. Myślę, że może właśnie temu zawdzięczam moje zmierne usposobienie.

W majowe popołudnia wracałem ze szkoły, siadałem w moim pokoju na piętrze i patrzyłem przez okno na wzgórze po drugiej stronie. Porośnięte wiosenną zielenią zbocza odbijały promienie zachodzącego słońca i wyglądało to tak, jakby ktoś ustawił tam złoty parawan. Patrząc na te wzgórza, wyobrażałem sobie Złotą Pagodę.

Prawdziwą Złotą Pagodę widywałem oczywiście na różnych zdjęciach i w podręcznikach, ale w moim sercu niepodzielnie panował obraz Pagody z opowiadań ojca. Ojciec

nigdy nie wspomniał, że Złota Pagoda rzeczywiście była pokryta złotem, mówił tylko, że na świecie nie istnieje nic piękniejszego. Znaki, jakimi pisane były słowa „Złota Pagoda”, a nawet samo ich brzmienie, wyryły się w moim sercu. Nic nie mogło się równać ze Złotą Pagodą.

Gdy tak przyglądałem się połom lśniącym złotem na zboczach dalekich wzgórz, byłem przekonany, że to niewidzialna Złota Pagoda opromienia je swym blaskiem. Przełącz Kichizaka, która oddziela prefekturę Fukui od Kioto, leży dokładnie na wschód – to właśnie nad nią wschodziło słońce. I choć Kioto znajduje się po przeciwnej stronie, ja wierzyłem, że to Złota Pagoda unosi się w promieniach słońca znad wzgórz w poranne niebo.

W ten sposób Złota Pagoda wszędzie mi się ukazywała, mimo że naprawdę nigdy nie było jej widać. W tym przypominała mi tutejsze morze. Zatoka Maizuru była oddalona od Shiraku zaledwie o jakieś pięć kilometrów, lecz przesłaniały ją góry. Jednak w tej okolicy jakoś zawsze czuło się obecność morza. Czasem wiatr przynosił jego zapach, a kiedy było wzburzone, uciekające mewy obsiadały okoliczne pola.

Ponieważ fizycznie byłem słaby, zawsze przegrywałem w biegach czy w ćwiczeniach na poręczy. Poza tym od urodzenia jąkałem się i dlatego byłem raczej skryty i ostrożny. Wszyscy także wiedzieli, że wychowałem się w świątyni buddyjskiej. Żli chłopcy wyśmiewali się ze mnie – udawali mnichów, którzy jękając się, recytują sutry. W jednej książce była historia o jękającym się detektywie. Specjalnie bardzo głośno czytali mi fragmenty, w których się jękał.

To jękanie oczywiście stanowiło pewną barierę między mną a światem. Nigdy nie mogłem wykrztusić pierwszej litery. Była jak zamek w drzwiach, oddzielających mój świat wewnętrzny od świata zewnętrznego. I ten zamek nigdy nie chciał się łatwo otworzyć. Ludzie zazwyczaj swobodnie posługują się słowami i w ten sposób bez trudu otwierają

drzwi między tymi dwoma światami, mogą nawet otworzyć je na oścież, ale mnie się to nigdy nie udawało. Mój zamek był kompletnie zardzewiały.

Gdy jąkała usiłuje wykrztusić ten pierwszy dźwięk, męcząc się i denerwując, przypomina trzepoczącego się ptaka, który stara wyrwać się z pułapki w owym wewnętrznym świecie. Kiedy w końcu mu się uda, jest już za późno. To prawda, że czasem rzeczywistość zewnętrznego świata przystaje na chwilę i czeka, aż uda mi się uwolnić z pułapki. Ale ta czekająca rzeczywistość traci swoją świeżość. Kiedy wreszcie z trudem docieram do świata zewnętrznego, już coś w nim zmieniło kolor, jest nieostre, niewyraźne... i rozpościera się tam tylko jedyna rzeczywistość odpowiednia dla kogoś takiego jak ja; już nie tak świeża, tylko lekko nadgniła.

Łatwo sobie wyobrazić, że z tego powodu rozwinąłem w sobie dwa przeciwstawne rodzaje żądy władzy. Bardzo lubiłem czytać życiorysy wielkich tyranów. Gdybym ja – jąkający się i małomówny – był tyranem, moi poddani żyliby w ciągłym strachu, starając się z mego wyrazu twarzy odgadnąć, w jakim jestem humorze. Nie byłoby potrzeby uzasadniać mego okrucieństwa potoczystą, jasną mową. Moje milczenie usprawiedliwiłoby wszystkie okrucieństwa. Cieszyłem się na myśl o tym, jak karałbym, jednego po drugim, wszystkich pogardzających mną nauczycieli i kolegów, ale jednocześnie sprawiało mi radość wyobrażanie sobie, że jestem artystą obdarzonym spokojną, czystą wizją, królem wewnętrznego świata. I choć cielesną powłokę miałem mizerną, moje życie wewnętrzne było znacznie bogatsze niż innych ludzi. Czyż nie jest naturalne, że chłopiec z trudną do ukrycia wadą uważa siebie za człowieka wybranego? Wydawało mi się, że świat szykuje dla mnie w przyszłości jakąś misję.

Przypominam sobie pewne wydarzenie. Gimnazjum miejskie w Maizuru Wschodnim miało wielkie boisko, oto-

czone łagodnie falującymi górami, a budynek szkolny był nowy i jasny.

Pewnego majowego dnia jeden z absolwentów, który teraz był studentem Wydziału Inżynierii Wojskowej Akademii Morskiej w Maizuru, dostał akurat przepustkę i przyjechał w odwiedziny do swojej starej szkoły.

Był opalony, spod daszka głęboko nasuniętej na czoło mundurowej czapki wystawał okazałych rozmiarów nos, słowem, od stóp do głów – wzór młodego bohatera. Otoczony wianuszkiem młodszych uczniów, opowiadał o trudach życia w wojskowej dyscyplinie, ale mówił takim tonem, jakby to życie w rzeczywistości było luksusowe i wspaniałe. Cały promieniał z dumy i choć był taki młody, wiedział już, jak udawać fałszywą skromność. Wypinał pierś odzianą w szamerowany mundur, jakby to był galion na dziobie okrętu, nieustraszenie prującego wzburzone fale. Siedział na kamiennych schodkach prowadzących na boisko, wśród grupki zasłuchanych uczniów. Na klombie opadającym ku boisku rosły wiosenne kwiaty – tulipany, groszek, anemony i maki. Magnolia nad jego głową rozpościerała gałęzie obsypane białymi kwiatami.

Zastygli w bezruchu mówiący i słuchacze wyglądali z daleka jak jakiś pomnik. Siedziałem sam na ławce przy brzegu boiska, mniej więcej dwa metry od nich. Tak się zwykle zachowywałem. Tak się zachowywałem w stosunku do majowych kwiatów, do noszonych z dumą mundurów i do wesołego śmiechu. Młody bohater, zamiast skupić się na swoich wielbicielach, musiał zwrócić uwagę na mnie. Najwyraźniej nie ugiąłem się przed jego majestatem i to zraniło jego dumę. Zapytał chłopców, jak się nazywam, i zawołał mnie, choć wcale się nie znaliśmy.

– Hej! Mizoguchi!

Spojrzałem mu prosto w oczy, ale się nie odezwałem. W jego uśmiechu skierowanym ku mnie kryła się fałszywa łaskawość władcy.

– Nie odpowiadasz? Jesteś niemową?

– Jajajajakam się – odpowiedział w moim imieniu jeden ze słuchaczy i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Szyderczy śmiech jest oślepiający. Ten okrutny śmiech kolegów, tak typowy dla chłopców w tym wieku, zabłysnął w moich oczach jak listowie, od którego odbiło się światło.

– Co? Jąkasz się? Może wstąpiłbyś do Akademii Morskiej? Przetrzepaliby ci skórę i zaraz by jąkanie przeszło.

Nie wiem, jakim cudem udało mi się od razu i wyraźnie odpowiedzieć. Słowa popłynęły jedno za drugim, natychmiast, niemal mimowolnie:

– Nie wstąpię. Ja zostanę mnichem.

Wszyscy zamilkli. Młody bohater pochylił się, zerwał źdźbło trawy i włożył je do ust.

– Taak? W takim razie za kilka lat, kiedy trzeba mnie będzie pogrzebać, może i ja będę potrzebował twoich usług.

Tego roku rozpoczęła się wojna na Pacyfiku.

Właśnie wtedy niewątpliwie coś sobie uświadomiłem. Uświadomiłem sobie, że powinienem wyciągnąć ramiona w stronę tego ciemnego świata i czekać. Wkrótce i te majowe kwiaty, i mundury, i złośliwi koledzy, wszystko do mnie przyjdzie. Miałem świadomość, że pewnego dnia wszystko dostanie się w moje ręce. Chwycę ten świat u podstaw i wycisnę. Jednak dla młodego chłopca taka świadomość nie może stać się powodem do dumy. Za duży ciężar. Powód do dumy powinien być lżejszy, weselszy, dobrze widoczny, błyszczący. Chciałem czegoś widocznego. Czegoś, z czego każdy mógłby być dumny. Czymś takim był na przykład krótki miecz – marzenie każdego uczniaka, wiszący u boku tego studenta. Plotka głosiła, że studenci Akademii Morskiej skrycie używają tych mieczy do ostrzenia ołówków, ale mnie używanie takiego imponującego symbolu do codziennych czynności wydawało się czymś bardzo na pokaz.

Student zdjął kurtkę mundurową i powiesił ją na pomalowanym na biało ogrodzeniu. Także spodnie i koszulę...

Otoczone kwiatami ubranie wydzielalo woń potu młodego chłopaka. Pszczoły wzięły tę białą koszulę za kwiat i obsiadły ją całą gromadą. Ozdobiona złotym zygzakiem czapka, zawieszona na słupku ogrodzenia, wyglądała tak samo jak przedtem na głowie studenta, nasunięta głęboko na oczy. Student poszedł na matę za szkołą, by spróbować się w zapasach, wyzwany przez młodszych kolegów.

To porzucone ubranie przypominało grób żołnierza, który zginął śmiercią bohatera. Bujne majowe kwiaty tylko wzmaczały to wrażenie. Czapka z czarnym, błyszczącym daszkiem, wiszące obok skórzany pas i miecz. Oddzielone od ciała – emanowało z nich jakieś liryczne piękno, pełne jak wspomnienie – wyglądały jak pamiątki po młodym bohaterze.

Upewniłem się, że w pobliżu nikogo nie było. Od strony maty zapaśniczej dobiegła wrzawa. Wyjąłem z kieszeni zarzewiały nóż do temperowania ołówków, podkradłem się do ogrodzenia i zrobiłem kilka brzydkich cięć na spodzie czarnej pochwy tego pięknego miecza.

Po przeczytaniu tej historii niektórzy być może uznali mnie za poetycznie nastrojonego chłopca. Ale ja nie prowadziłem nawet żadnych zapisków, a co dopiero mówić o pisaniu wierszy. Nie czułem potrzeby, by to, w czym byłem gorszy od innych, nadrabiać tym, w czym byłem lepszy. Innymi słowy, byłem zbyt dumny, by zostać artystą. Tyrani i artyści pozostawali w sferze marzeń i zupełnie nie miałem ochoty, by naprawdę zabrać się do czegoś i próbować coś osiągnąć.

Ponieważ moim jedynym powodem do dumy był fakt, że ludzie mnie nie rozumieją, nigdy nie czułem potrzeby, by próbować innym wytłumaczyć, co czułem. Myślałem, że los odmówił mi zdolności widzenia tego, co widzieli inni. Moja samotność rosła i przybierała z dnia na dzień, jak tucznik.

Nagle przypomniałem sobie tragiczne wydarzenie, jakie miało miejsce w naszej wsi. Mimo że wcale nie byłem w nie zamieszany, nie opuszczało mnie przekonanie, że się do niego przyczyniłem, a nawet brałem w nim udział. Dzięki niemu nagle stanąłem twarzą w twarz ze wszystkim – z życiem,

z cielesnością, zdradą, nienawiścią i miłością. A moja pamięć z przyjemnością odrzuciła to, co było szlachetne i dobre.

O dwa domy od domu mojego wuja mieszkała piękna dziewczyna. Na imię było jej Uiko. Miała duże jasne oczy. Zachowywała się bardzo wyniośle, pewnie dlatego, że pochodziła z zamożnej rodziny. Wszyscy strasznie się nią przejmowali, ale ona trzymała się zawsze na uboczu i nie wiadomo było, co właściwie myślała. Uiko była jeszcze pewnie dziewczicą, ale zazdrosne kobiety plotkowały, że musi być bezpłodna, bo bezpłodne kobiety tak właśnie się zachowują. Uiko skończyła właśnie żeńskie gimnazjum i zaczęła pracować jako pielęgniarka-ochotniczka w wojskowym szpitalu w Maizuru. Nie było to daleko i do pracy dojeżdżała na rowerze. Wychodziła z domu jeszcze przed świtem, ponad dwie godziny wcześniej niż my, licealiści.

Pewnej nocy leżałem pochłonięty melancholijnymi wyobrażeniami o ciele Uiko i nie mogłem usnąć. Po ciemku wyslizgnąłem się z łóżka, włożyłem tenisówki i wyszedłem w letnią ciemność wczesnego poranka. Tej nocy nie po raz pierwszy myślałem o ciele Uiko. Myślałem o nim od czasu do czasu, aż stopniowo te myśli utrwaliły się i utworzyły pewną całość. I tak jak ten ciąg myśli, ciało Uiko przerodziło się w określony kształt, biały i prężny, wonny i pogrążony w cieniu. Myślałem o moich gorących palcach, które go dotykały. I o elastyczności, którą czuły. I o zapachu przypominającym pyłek kwiatowy.

Biegłem drogą pogrążoną w mroku. Nie potykałem się o żadne kamienie, prowadziła mnie ciemność.

Droga rozszerzała się i wiodła do małej osady Yasuoka, należącej do wioski Shiraku. Rosło tu wielkie drzewo keyaki*. Pień był mokry od rosy. Ukryłem się za nim i czekałem na

* Keyaki, *Zelkova Serrata Makino* – drzewo szlachetne, występuje w Japonii, Korei i Chinach; sadzone w ogrodach, alejach, również jako osłona przed wiatrem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Uiko; powinna nadjechać od strony osady. Czekałem bez żadnych określonych zamiarów. Przybiegłem tu zdyszany, ale gdy trochę odpocząłem pod drzewem, zdałem sobie sprawę, że właściwie nie wiedziałem, co dalej robić. Ponieważ jednak zawsze żyłem niejako bez związku z zewnętrznym światem, wyobrażałem sobie, że jeśli nagle się w nim znajdę, wszystko będzie łatwe i możliwe.

Poczułem, że komar uciął mnie w nogę. Zaczynały piąć koguty. Wyrzuciłem na drogę. W dali coś zajaśniało. Myślałem, że to pierwsze promienie świtu, ale to była Uiko. Jechała na rowerze; z przodu miał światło. Zbliżał się bezszelestnie. Wybiegłem na drogę. Rower zatrzymał się gwałtownie.

Wtedy poczułem, że zamieniam się w kamień. Moja wola, pożądanie – wszystko skamieniało. Między mną a światem zewnętrznym nie było żadnego związku. Nadal otaczał mnie swoim nieruchomym bytem. Wybiegłem nocą w białych tenisówkach z domu wuja, dotarłem aż do tego drzewa i okazało się, że ciężko dysząc, biegłem tylko we własnym świetle. Kontury dachów rysujące się niewyraźnie w ciemności, czarne pnie drzew, szczyty wzgórz pokrytych zielenią, nawet stojąca przede mną Uiko – wszystko było całkowicie bez znaczenia. Rzeczywistość znalazła się tutaj bez mojego udziału. Ta wielka, ciemna, pozbawiona znaczenia rzeczywistość została mi dana i napierała na mnie z nieznaną, ogromną siłą.

Jak zawsze pomyślałem, że w tej sytuacji słowa będą jedynym ratunkiem. To takie typowe dla mnie. Kiedy trzeba działać, ja poszukuję słów. A ponieważ słowa nie wypływają gładko z moich ust, skupiam się na mówieniu i zapominam o działaniu. Zawsze uważałem, że wspaniałemu działaniu powinny towarzyszyć wspaniałe słowa.

Nie patrzyłem na nią, ale wydawało mi się, że Uiko, która z początku się przestraszyła, zobaczywszy, że to tylko ja, wpatrywała się w moje usta. Z pewnością wpatrywała się przez mrok w ten bezsensownie poruszający się, ciemny mały otwór, w ten brzydki mały otwór przypominający brudną jamę jakiegoś zwierzaka, wpatrywała się w moje usta. A

upewniwszy się, że nie wydobędzie się stamtąd nic, co połączyłoby mnie ze światem zewnętrznym, odetchnęła z ulgą.

– Co robisz? Dlaczego się wyglupiasz? Jąkała jeden! – zawołała Uiko, a w jej głosie była racja i świeżość porannego wiatru. Uderzyła w dzwonek na kierownicy, postawiła stopę na pedale i ominęła mnie, tak jakby omijała kamień na drodze. Choć nigdzie nie było żywego ducha, jeszcze długo słyszałem, jak pedałując przez pola złośliwie uderza w dzwonek.

Tego wieczoru matka Uiko, dowiedziawszy się o wszystkim od córki, przysłała do domu mego wuja. Zwykle łagodny, wuj strasznie na mnie nakrzyczał. Przekląłem Uiko i życzyłem jej śmierci. Po kilku miesiącach moja klątwa się spełniła. Od tego czasu wierzę w moc przekleństw.

Bez przerwy, we śnie i na jawie, prosiłem o śmierć Uiko. Prosiłem, by zniknął świadek mego upokorzenia. Myślałem, że jeśli zniknie świadek, to i upokorzenie zniknie z powierzchni ziemi. Wszyscy ludzie byli świadkami. Gdyby nie było ludzi, nie byłoby też upokorzeń. Obraz Uiko jaśniał w mojej wyobraźni jak woda w ciemności, a za jej oczami, wpatrującymi się w moje usta, widziałem świat innych ludzi, świat ludzi, którzy nigdy nie zostawiają nas samych, którzy zostają naszymi współnikami, świadkami naszych poczynań. Wszyscy muszą zginąć. Świat musi naprawdę zginąć, zanim ja będę mógł zwrócić twarz do słońca...

.W dwa miesiące po tym, jak na mnie naskarżyła, Uiko zrezygnowała z pracy w szpitalu i wróciła do domu. Ludzie we wsi snuli różne domysły. A pod koniec jesieni miały miejsce następujące wydarzenia.

Nie miałem pojęcia o tym, że w naszej wsi ukrywał się dezerterski marynarski oddział wojennej. Pewnego dnia koło południa w urzędzie gminnym pojawili się żandarmi. Jednak w tym nie było nic niezwykłego, więc wcale się nie zdziwiłem.

Był to piękny dzień pod koniec października. Jak zwykle wróciłem ze szkoły, odrobiłem lekcje i przygotowywałem się

do snu. Kiedy miałem zgasić lampę, wyjrzałem przez okno i usłyszałem w dole głosy ludzi, biegających jak stado dyśzących psów. Zszedłem na dół. Wuj i ciotka nie spali. Przy drzwiach stał mój kolega z klasy, który zawołał w wielkim podnieceniu, wytrzeszczając oczy:

- Żandarm właśnie złapał Uiko! Tam! Chodźmy!

Wsunałem stopy w chodaki i wybiegłem. Noc była jasna, księżycowa. Stojaki ze snopami suszącego się ryżu rzuciły cień na puste pola. Za kępą drzew widać było poruszające się sylwetki. Uiko w ciemnej sukience siedziała na ziemi. Była blada. Obok stało kilku żandarmów i jej rodzice. Jeden z żandarmów wyciągnął w jej stronę jakieś zawiniątko i krzyczał, wymachując tym ze złością. Jej ojciec odwracał się to w stronę żandarmów, przeproszając, to w stronę córki, robiąc jej wyrzuty. Matka siedziała skulona i płakała.

Staliśmy przy miedzy, oddzieleni polem od wydarzeń. Zbierało się koło nas coraz więcej gapiów. Staliśmy w milczeniu, dotykając się ramionami. Księżyc, tak mały, jakby go ktoś wycisnął, wisiał nad naszymi głowami.

Kolega z klasy opowiadał mi szeptem, co się stało. O tym, jak Uiko została złapana przez żandarma, gdy po cichu wyszła z domu, niosąc zawiniątko z jedzeniem do pobliskiej osady. Że jedzenie było na pewno dla dezertera. Że Uiko poznała go w szpitalu, zaszła z nim w ciążę i dlatego wyrzucono ją z pracy. I wreszcie o tym, że żandarm próbuje ją zmusić do zdradzenia kryjówki dezertera, ale Uiko siedzi nieporuszona i trwa w upartym milczeniu.

Wpatrywałem się w twarz Uiko tak intensywnie, że nawet przestałem mrugać. Wyglądała jak ktoś szalony, ktoś, kto uciekł i został schwytany. W świetle księżyca jej twarz była zupełnie nieruchoma.

Nigdy przedtem nie widziałem twarzy równie pełnej negacji. Uważam swoją twarz za odrzuconą przez świat, jednak twarz Uiko sama odrzucała świat. Światło księżyca bezlitośnie spływało po jej czole, oczach, nosie, policzkach, ale nieruchoma twarz Uiko jedynie obmywała się w nim. Gdyby

tylko poruszyła oczami lub ustami, ten świat, który próbowała odrzucić, uznałby to za sygnał i spadł na nią jak lawina.

Wstrzymałem oddech i patrzyłem. Patrzyłem na twarz, w której zatrzymała się historia. Która nie ma przyszłości ani przeszłości. Czasami można ujrzeć taką twarz w dopiero co ściętym pniu drzewa. Mimo że przekrój jest świeży i gładki, on już nie będzie rósł; czuje na sobie wiatr i słońce, których nigdy nie powinien poczuć. W tym przekroju drzewa, nagle wystawionym na ludzkie spojrzenia, wystawionym na świat, do którego nie należy, odnajdujemy piękny rysunek słoju. Zdziwiająca twarz drzewa. Zetknęła się ze światem tylko po to, by go odrzucić.

Nie mogłem przestać myśleć o tym, że nigdy więcej w życiu Uiko, ani w moim życiu, życiu obserwatora, jej twarz nie będzie tak piękna. Jednak ta chwila minęła szybciej, niż się spodziewałem. W tej pięknej twarzy nagle zaszła zmiana.

Uiko wstała. Wydawało mi się, że się uśmiechnęła. Chyba widziałem błysk jej zębów w świetle księżyca. Nie umiem nic więcej powiedzieć o tej zmianie. Twarz stojącej Uiko wymknęła się bowiem jasnemu światłu księżyca i ukryła w cieniu rzucanym przez drzewa. Żałuję, że nie udało mi się zobaczyć zmiany na twarzy Uiko, gdy zdecydowała się na zdradę. Gdybym mógł ją dokładnie zobaczyć, być może i we mnie zrodziłaby się umiejętność przebaczenia ludziom, umiejętność przebaczenia wszelkiej brzydoty.

Uiko wskazała w stronę parowu zwanego Kawara, położonego u podnóża góry w pobliskiej osadzie.

– Jest w świątyni Kongōin*! – krzyknął żandarm.

Poczułem radosne podniecenie, jak przed jakimś świętem. Żandarmi podzielili się, postanowiwszy zająć świątynię

* Kongōin (lub Jionji) – świątynia buddyjska w Maizuru, założona w IX wieku przez mnicha Shinnyo, byłego arcyksięcia pozbawionego praw do tronu.

z czterech stron. Poprosili o pomoc mieszkańców wsi. Z mściwą ciekawością dołączyłem do pierwszej grupy, wraz z kilkoma innymi chłopakami. Uiko szła przodem, wskazując drogę. Zdziwiło mnie, jak pewnie stąpała przed siebie po tej księżycowej drodze, mając po obu stronach żandarmów.

Świątynia Kongōin znajdowała się u podnóża góry, piętnaście minut piechotą od Yasuoki. Swoją sławę zawdzięczała cisowi, posadzonemu własnoręcznie przez księcia Takaokę, i wspaniałej trzystopniowej pagodzie, przypisywanej Hidari Jingoro*. Latem często się tu bawiłem, kąpiąc się w wodospadzie po drugiej stronie wzgórza. Wzdłuż rzeki ciągnął się gliniany mur, który otaczał świątynię. Mur był podniszczony i porósł gęsto trawami. Ich lśniące, białe kłosa widać było nawet w ciemności. Przy bramie kwitły kamelie. W milczeniu posuwaliśmy się wzdłuż rzeki. Świątynia była jeszcze trochę wyżej. Przeszliśmy mostek z drewnianych bali. Po prawej stronie znajdowała się trzystopniowa pagoda, po lewej klonowy zagajnik, a w głębi wznosiły się porośnięte mchem kamienne schody prowadzące do świątyni, wykute w wapiennej skale. Miały sto pięć stopni. Były bardzo śliskie.

Gdy doszliśmy do mostku, żandarm odwrócił się i gestem zatrzymał nas. Podobno dawniej stała tu brama z postaciami świątynnych strażników, autorstwa dwóch słynnych rzeźbiarzy – Unkeia i Tankeia**. Zaczynające się w tym miejscu wzgórza Doliny Tsuzura należały do świątyni.

Wstrzymaliśmy oddech. Żandarm popędził Uiko. Przeszła przez most, a my szliśmy w pewnej odległości za nią. Dolna część schodów kryła się w ciemnościach, ale reszta oświetlona była blaskiem księżyca. Ukryliśmy się w tej dolnej, zacienionej części. Liście klonów zaczynały już czerwienieć, lecz w księżycowym świetle wydawały się czarne.

* Hidari Jingorō (?1594–?1651) – znany cieśla i budowniczy obiektów sakralnych.

** Unkei (?–1223), Tankei (1173–1256), syn Unkeia – słynni rzeźbiarze buddyjscy okresu Kamakura.

U szczytu schodów znajdował się główny gmach świątyni. W lewo odchodził krużganek prowadzący do pustego budynku, który wyglądał jak miejsce przeznaczone na tańce kagura*; jego bryła wzorowana była na konstrukcji balkonu słynnej świątyni Kiyomizu w Kioto. Wystawał ze zbocza prostopadle, podtrzymywany systemem pali i poprzecznych belek, przymocowanych do skały. Świątynia, pusty budynek po lewej oraz pale i belki, zbielewały od wiatru i deszczu, przypominały białe kości. Jesienią czerwieniejące liście klonów pięknie harmonizują z tym białym szkieletem, ale w nocy, w blasku księżyca wyglądał tajemniczo i fascynująco.

Dezertier prawdopodobnie ukrywał się w opuszczonym budynku. Żandarm postanowił go złapać, używając Uiko jako przynęty. My, świadkowie, staliśmy w ciemności, wstrzymując oddech. Był koniec października. Noc była zimna, lecz moje policzki płonęły.

Uiko zaczęła wchodzić po stu pięciu stopniach. Szła dumnym krokiem kobiety szalonej. Między czarną sukienką a czarnymi włosami widać było piękny biały profil. Wśród księżycowej nocy, wśród chmur, z konturem wzgórz dotykających nieba czubkami wysokich cedrów, wśród cieni rzuconych przez księżyc, wśród bielejących gdzieś budynków świątynnych poczułem się upojony pięknem jasnej i wyraźnej zdrady Uiko. Miała prawo iść tak samotnie w górę po schodach z dumnie wypiętą piersią. W tej zdradzie było to samo co w gwiazdach, księżycu i cedrach. Żyła na tym samym świecie co my, świadkowie, i wśród tej samej przyrody. Szła po tych schodach jako nasza wysłanniczka.

Wstrzymałem oddech. Nie mogłem oprzeć się myśli, że poprzez swoją zdradę Uiko zaakceptowała także mnie. Właśnie teraz najbardziej do mnie należy.

* Kagura – tańce i muzyka sakralna, oddające cześć bogom, wywodzące się z rytuałów sinto. Początkowo wykonywano je na terenie świątyni sintoistycznych, a w IX w. przystosowano do gustów dworskich i przekształciły się w obrzęd taneczno-muzyczny, który zmienił się z upływem czasu. Do dziś w świątyniach istnieje Pawilon Kagury.

Przychodzi chwila, gdy wydarzenia zacierają się w pamięci, ale ja wciąż mam przed oczami obraz Uiko, wchodzącej po stu pięciu omszałych stopniach. Wydawało się, że będzie tak szła w nieskończoność.

Jednak nagle stała się inną osobą. Gdy doszła do szczytu schodów, znowu mnie, nas zdradziła. I ta nowa Uiko już nie odrzucała świata całkowicie. Nie była też całkowicie z nim pogodzona. Poddała się sile namiętności. Stała się kobietą, która wszystko poświęca dla mężczyzny.

Pamiętam to jak scenę z jakiejś starej ryciny. Uiko przeszła przez krużganek i zawołała w ciemność budynku. Pojawił się cień mężczyzny. Uiko coś do niego powiedziała. Mężczyzna zwrócił się w kierunku schodów i wystrzelił z trzymanego w rękę rewolweru. Żandarm odpowiedział strzałami z zarośli przy schodach. Mężczyzna ponownie podniósł rewolwer i wtedy Uiko zaczęła uciekać wzdłuż krużganku. Mężczyzna kilkakrotnie strzelił jej w plecy. Dziewczyna upadła. Wtedy mężczyzna przyłożył rewolwer do skroni i wystrzelił...

Wszyscy, z żandarmem na czele, rzucili się w kierunku dwóch ciał. Tylko ja tkwiłem skulony w cieniu klonu. Nade mną wznosiła się pajęczyna belek i pali. Tupot nóg biegnących po drewnianym krużganku dopłynął do mnie cichy i ledwie słyszalny. W gałęziach klonu zabłyśło światło kilku latarek.

Wydawało mi się, że to wszystko rozgrywa się gdzieś daleko. Ludzie nieczuli nie są przestraszeni, jeśli tylko nie widzą krwi. Krew płynie dopiero później, gdy tragedia już się wydarzy. Nie wiadomo kiedy, zapadłem w sen. Gdy się obudziłem, okazało się, że wszyscy o mnie zapomnieli. Ćwierkały ptaki, a poranne słońce wdzierało się między gałęzie klonów. Biały szkielet świątyni w wydawał się ożywać w oświetlających go od dołu promieniach. Spokojnie i dumnie wystawiał swój balkon w stronę doliny wypełnionej czerwonymi liśćmi.

Wstałem, przeciągnąłem się i roztarłem zdrętwiałe członki. Pozostał we mnie chłód. Z poprzedniej nocy pozostał we mnie tylko chłód.

W czasie przerwy wiosennej następnego roku odwiedził mnie ojciec. Na cywilny mundur* narzucił mnisią szatę. Powiedział, że zabiera mnie na kilka dni do Kioto. Gruzlica ojca bardzo się posunęła i przestraszyłem się widząc, jak bardzo był zmieniony. Nie tylko ja, także wuj i ciotka odradzali mu wyjazd do Kioto, ale nie słuchał. Dopiero później zrozumiałem, że ojciec, póki jeszcze starczyło mu sił, chciał przedstawić mnie opatowi ze świątyni przy Złotej Pagodzie. Oczywiście przez długie lata marzyłem o zobaczeniu Złotej Pagody, ale nie miałem ochoty na wycieczkę z ojcem, który choć starał się być bardzo rześki, wyglądał na ciężko chorego. Gdy zbliżał się czas spotkania z nie znaną Złotą Pagodą, w moim sercu rodziło się wahanie. Złota Pagoda musiała być piękna. Teraz wszystko zależało nie od jej rzeczywistej urody, ale od tego, czy uda mi się pięknie ją sobie wyobrazić.

Wiedziałem o Złotej Pagodzie wszystko, co było dostępne i zrozumiałe dla chłopca w moim wieku. Typowy opis Złotej Pagody, jaki można znaleźć w książkach traktujących o historii sztuki, jest mniej więcej następujący:

*Ashikaga Yoshimitsu** przejął posiadłość Kitayama, należącą do rodziny Saionji, i zbudował tu wielką rezydencję. Składała się z budynków o przeznaczeniu religijnym, takich jak Shariden (Pawilon Relikwii), Gomadō (Komnata Kadzideł), Senbōdō (Komnata Pokutna), Hosuiin (Komnata Rytualna), oraz z budynków mieszkalnych, takich jak Shinden (Sala Cesarska), Kuge-no ma (Sala Dworska), Kaijō (Sala Zebrań), Tenkyōkaku (Wieża Niebiańskiego Lustra), Kyōhokurō (Wieża Gwiazdy Polarnej), Izumidono (Pawilon Źródłany) i Kansetsutei (Altanka Śnieżnych Dni). Najwięcej wysiłku włożono w budowę Pawilonu Relikwii, który potem na-*

* Cywilny mundur (jap. kokuminfuku) – ubranie w kolorze khaki o kroju wojskowym, które Japończycy byli zobowiązani nosić w czasie drugiej wojny światowej od 1940 r.

** Ashikaga Yoshimitsu (1358–1408) – trzeci siogun siogunatu Muromachi. Mecenasz sztuk pięknych, na którego polecenie zbudowano Złotą Pagodę.

zwano Złotą Pagodą. Nie wiadomo dokładnie, od kiedy zaczęto używać nazwy Złota Pagoda, prawdopodobnie po wojnach Ōnin*. W latach 1469–87 nazwy tej używano już jednak powszechnie.

Złota Pagoda jest dwupiętrową konstrukcją w kształcie wieży, wznoszącą się nad stawem Kyōkochi (Zwierciadlanym). Uważa się, że powstała około 1398 roku. Pierwsza i druga kondygnacja zbudowane są w stylu shinden-zukuri** z zasuwanymi okiennicami, ale trzecia, o powierzchni kwadratu o boku około pięciu metrów, reprezentuje czysty styl zen. Pośrodku każdej ściany znajduje się okiennica w stylu chińskim, a po obu jej stronach dwa łukowate okna. Dach w stylu hōgyō-zukuri***, pokryty gontem z kory cyprysu, wieńczy figura złoczonego feniksa z brązu. W kierunku stawu odchodzi ganek ze spadzistym dachem, zwany Tsuridono lub Sōsei. Jego kształt przerywa monotonię całości. Linie dachu Złotej Pagody opadają łagodnie, tworząc na rogach rynny. Niezwykle starannie wykonana, lekka i elegancka, Złota Pagoda jest wspaniałym osiągnięciem architektury ogrodowej, harmonijnym połączeniem elementów budynku mieszkalnego i architektury sakralnej. Technie atmosferą tamtych czasów i jest doskonałym wyrazem gustu sioguna Yoshimitsu, który przyswoił sobie estetykę kultury dworskiej.

Po śmierci Yoshimitsu, zgodnie z jego życzeniem, posiadłość Kitayama przekształcono w kompleks świątyni buddyjskich o nazwie Rokuonji. Później niektóre budynki przeniesiono gdzie indziej, inne popadły w ruinę. Tylko Złota Pagoda przetrwała do dziś...

* Wojny Ōnin (1467–1477) rozpoczęły się od sporu o to, kto ma dziedziczyć stanowisko sioguna, później przerodziły się w wojnę o panowanie nad prowincjami środkowej i zachodniej Japonii, toczoną między siogunatem a shugo – gubernatorami prowincji.

** Shinden-zukuri – styl pawilonowy, w jakim budowano rezydencje arystokratów od okresu Heian do Muromachi. Parterowe budynki połączone zadaszonymi korytarzami sytuowano na terenie zbliżonym do kwadratu. Główne pomieszczenia mieszkalne, w części centralnej, ciągnęły się na wschód, zachód i północ. Od południa znajdował się staw, a nad nim Tsuridono, czyli Altana Wędkarzy. Rezydencje otaczał murem z trzema bramami.

*** Hōgyō-zukuri – rodzaj dachu zwieńczonego jak piramida o podstawie kwadratu, sześć- lub ośmiokątna.

Złota Pagoda pojawiła się jako symbol mrocznych wieków, jak księżyc na nocnym niebie. Dlatego Złota Pagoda z moich wyobrażeń wymagała, by ze wszystkich stron otaczała ją ciemność. W tej ciemności piękne, wysmukłe kolumnienki stały w ciszy, jaśniejąc nikłym blaskiem. I choćby ludzie zwracali się do niej w różnych językach, urzekająca Złota Pagoda musi milczeć, dumna ze swej delikatnej struktury, i przeciwstawiać się ciemności.

Pomyślałem o połączanej brązowej figurze feniksa, który ozdobił szczyt dachu. Przez tyle długich lat opierał się wiatrom i deszczom. Ten tajemniczy ptak nigdy nie piał o świcie, nigdy nie poruszył nawet skrzydłami, na pewno sam już zapomniał, że jest ptakiem. Nie można jednak powiedzieć, że wygląda jakby nie mógł latać. Inne ptaki szybują w podniebnej przestrzeni, a ten złoty ptak unosił błyszczące skrzydła i płynie w morzu czasu. W jego skrzydła uderza czas. Uderza i płynie dalej. Aby lecieć, feniks musiał tylko zastygnąć w bezruchu, z gniewnym wzrokiem unieść skrzydła, machnąć ogonem i dzielnie wyprostować majestatyczne złote nogi.

Gdy o tym myślałem, przyszło mi do głowy, że sama Złota Pagoda jest jak piękny okręt, który przebył morze czasu. Jej struktura, którą książki o historii sztuki opisują jako „ażurówką z niewieloma ścianami”, przywołała na myśl konstrukcję statku. A staw, na którym unosił się ten wspaniały okręt o trzech pokładach, wydawał się symbolem morza. Złota Pagoda przybyła tu przez długą noc. Była w podróży, której koniec jest nieznanym. W ciągu dnia okręt rzucał kotwicę i pozwalał się podziwiać tłumom, a gdy przychodziła noc, czerpiąc siły z otaczającej ciemności, rozpinął żagle dachów i płynął dalej.

Myślę, że nie będzie przesadą stwierdzenie, że pierwszym prawdziwym problemem, z jakim zetknąłem się w życiu, był problem piękna. Mój ojciec był zwykłym prowincjonalnym mnichem buddyjskim z ograniczonym zasobem słów, więc mówił mi tylko: „nie ma na świecie nic piękniejszego niż Złota Pagoda”. Czułem wielkie niezadowolenie i zniecierpliwienie na myśl, że bez mojej wiedzy istnieje gdzieś już jakieś

piękno. A skoro piękno już gdzieś istnieje, to znaczy, że ja, że moje istnienie zostało przez to piękno pominięte.

Złota Pagoda nie była jednak dla mnie tylko samym pojęciem. Zaslaniały ją góry, ale wiedziałem, że jest za nimi, i jeśli zechcę, to mogę tam pojechać i ją zobaczyć. Także piękno było czymś, co można dotknąć i co wyraźnie odbija się w oczach. Wiedziałem i wierzyłem, że wśród wszystkich zmian Złota Pagoda istnieje i pozostaje niezmienna.

Czasem wyobrażałem ją sobie jako delikatny, wymyślny ornament, który zmieściłby się w mojej dłoni, a czasem jako olbrzymią, monstrualną świątynię, wznoszącą się prosto do nieba. Kiedy byłem chłopcem, nie potrafiłem myśleć o pięknie jako o czymś w sam raz, ani małym, ani dużym. Widząc niewielkie letnie kwiaty, wilgotne od porannej rosy, wyglądające tak jakby wydziały lekki blask, myślałem, że są piękne jak Złota Pagoda. Kiedy patrzyłem na chmury rozciągające się nad ośnieżonymi szczytami, chmury nabrzmiałe piorunami, ciemne chmury o złotych obrzeżach, ich wspańiałość przywodziła na myśl Złotą Pagodę. W końcu nawet gdy zobaczyłem piękną twarz, w duchu myślałem: ta twarz jest piękna jak Złota Pagoda.

To była smutna wycieczka. Pociąg wyruszył z Zachodniego Maizuru i zatrzymując się na małych stacjach Magura i Uesugi, minął Ayabe i skierował w stronę Kioto. W wagonach było brudno i gdy przejeżdżaliśmy wzdłuż przełomu rzeki Hozu, pociąg często jechał tunelami, a wtedy dym z lokomotywy bezlitośnie wciskał się do wagonów. Z powodu tego gęstego dymu ojciec ciągle kaszłał.

Wśród pasażerów było wielu ludzi w jakiś sposób powiązanych z marynarką wojenną. Trzecia klasa pełna była krewnych, wracających z odwiedzin u stacjonujących w Maizuru podoficerów, marynarzy i maszynistów na statkach.

Wyglądałem przez okno na wiosenne niebo zasnuwane ciężkimi chmurami. Patrzyłem na pierś mojego ojca pokrytą mni-

sią szatą na cywilnym mundurze i na piersi młodych, rumianych podoficerów, których oddechy unosiły rzędy złotych guzików. Wydawało mi się, że ja jestem gdzieś pośrodku. Niedługo, gdy osiągnę wiek poborowy, zostanę powołany do marynarki. Ale nawet jeśli zostanę marynarzem, czy będę umiał – tak jak ci podoficerowie tutaj, żyć, pilnie wypełniając swoją rolę? Wydawało mi się, że znajduję się między dwoma światami. Choć byłem jeszcze taki młody, czułem, że w mojej brzydkiej, upartej głowie istnieją dwa światy. Świat umarłych, którym rządził mój ojciec, i świat żywych i młodych łączą się ze sobą przez wojnę. Ja będę tym, co je połączy. I choć w tej chwili stoję na rozstajach, jeśli zginę na wojnie, stanie się jasne, że od początku było wszystko jedno, którą drogę obiorę. Moje lata chłopięce były zabarwione mętnym, bladym kolorem. Bałem się świata czarnych cieni, ale życie w ostrym świetle południa też do mnie nie pasowało.

Staralem się opiekować kaszlącym ojcem i wyglądałem przez okno na rzekę Hozu. Była ciemnoniebieska i gęsta, jak siarczek miedzi używany do doświadczeń chemicznych. Za każdym razem, gdy pociąg wyjeżdżał z tunelu, ukazywała się rzeka. Raz była daleko, to znowu nieoczekiwanie blisko. Otoczona ze wszystkich stron gładkimi skałami, rozwijała bez końca niebieski kłębek wody.

Ojciec ze wstydem rozwinął zawiniątko z białymi kulkami ryżowymi.

– To nie jest ryż czarnorynkowy. Zawdzięczam go dobroci moich parafian i jem go z wdzięczną radością. – Mówił głośno, tak by wszyscy usłyszeli, ale w końcu zjadł tylko jedną małą kulkę.

Trudno mi było uwierzyć, że ten pokryty sadzą pociąg naprawdę zmierza do stolicy. Pomyślałem, że w rzeczywistości wiezie nas ku stacji Śmierć. Wydawało mi się, że dym, który wypełniał wagon za każdym razem, gdy wjeżdżaliśmy do tunelu, przyniósł nagle zapach krematorium.

Jednak gdy stanąłem przed główną bramą Rokuonji, serce mi waliło. Miałem zobaczyć najpiękniejszą rzecz na świecie.

Słońce było już dość nisko i góry pokryły się mgiełką. Kilkoro zwiedzających znalazło się przy bramie mniej więcej w tym samym czasie co my. Za bramą po lewej stronie znajdowała się dzwonnica, a wokół niej zagajnik pełen śliw, które jeszcze ciągle były obsypane kwiatami. Przy wejściu do głównej świątyni rósł wielki dąb. Ojciec poprosił o widzenie z opatem. Powiedziano nam, że opat przyjmuje gości i że musimy poczekać około pół godziny.

– W takim razie chodźmy tymczasem obejrzeć Złotą Pagodę – powiedział ojciec.

Najwyraźniej zamierzał mi zaimponować swoimi znajomościami, wchodząc do środka za darmo, ale człowiek, który sprzedawał bilety wstępu i amulety, oraz ten, który sprzedawał bilety przy bramie, nie byli tymi samymi ludźmi co dziesięć lat temu, gdy często tu bywał.

– Kiedy tu będę następnym razem, pewnie znowu się zmienią – powiedział ojciec lodowato, ale czułem, że nie wierzył już w ten „następny raz”.

Wysunąłem się naprzód i pobiegłem wesoło jak młody chłopak – tylko kiedy bardzo się starałem, przypominałem młodego chłopca. I wtedy ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu nagle ukazała się przede mną Złota Pagoda. Złota Pagoda, o której tyle marzyłem.

Stałem nad brzegiem Kyōkochi, a po drugiej stronie Złota Pagoda lśniła, pozwalając zachodzącemu słońcu oświetlać swą fasadę. Ganek Tsuridono był częściowo ukryty po lewej stronie.

Złota Pagoda wyraźnie odbijała się w stawie; na wodzie gdzieś unosiły się wodorosty i rześa. To odbicie wydawało się piękniejsze niż sama świątynia. Oświetlone zachodzącym słońcem okapy dachów kładły się na powierzchni wody, lekko drżąc. Te trzy dachy widziane od dołu lśniły taką oślepiającą jasnością w porównaniu z ciemniejszym światłem popołudnia, że wydawało się, jakby Złota Pagoda

dumnie odchyłała się, tak jak na rysunkach, gdzie przesadnie zastosowano perspektywę.

– No jak? Piękna jest, prawda? Pierwsza kondygnacja nazywa się Hōsuiin, druga Chōondō, a trzecia Kukyōchō – ojciec położył wychudłą, schorowaną rękę na moim ramieniu.

Przyglądałem się, przechylałem głowę to w jedną, to w drugą stronę. Nie czułem wzruszenia. Był to tylko niewielki, stary, poczerniały, trzykondygnacyjny budynek. Feniks na szczycie dachu wyglądał raczej na kruka, który na chwilę tam przycupnął. Budowla nie tylko nie wydawała mi się piękna, ale wręcz pozbawiona harmonii i spokoju. I wtedy pomyślałem: czyżby piękno było właśnie takie, niezbyt piękne?

Gdybym był skromnym, kochającym naukę chłopcem, pewnie nie zniechęciłbym się tak łatwo, lecz żałował, że nie starcza mi umiejętności, by piękno rozpoznać i ocenić. Ale ponieważ tak bardzo spodziewałem się je ujrzeć, ból z powodu zawiedzionych oczekiwań przyćmił możliwość jakiegokolwiek refleksji.

Pomyślałem, że może Złota Pagoda specjalnie ukryła swe piękno i udaje coś innego. Przecież to możliwe, że piękno, w swej własnej obronie, łądzi ludzkie oczy. Muszę zbliżyć się do niego, usunąć przeszkody, które wydają mi się brzydkie, zbadać cal po calu i dotrzeć do samego jądra piękna, ujrzeć je na własne oczy. To było zupełnie naturalne, że tak czułem, bo nie wierzyłem w piękno, którego nie mogłem zobaczyć.

W postawie pełnej szacunku ojciec poprowadził mnie do galerii otaczającej Hosuiin, pierwszą kondygnację Złotej Pagody. Najpierw obejrzelismy szczegółowy model Pagody w szklanej gablocie. Bardzo mi się podobał. Przypominał Złotą Pagodę, o jakiej marzyłem. Poza tym fakt, że wewnątrz dużej Złotej Pagody znajdowała się identyczna mała Złota Pagoda, dał mi do myślenia o nieograniczonych powiązaniach. W wielkim wszechświecie istnieje mały wszechświat. Nareszcie mogłem marzyć. O jeszcze mniejszej niż model, malutkiej, ale idealnej Złotej Pagodzie, i o wielkiej, większej niż ta prawdziwa, takiej, która mogłaby pochłonąć cały świat.

Ale nie stałem w nieskończoność przed gablotką z modelem. Ojciec zaprowadził mnie teraz do słynnego posągu Yoshimitsu, uważanego za jeden ze skarbów kultury narodowej. Ten drewniany posąg znany był jako Rokuon'in den Michiyoshi, nazwany tak z powodu imienia, jakie przyjął Yoshimitsu, gdy został mnichem.

Posąg wydał mi się tylko szerniałą dziwną rzeźbą, nie dostrzegalem w nim żadnego piękna. Następnie weszliśmy na piętro do Chōondō. Obejrzałem fresk na suficie, przedstawiający anioły grające na instrumentach, przypisywany Kanō Masanobu*, a na ostatnim piętrze Kukyōchō żalodne resztki złoceń, które dawniej pokrywały ściany, ale nic nie wydawało mi się piękne.

Oparłem się o wąską balustradę i nieobecny wzrokiem patrzyłem na staw w dole. Oświetlona zachodzącym słońcem woda przypominała antyczne zwierciadło z brązu, pokryte patyną. W tym zwierciadle wyraźnie odbijała się Złota Pagoda. W dole, głęboko poniżej wodorostów i rzęsy, widać było wieczorne niebo. To niebo różniło się od prawdziwego, które rozciągało się ponad nami. Było przezroczyste i pełne spokojnego światła. Pochłonęło cały świat od dołu i od wewnątrz, a Złota Pagoda zatonała w nim jak poczerniała wielka kotwica ze szczerzego złota...

Opat świątyni ojciec Tayama Dōsen i mój ojciec znali się od czasów, gdy razem studiowali w świątyni zen. Przez trzy lata dzielili tę samą celę. Uczęszczali do specjalnego seminarium buddyjskiego w świątyni Shōkokuji**. Razem zostali wyświęceni w specjalnych ceremoniach i wstąpili do zakonu. Opat Dōsen opowiadał mi później w przybliżeniu dobrego

* Kanō Masanobu (1434–1530) – malarz późnego okresu Muromachi, nadworny malarz sioguna.

** Shōkokuji – główna świątynia szkoły Shōkokuji sekty rinzai, jedna z pięciu wielkich świątyń zen w Kioto, zbudowana w 1382 r. przez Ashikagę Yoshimitsu; obecny budynek powstał w 1605 r.

humoru, że byli przyjaciółmi nie tylko w surowej dyscyplinie buddyjskich praktyk, ale czasami w nocy wspinali się po murze, wykradali ze świątyni i szli zabawiać się z kobietami.

Po obejrzeniu Złotej Pagody wróciliśmy do głównego budynku świątyni. Długim korytarzem poprowadzono nas do gabinetu opata, mieszczącego się w Wielkiej Bibliotece, której okna wychodziły na ogród i słynną sosnę, zwaną okrętem.

Ja siedziałem wyprostowany i sztywny w moim szkolnym mundurku, za to ojciec jakby lekko się rozluźnił. Mimo że opat zaczął nauki religijne razem z ojcem, wyglądał teraz o wiele lepiej od niego. Ojciec był słaby, wyniszczony chorobą. Wyglądał biednie i miał ziemistą cerę. Za to opat przypominał rumianą bułeczkę. Na jego biurku, tak jak zresztą można było się spodziewać po biurku opata sławnej świątyni, piętrzyły się przeróżne paczuski, pisma, książki, listy, wiele z nich nawet nie otwartych. Opat wziął parę nożyczek w tłuściutkie palce i zręcznie otworzył jedną z paczuszek.

– To są ciasteczka przysłane z Tokio. W dzisiejszych czasach to rzadkość. Podobno nie ma ich w sklepach, dostarczają je wszystko tylko wojsku i urzędom państwowym.

Piliśmy delikatną zieloną herbatę i jedliśmy suche europejskie ciastka, jakich nigdy przedtem nie próbowałem. Im bardziej się denerwowałem, tym więcej okruchów spadało mi na czarne spodnie.

Ojciec i opat narzekali, że wojsko i rząd interesują się wyłącznie świątyniami sintoistycznymi, wcale nie zajmują się buddyjskimi, a nawet wywierają na nie naciski, i dyskutowali o tym, jak w przyszłości najlepiej administrować świątyniami.

Opat był dosyć zażywny, miał wiele zmarszczek, ale nawet zmarszczki wyglądały tak, jakby je w środku starannie szorował. Miał okrągłą twarz, tylko nos był dość długi i sprawiał wrażenie, jakby na jego czubku zastygła kropla spływającej żywicy. Twarz opata była dobroduszna, ale gładko ogolona głowa wyglądała srogo i niemal zwierzęco. Zdawało się, że cała jego energia skupiła się w tej głowie.

Ojciec i opat wspominali czasy nauki w świątyni zen. Pa-trzyłem na sosnę-okręt w ogrodzie. Wielkie, nisko rozpościerające się gałęzie tworzyły kadłub, a te tworzące dziób wznosiły się wysoko. Najwyraźniej przybyła jeszcze jakaś grupa zwiedzających, gdyż zza muru dobiegały stłumione odgłosy. Kroki i rozmowy, pochłonięte przez wiosenne niebo, brzmiały miękko i łagodnie; odpłynęły jak fala, i pomyślałem, że brzmią jak odgłos kroków ludzkości, wędrującej po ziemi. Spojrzałem na feniksa na szczycie Złotej Pagody, na którym skupiły się resztki popołudniowego światła.

– Tego chłopca... – usłyszałem słowa ojca i odwróciłem się w jego stronę. W tym mroczniejącym pokoju ojciec powierzał opatowi troskę o moją przyszłość. – Mnie już pewnie nie zostało wiele czasu. I dlatego, kiedy mnie już nie stanie, chciałbym prosić o względy dla tego chłopca..

Opat Dōsen nie próbował dodać ojcu otuchy ani zdawkowo go pocieszać. Powiedział tylko: – Dobrze. Zajmę się nim.

Później, ku mojemu zdziwieniu, zaczęli sobie wesoło opowiadać anegdotki o śmierci różnych słynnych mnichów. Jeden umarł, mówiąc „Nie chcę umierać!”, inny w chwili śmierci zawołał jak Goethe „Więcej światła!”, a jeszcze inny do ostatniej chwili robił świątynne rachunki.

Poczęstowano nas wieczerzą, którą mnisi nazywali remedium, i zaproszono do spędzenia nocy w świątyni. Po kolacji poprosiłem ojca, byśmy jeszcze raz poszli obejrzeć Złotą Pagodę. Chciałem ją zobaczyć w świetle księżyca.

Podniecenie wywołane spotkaniem z opatem po tylu latach bardzo go zmęczyło, ale gdy usłyszał słowa „Złota Pagoda”, podniósł cię ciężko dysząc i podążył za mną, opierając się na moim ramieniu.

Księżyc wschodził za górą Fudōsan. Złota Pagoda, oświetlona od tyłu, zwinęła swój skomplikowany cień, i tylko lukrowate okna trzeciej kondygnacji Kukyōchō pozwalały promieniom księżyca wślizgnąć się do budynku. Kukyōchō nie

miało prawdziwych, solidnych ścian, i wydawało się, że to właśnie tam zamieszkało blade, księżycowe światło.

Od strony ciemnej wyspy Ashiwara dobiegł krzyk nocnych ptaków, wznoszących się do lotu. Czulem na ramieniu ciężar wątlej, wychudłej dłoni ojca. Kiedy spojrzałem na ramię, zobaczyłem, że w świetle księżycyca dłoń ojca zmieniała się w biały szkielet.

* * *

Złota Pagoda, która tak mnie rozczarowała, po powrocie do Yasuoki z dnia na dzień w moich myślach stawała się coraz piękniejsza, aż w końcu wydawała się nawet piękniejsza niż w mych pierwszych marzeniach. Nie umiałbym powiedzieć, co w niej było piękne. Wyobrazenie zetknęło się z rzeczywistością, która z kolei stała się dalszym bodźcem dla moich wyobrażeń.

Nie obserwowałem już rzeczy i zjawisk naokoło z nadzieją znalezienia w nich wizji Złotej Pagody. Złota Pagoda stopniowo nabierała głębszego, niewzruszonego bytu. Miałem przed oczami jej kolumnienki, jedną przy drugiej, łukowate okna, dach, feniksa na szczycie. Tak wyraźnie, że nieomal mogłem ich dotknąć. Najdrobniejsze szczegóły przywodziły na myśl całość. Tak jak przypomnienie jednej frazy przywodzi na myśl cały utwór muzyczny, tak wydobyć z pamięci jednego detalu przywołało pełen obraz Złotej Pagody.

„Miał Ojciec rację mówiąc, że Złota Pagoda jest najpiękniejszą rzeczą na świecie” – napisałem po raz pierwszy w liście do ojca. Ojciec odwiózł mnie do domu wuja i zaraz powrócił do swojej świątyni na dalekim przylądku.

W odpowiedzi przyszedł telegram od matki. Ojciec dostał strasznego krwotoku i zmarł.

Rozdział II

Wraz ze śmiercią ojca zakończył się dla mnie okres dzieciństwa i ze zdziwieniem myślę o tym, że przez cały ten czas zupełnie brakowało mi czegoś, co można by nazwać ludzkimi uczuciami. A kiedy uświadomiłem sobie, że po śmierci ojca nie czuję żadnego żalu, to zdziwienie zamieniło się w jakieś takie bezsilne uczucie, którego nie można już nazwać zdziwieniem.

Kiedy w pośpiechu dotarłem do domu, ojciec leżał już w trumnie. Z Maizuru musiałem iść piechotą do Uchiury, potem popłynąłem łodzią wzdłuż zatoki do Nariu i podróż zabrała mi cały dzień. Było to przed rozpoczęciem pory deszczowej i słońce paliło niemilosiernie. Zaraz po moim przybyciu trumną miała być zabrana do krematorium położonego na opuszczonym cyplu. I tam, nad morzem, ciało ojca miało być spalone.

Śmierć kapłana wioskowej świątyni to dość niezwykła rzecz. Niezwykła, bo aż nazbyt stosowna. Ojciec był, można powiedzieć, duchową osią tej okolicy, stróżem życia parafian, którzy powierzali się jego opiece także po śmierci. I właśnie jemu przyszło umrzeć w świątyni. Wydawało się, że zbyt wiernie wypełnił swój obowiązek. Ten, który uczył ich, jak umierać, chcąc im to pokazać na własnym przykładzie, przez pomyłkę sam umarł, jakby popełnił swego rodzaju błąd.

Trumnę ojca umieszczono w starannie wybranym miejscu, żaden szczegół przygotowań nie został przeoczony. Matka, młody mnich i parafianie stali przed trumną i płakali. Mnich czytał sutry drżącym głosem, jakby prosząc leżącego w trumnie o wskazówki.

Twarz ojca tonęła w kwiatach wczesnego lata, jeszcze tak zmysłowo żywych, że aż budziły obrzydzenie. Jakby spoglądały w głąb studni, w jakąś bezdenną toń, w którą zapadła twarz zmarłego. Pozostał tylko jej kontur, którego już nigdy nie da się wypełnić. Dopiero twarz zmarłego uświadamia nam prawdziwie i dobitnie, jak bardzo jesteśmy oddaleni od bytu materii i jak ten byt jest różny od rzeczy, które możemy dosięgnąć ręką. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się ze stanem, w którym poprzez śmierć duch przeradza się w materię, i wydało mi się, że powoli zaczynam rozumieć, dlaczego rzeczy materialne – jak majowe kwiaty, słońce, biurko, podwórko szkolne, ołówki... zawsze wydawały mi się takie zimne i istniejące z dala ode mnie.

Matka i parafianie obserwowali teraz moje ostatnie spotkanie z ojcem. Ale moje uparte serce nie chciało przyjąć do wiadomości tej analogii ze światem żywych, którą niesie w sobie słowo „spotkanie”. To nie było żadne spotkanie. Ja tylko „patrzyłem” na twarz zmarłego ojca.

Ciało było tylko oglądane. Ja je tylko oglądałem. Patrzenie, które zwykle jest aktem nieświadomym, potwierdzało moje prawo do życia; mogło także stać się wyrazem okrucieństwa. Było to dla mnie nowe doświadczenie. I tak chłopiec, który nigdy głośno nie śpiewał, nie biegał krzycząc, dowiedział się, jak się upewnić, że żyje.

Ja, który miałem w sobie wiele tchórzostwa, nie wstydzilem się teraz ani trochę, odwracając ku parafianom jasną twarz, na której nie lśniła ani jedna łza. Świątynia była położona na skale zwróconej ku morzu. Za grupą żałobników nad Morzem Japońskim kłębiły się letnie chmury, tworząc jakby zwartą ścianę.

Rozpoczęła się recytacja specjalnej, żałobnej sutry, więc przyłączyłem się do innych. Główna część świątyni pogrążona była w mroku. Chorągiew zawieszona między kolumnami, kwiaty dekorujące sanktuarium, kadzidło i wazony odbijały światło lampek wotywnych i pobłyskiwały w ciemności. Co pewien czas podmuch wiatru znad morza dostawał

się do świątyni i rozdymał rękawy mojego mnisiego habitu. Recytowałem sutry, ale cały czas byłem świadomy kształtu wielkich letnich chmur, zza których wlewał się w moje oczy oślepiający blask.

To silne światło, które nieustannie zalewa połowę mojej twarzy. Jak ono lśni. Bezczelne...

Kiedy kondukt pogrzebowy był o kilkaset metrów od krematorium, nagle zaczęło padać. Na szczęście przechodziliśmy akurat przed domem jednego z życzliwych parafian i udało się nam wraz trumną schronić tam przed deszczem. Nie wyglądało na to, że deszcz wkrótce przestanie padać, a kondukt musiał iść dalej. Dla wszystkich żałobników znalazły się jakieś okrycia, trumnę przykryto ceratą i poniesiono do krematorium.

Krematorium położone było na małej kamienistej plaży u nasady cypla wychodzącego w morze na południowy wschód od wsi. Podobno krematorium było tam od dawien dawna, bo dym nie rozchodził się stamtąd w stronę wsi.

Fale były tu szczególnie gwałtowne. Wznosiły się, by za chwilę się rozbić, a ich drżącą powierzchnię bez przerwy siekł deszcz. Ciemny deszcz spokojnie i zimno uderzał w powierzchnię morza, niepomny na jej burzliwość. Lecz co pewien czas powiew wiatru odpychał deszcz w stronę posępnych, wyludnionych skał. Wtedy białe skały czerniały, jakby spryskane atramentem.

Przeszliśmy przez niewielki tunel i dotarliśmy na miejsce, ale podczas gdy tragarze czynili przygotowania do kremacji, ponownie schroniliśmy się w tunelu przed deszczem.

Nie było stąd w ogóle widać morza. Tylko grzbiety fal, mokre czarne skały i deszcz. Polana naftą trumna lśniła jak nowy drewniany stół. Uderzał o nią deszcz.

Zapalono ogień pod trumną. Nafta była racjonowana, ale ponieważ był to pogrzeb opata, przygotowano dużo nafty i ogień, jakby na przekór wiatrowi, rozpalił się gwałtownie,

a jego trzaskanie przypominało uderzenia bata. W biały dzień przezroczysty płomień był wyraźnie widoczny na tle wielkiego słupa dymu. Dym formował kłęby, które wiatr po trochu odwiewał w stronę urwiska, tak że w pewnej chwili w deszczu jaśniała tylko piękna sylwetka płomienia.

Nagle rozległ się groźny dźwięk, jakby coś pękło. Odskończyło wieko trumny. Spojrzałem na stojącą obok matkę. Stała z przerażająco nieruchomą twarzą i obiema rękami ścisnęła różaniec. Jej twarz wydawała się tak stężała i zmalęła, że zmieściłaby się w mojej dłoni.

* * *

Zgodnie z życzeniem ojca pojechałem do Kioto i zostałem akolitą w świątyni Złotej Pagody. Pod kierunkiem opata zostałem mnichem buddyjskim. Opat płacił za moją naukę, a ja w zamian sprzątałem i posługiwałem mu. Na świeckie stosunki byłem tak jakby jego uczniem.

Szybko zorientowałem się, że srogi kierownik internatu został powołany do wojska i w świątyni pozostali tylko starszacy i ludzie bardzo młodzi. Po przyjeździe tutaj z różnych powodów odczułem ulgę. Po pierwsze dlatego, że nikt nie śmiał się z tego, że wychowałem się w świątyni, tak jak to miało miejsce w świeckim gimnazjum, bo tu wszyscy byli związani ze świątynią. Różniłem się tylko tym, że się jąkałem i byłem od wszystkich trochę brzydszy.

Przerwałem naukę w gimnazjum w Higashi Maizuru i opat Tayama Dōsen załatwił mi przeniesienie do szkoły przy Akademii Rinzai*. Miałem tam zacząć chodzić od jesieni i lekcje zaczynały się za niecały miesiąc. Wiedziałem jednak, że jak tylko zacznie się szkoła, będę musiał wykonywać robo-

* Akademia Rinzai powstała ze szkoły Hanyarin, założonej w 1872, która najpierw przekształciła się w Akademię Rinzai (Rinzai Gakuin), a w 1949 r. stała się zaczątkiem obecnie istniejącego Uniwersytetu Hanazono. Program nauczania opierał się na zasadach filozofii zen.

ty przymusowe w jakiejś fabryce. Teraz zostało mi jeszcze parę tygodni wakacji w zupełnie nowym środowisku. Wakacje w czasie żałoby, dziwnie spokojne wakacje pod koniec wojny w 1944 roku... Przestrzegałem dyscypliny życia akolity w świątyni, ale wspominam ten okres jako moje ostatnie, całkowicie beztroskie wakacje. Nawet teraz dokładnie pamiętam głosy cykad z tamtych dni.

Złota Pagoda, którą widziałem po raz pierwszy od paru miesięcy, stała spokojnie skąpana w blasku późnego lata.

Moja głowa, świeżo ogolona z okazji wstąpienia do zakonu, miała niebieskawy kolor. Uczucie, że powietrze dokładnie przylega do mojej głowy, że moje myśli stykają się ze światem zewnętrznym poprzez cienką, wrażliwą, łatwą do zranienia warstewkę skóry – to uczucie wydawało mi się dziwnie niebezpieczne.

I kiedy wzniosłem ogoloną głowę ku Złotej Pagodzie, zdało mi się, że ona wnika we mnie nie tylko poprzez moje oczy, ale przez całą głowę. Bo ta głowa stawała się gorąca w blasku słońca i szybko ochładzała od wieczornego powiewu.

– Złota Pagodo! Wreszcie przybyłem i będę żył w pobliżu ciebie – szeptałem w duchu, przestając na chwilę zamiatać. – Nie zaraz, ale kiedyś, później okaż mi przyjaźń i wyjaw swoją tajemnicę. Zdaje mi się, że już niedługo dostrzegę wyraźnie twoje piękno, choć jeszcze go nie widzę. Spraw, by prawdziwa Złota Pagoda okazała się piękniejsza niż ta z moich wyobrażeń. Powiedz mi także, skoro jesteś najpiękniejsza na świecie i ruc ci nie dorówna, dlaczego jesteś taka piękna? Dlaczego musisz być piękna?

Wydawało się, że tego lata Złota Pagoda, jakby żywiąc się złymi wiadomościami, nadchodzącymi z frontu, stawała się jeszcze bardziej lśniąca i żywotna. W czerwcu Amerykanie wylądowali na Saipanie, a alianci szybko posuwali się po polach Normandii. Spadła liczba zwiedzających i zdawało się, że Złota Pagoda cieszy się tą samotnością, tym spokojem.

To naturalne, że wojenny chaos, niepokój, wiele trupów i morze krwi wzmogły urodę Złotej Pagody. Od początku była budowlą powstałą z niepokoju, budowlą zaplanowaną przez wielu ludzi o ponurych sercach, z pewnym siogunem na czele. Jej trzykondygnacyjna, nieharmonijna konstrukcja, w której historyk sztuki dostrzega tylko mieszaninę stylów, musiała powstać naturalnie jako rezultat poszukiwania stylu, będącego krystalizacją niepokoju. Gdyby została zbudowana w jednolitym stylu, nie mogłaby zawrzeć w sobie tego niepokoju i na pewno już dawno by się rozpadła.

Za każdym razem, gdy stawałem z miotłą w dłoni i podnosiłem wzrok na Złotą Pagodę, nie mogłem się nadziwić, że jednak istnieje. Kiedy przyjechałem tu tamtego wieczoru z ojcem, nie odczuwałem tego w ten sposób. Teraz jednak trudno mi było uwierzyć, że przez długie lata mojego życia będę widział przed sobą Złotą Pagodę.

Kiedy mieszkałem w Maizuru, myślałem, że Złota Pagoda zawsze znajduje się w jednym zakątku Kioto, ale od czasu gdy tu przybyłem, zaczęło mi się zdawać, że pojawia się przede mną tylko wtedy, gdy na nią patrzę, a kiedy w nocy śpię w głównym budynku świątyni, nie istnieje. Dlatego wiele razy w ciągu dnia szedłem popatrzeć na Złotą Pagodę i inni młodzi mnisi wyśmiewali się ze mnie. Nie mogłem się nadziwić jej istnieniu, więc szedłem popatrzeć, potem wracałem do głównego budynku, ale myślałem, że gdybym nagle obejrzał się za siebie, Złota Pagoda zniknęłaby jak Eurydyka.

Skończyłem sprzątanie Złotej Pagody i by skryć się przed coraz gorętszym porannym słońcem, skierowałem się ku wzgórzom na tyłach świątyni i wspinałem się wąską dróżką do pawilonu Sekkatei*. Ponieważ jeszcze nie otwarto świątyni

* Pawilon Sekkatei – pawilon herbaciany na terenie Rokuonji, z którego o zachodzie słońca jest piękny widok na Złotą Pagodę, stąd jego nazwa: Pawilon Pięknych Zmierzchów.

dla zwiedzających, nigdzie nie było żywego ducha. Formacja samolotów bojowych, prawdopodobnie z garnizonu lotnictwa w Maizuru, przeleciała dość nisko nad Złotą Pagodą, pozostawiając za sobą ogłuszający huk. W górach za świątynią znajdował się staw porośnięty rzęsą. Nazywał się Yasutamizawa, czyli Mokradło Spokojnego Snu. Na środku była wysepka, a na niej pięciokondygnacyjna kamienna wieżyczka zwana Shirahebizuka, czyli Wzgórze Białego Węża. O poranku zawsze głośno śpiewały tu ptaki, a ponieważ nie było ich widać, zdawało się, że cały las wypełniony jest śpiewem.

Nad stawem rosły kępy trawy. Ścieżkę oddzielał od trawy niski płotek. Na trawie leżał chłopiec w białej koszuli. O pobliski niewysoki klon oparte były bambusowe grabie.

Chłopiec poderwał się tak energicznie, iż wydawało się, że zrobił wyrwę w unoszącym się dokoła spokojnym, letnim powietrzu, ale widząc mnie powiedział:

– Ach, to ty!

Zaledwie wczoraj nas sobie przedstawiono. Nazywał się Tsurukawa. Pochodził z bogatej świątyni w okolicach Tokio. Czesne, kieszonkowe, jedzenie, wszystko dostarczano mu hojnie z domu. Przysłano go do Złotej Pagody dzięki znajomości z opatem, by popróbował zwykłego życia akolity. Na lato wrócił do domu, ale właśnie wczoraj przyjechał z powrotem nieco wcześniej. Tsurukawa mówił z pięknym akcentem tokijskim. Mieliśmy od jesieni chodzić do tej samej klasy gimnazjum przy Akademii Rinzai i już od wczoraj byłem oniesmielony jego szybkim i wesołym sposobem mówienia.

I dziś też, gdy powiedział do mnie: „Ach, to ty!”, zabrakło mi języka w gębie. Jednak wyglądało na to, że jemu moje milczenie wydało się rodzajem krytyki.

– Wiesz, nie musimy tak starannie sprzątać. Jak przyjdą zwiedzający, to i tak się pobrudzi, a poza tym nie ma przecież tak wielu zwiedzających.

Zaśmiałem się. Ten bezwiedny śmiech najwyraźniej przyjaźniej usposabiał do mnie ludzi. W takich chwilach nigdy nie mam wpływu na to, jakie wrażenie wywieram na innych.

Przeszedłem przez płotek i usiadłem obok Tsurukawy. On znowu się położył. Głowę oparł na ramieniu, które choć opalone z wierzchu, pod spodem było tak białe, że przez skórę widać było żyły. Poranne słońce przesączało się między drzewami i tworzyło na trawie niebieskawe cienie. Nagle instynktownie zdałem sobie sprawę, że leżący koło mnie chłopiec prawdopodobnie nie ukocha Złotej Pagody tak jak ja. A to dlatego, że przywiązanie do Złotej Pagody przypisywałem wyłącznie swojej brzydocie.

– Podobno twój ojciec zmarł.

– Mhm.

Tsurukawa wzniósł oczy w zastanowieniu i wcale nie starając się ukryć, że z młodzieńczą pasją oddaje się domysłom, powiedział:

– To ty dlatego tak lubisz Złotą Pagodę, że jak na nią patrzysz, to przypomina ci się ojciec? Na przykład dlatego, że twój ojciec bardzo lubił Złotą Pagodę?

Czułem, że te w połowie słuszne domysły wcale nie wpłynęły na wyraz mojej niewzruszonej twarzy i trochę mnie to ucieszyło. Wyglądało na to, że Tsurukawa lubił kolekcjonować ludzkie uczucia, tak jak chłopcy, którzy lubią kolekcjonować okazy owadów. Układał je potem i segregował w małej, porządnej szufladce w swoim pokoju, a czasami wyjmował i sprawdzał w praktyce.

– Na pewno było ci bardzo smutno, gdy twój ojciec zmarł. To dlatego jest w tobie coś samotnego. Tak sobie pomyślałem wczoraj, gdy cię poznałem.

Jego słowa nie wzbudziły we mnie niechęci. Raczej to, że ponoć wyglądam samotnie, dało mi poczucie pewnego spokoju i swobody. Słowa popłynęły gładko.

– Nie ma w tym nic smutnego.

Tsurukawa spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami, o rzęsach tak długich, że aż chyba musiały mu przeszkadzać.

– No, no... to znaczy, że nienawidziłeś ojca? A przynajmniej go nie lubiłeś?

– Nic do niego nie miałem i wcale go nie nie lubiłem.

– Taak? To dlaczego nie jest ci smutno?

– Jakoś tak.

– Nie rozumiem cię. – Tsurukawa aż usiadł, by poradzić sobie z tym trudnym problemem. – W takim razie zdarzyło ci się coś jeszcze smutniejszego?

– Nie, nie wiem dlaczego – powiedziałem.

Zastanowiłem się, dlaczego lubię wzbudzać w ludziach wątpliwości, choć ja sam wcale nie mam wątpliwości. Sprawa jest jasna. W uczuciach też się jąkałem. Moje uczucia nigdy nie nadażają. W rezultacie wydawało mi się, że śmierć ojca i moje uczucie smutku były zupełnie oddzielnymi sprawami, które nie miały ze sobą nic wspólnego i nie wpływały jedna na drugą. Drobne przesunięcia w czasie, drobne opóźnienia zawsze doprowadzają wszystkie uczucia i wydarzenia w moim życiu do stanu rozproszenia, który z mojego punktu widzenia jest stanem dla nich właściwym. A jeśli nawet doznaję uczucia smutku, to atakuje mnie ono raczej nagle, bez powodu i bez powiązania z jakąkolwiek przyczyną czy wypadkiem...

... i znów nie udało mi się tego wszystkiego wytłumaczyć siedzącemu przede mną nowemu koledze. Tsurukawa w końcu się roześmiał.

– Hm, dziwak z ciebie.

Jego brzuch pokryty białą koszulą zatrzęsł się ze śmiechu. Ucieszył mnie widok poruszających się promieni słonecznych, przeświecających spośród drzew. Moje życie było pomarszczone tak jak jego koszula. Ale jak ta koszula białe lśni, mimo że jest pomarszczona... Czyżbym ja też?

Świątynia zen działała zgodnie z tradycją zen, bez związku ze światem zewnętrznym. Ponieważ było lato, rano wstawaliśmy najpóźniej o piątej. Pobudka nazywana była „początkiem reguły”. Zaraz po wstaniu odbywaliśmy poranne czytanie sutr. Nazywa się ono „potrójnym powrotem”, gdyż sutry czyta się trzy razy. Potem sprzątaliśmy wnętrze świątyni i zmywaliśmy podłogę. Następnie było śniadanie składające się z kleiku ryżowego. Jedliśmy kleik i czytaliśmy

specjalną sutrę na tę okazję. Później zajmowaliśmy się różnymi pracami: plewieniem, innymi pracami w ogrodzie i rąbaniem drewna. W czasie roku szkolnego potem nadchodził czas wyjścia do szkoły. Po powrocie było „remedium”, czyli innymi słowy – wieczera. Później czasami opat był łaskaw wyklądać na temat sutr. O dziewiątej następowało tak zwane otwarcie poduszki, czyli szliśmy spać.

Tak wyglądał mój zwykły rozkład dnia. Sygnałem, że trzeba wstać, był dla mnie dźwięk dzwonka, z którym mnich pełniący dyżur w kuchni obchodził świątynię.

W Złotej Pagodzie, a właściwie w Rokuonji, powinno było być dwanaście czy trzynaście osób. Jednak z powodu powołań czy obowiązkowych robót na rzecz wojska, prócz siedemdziesięcioparoletniego dozorczy i przewodnika, dobiegającej sześćdziesiątki kucharki, diakona i zastępcy diakona, w świątyni mieszkało tylko nas trzech akolitów. Staruszkowie byli jakby porośnięci mchem i tylko na wpół żywi, a my byliśmy praktycznie dziećmi. Diakon miał pełne ręce roboty, bo zajmował się tak zwanymi pracami dodatkowymi, czyli finansami świątyni.

Po paru dniach powierzono mi obowiązek zanoszenia gazety do pokoju opata, którego nazywaliśmy Mistrzem. Gazetę dostarczano w porze, gdy kończyliśmy poranne modlitwy oraz sprzątanie świątyni. Przetarcie w krótkim czasie podłóg i korytarzy w świątyni liczącej ponad trzydzieści pomieszczeń było ciężką pracą dla kilku osób. Zabierałem gazetę leżącą przy wejściu, przechodziłem frontowym korytarzem przed Salą Poselską, dalej obchodziłem od tyłu Salę Gościńczą i wchodziłem do Wielkiej Biblioteki, w której siedział Mistrz. Podłoga w korytarzach była jeszcze wtedy mokra, bo zmywając, wylewaliśmy na nią po pół wiadra wody. Tam gdzie w deskach były zagłębienia, tworzyły się małe kałuże i nogi miałem mokre aż do kostek. Ponieważ było lato, sprawiało mi to przyjemność. Przed drzwiami pokoju Mistrza klękałem i mówiłem: – Bardzo przepraszam...

– Mhm – słyszałem w odpowiedzi i przed wejściem do pokoju szybko wycierałem stopy brzegiem mojej mnisiej szaty. Sposób, którego nauczyli mnie inni akolici.

Gdy spieszyłem korytarzem, zerkałem ukradkiem na nagłówki w gazecie, wdychając świeży i silny zapach zewnętrznej świata, który unosił się z zadrukowanych stron. Przeczytałem nagłówek: „Czy cesarska stolica nie uniknie nalotów?”

Może to się wydać dziwne, ale do tej pory nigdy nie łączyłem Złotej Pagody z nalotami. Od klęski Saipanu uważano, że i główna wyspa Japonii nie uniknie nalotów. W części Kioto w pośpiechu organizowano ewakuację, ale dla mnie i tak nie było związku między niemal wiecznym bytem Złotej Pagody a klęską nalotów. Zdawało mi się, że ta niezłomna, niezniszczalna świątynia oraz naukowo zbadana siła ognia muszą wiedzieć, jak bardzo różnią się ich natury, i jeśli nawet się spotkają, to się po prostu wyminą. Jednak istniała możliwość, że Złota Pagoda wkrótce spłonie w ogniu nalotów. Jeśli do tego dojdzie, to niewątpliwie zamieni się w popiół...

Gdy raz już zacząłem tak myśleć, Złota Pagoda nabrała jeszcze więcej tragicznego piękna.

Było to dzień przed rozpoczęciem szkoły. Popołudnie ostatniego dnia lata. Opat z diakonem zostali wezwani, by odprawić modły za duszę jakiegoś zmarłego. Tsurukawa zaprosił mnie do kina. Jednak ja nie miałem specjalnie ochoty iść, więc i jemu się od razu odechciało. On właśnie taki był.

Mieliśmy parę godzin wolnego, więc odziani w spodnie w kolorze khaki, getry i czapki mundurowe Akademii Rinzai wyszliśmy ze świątyni. Ponieważ był bardzo gorący letni dzień, nie było ani jednego zwiedzającego.

– Dokąd pójdziemy?

Odpowiedziałem, że zanim dokądś pójdziemy, chciałbym jeszcze raz spokojnie i dokładnie spojrzeć na Złotą Pagodę. Od jutra nie będę mógł jej o tej porze oglądać, a poza tym w

czasie, gdy będziemy pracować w fabryce, Złota Pagoda może spłonąć w wyniku nalotów. Mówiłem powoli i często się jąkałem. Zdziwiony Tsurukawa słuchał ze zniecierpliwieniem wypisanym na twarzy.

Kiedy powiedziałem to wszystko, po twarzy spływał mi pot, tak jakbym powiedział coś wstydliwego. Tsurukawa był jedynym człowiekiem, któremu wyjawilem moje niezwykle przywiązanie do Złotej Pagody. Mimo to jedynym uczuciem, jakie malowało się na jego twarzy, była dobrze mi znana irytacja. Uczucie, którego ludzie doznają, gdy z wysiłkiem próbują zrozumieć moją pełną jąkania mowę.

Właśnie z takimi twarzami mam często do czynienia. Nawet kiedy wyjawiam wielką tajemnicę, kiedy mówię o wzruszeniu wywołanym pięknem, kiedy odslaniam moją duszę, nawet wtedy mam do czynienia z taką twarzą. Ludzie zwykle nie pokazują innym takiej twarzy. Ta twarz niezwykle wiernie naśladowała moją śmieszna irytację, była jakby moim strasznym lustrzanym odbiciem. Nawet piękne twarze w takich chwilach przechodzą metamorfozę i stają się dokładnie tak brzydkie jak moja. Kiedy zobaczę podobny wyraz twarzy, ważna treść, którą próbuję przekazać, zmienia się w coś zupełnie pozbawionego wartości, jak kamyk...

Silne promienie słońca padały pomiędzy mną a Tsurukawą. Tsurukawa czekał, aż skończę mówić. Jego młoda twarz lśniła od tłuszczu, rzęsy płonęły w słońcu złotem, a nozdrza rozdziły się od duchoty i gorąca.

Skończyłem. A kiedy już wypowiedziałem ostatnie słowo, ogarnął mnie gniew. Od kiedy się poznaliśmy, Tsurukawa nigdy, ani razu nie wyśmiewał się z mojego jąkania.

– Dlaczego? – zażądałem wyjaśnień.

Jak już wiele razy mówiłem, wołę kpiny i pogardę od współczucia.

Na twarzy Tsurukawy pojawił się nieopisane łagodny uśmiech. Potem odezwał się:

– Ja już mam taki charakter, że coś takiego w ogóle mi nie przeszkadza.

Byłem zaskoczony. Wychowany w prostych, wiejskich warunkach, nie znalazłem takiej łagodności. Łagodność Tsurukawy pokazała mi, że nawet gdyby odebrać mi moje jąkanie, nadal jeszcze mógłbym być tym samym człowiekiem. Odczuwałem wielką przyjemność, czując się rozebrany do naga. Otoczone długimi rzęsami oczy Tsurukawy oddzieliły ode mnie jąkanie i zaakceptowały mnie samego. Do tej pory, o dziwo, wierzyłem, że jeśli ktoś ignoruje moje jąkanie, to jednocześnie unicestwia całą moją istotę.

Ogarnęło mnie uczucie harmonii i szczęścia. Nic dziwnego, że nigdy nie zapomnę, jak wtedy wyglądała Złota Pagoda. Przeszliśmy obok drzemiącego staruszka-dozorcy i pustą ścieżką wzdłuż muru doszliśmy do Złotej Pagody.

Scena ta do dziś stoi mi żywo przed oczami. Nad brzegiem stawu Kyōkochi stoi obok siebie dwóch chłopców w białych koszulach i getrach. A tuż przed nimi, niczym nie odgradzona, wznosi się Złota Pagoda.

Ostatnie lato, ostatnie wakacje, ostatni dzień wakacji... nasza młodość stała na samej krawędzi, tak że w głowie się kręciło. Złota Pagoda też stała na tej samej krawędzi, spotykała się z nami, przemawiała do nas. Oczekiwanie nalotów tak właśnie nas do siebie zbliżyło.

Spokojne słońce późnego lata pozłociło dach Kukyōchō i spływające światło wypełniło wnętrze Złotej Pagody cieniem wieczoru. Do tej pory nieśmiertelność tego gmachu przyniatała mnie i oddzielała od niego, ale jego przeznaczenie – to że wkrótce miał spłonąć w ogniu wznieconym przez bombę zapalającą, zbliżyło go do ludzkiego losu. Możliwe, że Złota Pagoda przepadnie przed nami. A to znaczyło, że żyje takim samym życiem jak my.

Porośnięte sosnami wzgórza, otaczające Złotą Pagodę, były skąpane w śpiewie cykad. Ich śpiew brzmiał tak, jakby niezliczeni, niewidzialni mnisi recytowali zaklęcie o odwrócenie klęsk.

– Gyaa, Gyaa. Gyaakii, gyaakii. Unnen. Shifuraa, shifuraa. Harashifuraa, harashifuraa.

Ta piękna budowla niedługo obróci się w popiół – pomyślałem. I wtedy Złota Pagoda z moich marzeń i ta prawdziwa nałożyły się na siebie, tak jak przy malowaniu obrazu na jedwabiu na materiał nakłada się wzór i odrysowuje poszczególne elementy. W końcu wszystkie fragmenty dopasowały się. Dach nałożył się na dach, ganek Sōsei wychodzący na staw nałożył się na ganek Sōsei, łukowate okna i krużganki Kukyōchō na okna i krużganki Kukyōchō. Złota Pagoda nie była już nieruchomym budynkiem. Zmieniła się – można powiedzieć – w symbol ulotności świata zjawisk. Gdy tak myślałem, prawdziwa Złota Pagoda nie ustępowała już pięknnością tej z moich wyobrażeń.

Być może jutro z nieba spadnie ogień i obróci w popiół te wąskie kolumnienki, te pełne gracji wygięte linie dachu i nigdy ich już nie ujrzę. Na razie jednak piękna budowla ze wszystkimi swymi szczegółami stała spokojnie przede mną, oblewana światłem jak ogniem lata.

Nad szczytami gór zbierały się majestatyczne chmury, takie jakie widziałem kątem oka podczas modłów na pogrzebie ojca. Były pełne nieruchomego światła i spoglądały z góry na delikatną architekturę świątyni. W świetle późnego lata Złota Pagoda jakby utraciła swoje delikatne szczegóły. Gromadząc we wnętrzu chłodną ciemność, tylko swym tajemniczym konturem odrzucała błyszczący świat. Jedynie feniks na szczycie dachu, nie chcąc się poddać blaskowi słońca, wysunął ostre pazury i silnie uchwycił się swego piedestału. Tsurukawa, znudzony moim długim wpatrywaniem się w świątynię, podniósł z ziemi kamyk i zręcznym ruchem bejsbolisty rzucił nim dokładnie w sam środek cienia Złotej Pagody, odbijającej się w stawie Kyōkochi.

Na powierzchni wody wśród rzesy utworzyły się kręgi i piękna, delikatna sylwetka świątyni w jednej chwili rozpadła się na kawałki.

Następny rok, ostatni przed zakończeniem wojny, był okresem mojego zbliżenia się do Złotej Pagody. Przejmowałem się jej bezpieczeństwem i upajałem jej pięknem. Można powiedzieć, że był to czas, gdy sprowadziłem Złotą Pagodę do swego poziomu i w przekonaniu, że się tam znalazła, mogłem ją kochać bez obawy. Wtedy jeszcze nie wywierała na mnie złego wpływu ani nie poła trucizną.

Odwagi dodawał mi fakt, że i mnie, i Złotej Pagodzie groziły na tym świecie te same niebezpieczeństwa. Znalazłem sposób, by powiązać siebie i piękno. Czułem, że został przezucony most pomiędzy mną a czymś, co mnie odrzucało, co nie pozwalało mi się do siebie zbliżyć.

Myśl, że ten sam ogień, który strawi mnie, prawdopodobnie strawi także Złotą Pagodę, prawie mnie upajała. Dzięki temu samemu przeznaczeniu, temu, że miała nas dotknąć ta sama klęska, ten sam niepomyślny ogień, światy, które zamieszkiwaliśmy, nabrały tego samego wymiaru. Moja powłoka cielesna była brzydka i słaba, a ciałem Złotej Pagody był twardy, lecz łatwo palny pierwiastek – węgiel. Gdy tak o tym rozmyślałem, z czasem zaczęło mi się wydawać, że mógłbym uciec, ukrywając w swoim wnętrzu Złotą Pagodę, i unieść ją, jak złodziej, który podczas ucieczki połyka cenny klejnot.

Proszę mi wierzyć, że przez cały ten rok nie nauczyłem się ani jednej sutry, nie przeczytałem ani jednej książki, tylko od rana do wieczora zajmowałem się naukami moralnymi, ćwiczyłem musztrę i sztuki walk, pracowałem w fabryce i przy ewakuacji. Moja skłonność do marzycielstwa pogłębiła się i dzięki wojnie normalne życie jeszcze bardziej się ode mnie oddaliło. Dla nas, młodych chłopców, wojna była takim pośpiesznym, niematerialnym przeżyciem przypominającym sen jak izolatka w szpitalu, gdzie jest się zupełnie odciętym od prawdziwego życia.

W listopadzie roku 1944, kiedy odbył się pierwszy nalot bombowców B-29 na Tokio, wszyscy myśleli, że być może

już nazajutrz Kioto też zostanie zbombardowane. Moim ci-
chym marzeniem stało się, by całe miasto stanęło w płomien-
iach. Kioto za bardzo chciało, by nic się nie zmieniło. Od da-
wien dawna liczne świątynie i chramy zapomniały już o go-
rącym żarze, który zrodził się wewnątrz. Kiedy wyobraziłem
sobie, jak zniszczone musiało zostać w czasie wojen Ōnin, to
pomyślałem, że Kioto już zbyt długo nie czuło niepokoju
ognia wojny i przez to utraciło coś ze swego piękna.

Jutro Złota Pagoda na pewno spłonie. Ta forma, która
wypełniała przestrzeń, zginie... A wtedy feniks ze szczytu
dachu odżyje i odleci, jak przystało na nieśmiertelnego pta-
ka. I Złota Pagoda, do tej pory uwięziona w swej formie, wol-
na i lekka, odcepi się od kotwicy i pojawi wszędzie. Lejąc
delikatne światło, będzie unosiła się nad jeziorami, nad wodą
ciemnego oceanu...

Czekałem i czekałem, ale naloty nie przyszły do Kioto.
I choć dziewiątego marca następnego roku dowiedziałem się,
że cała handlowa część Kioto spłonęła, klęska była daleko od
nas i nad górnym miastem rozciągało się jedynie czyste niebo
wczesnej wiosny.

Już w połowie straciwszy nadzieję, starałem się jeszcze
wierzyć, że to wiosenne niebo niesie w sobie ogień i znisz-
czenie, tak jak lśniąca okno, za którym nie wiadomo, co się
kryje. Jak wcześniej wspomniałem, miałem w sobie bardzo
mało ludzkich uczuć. Śmierć ojca i ubóstwo matki prawie
wcale nie miały wpływu na moje życie wewnętrzne. Marzy-
łem tylko o klęsce, kataklizmie, tragedii, która przekroczy
ludzką skalę i jak olbrzymia boska prasa zmiażdży wszyst-
kich ludzi i przedmioty, sprawiedliwie – piękne i brzydkie.
Czasami to niezrównane lśnienie wiosennego nieba przy-
wodziło mi na myśl chłodny blask ostrza siekiery, tak ol-
brzymiej, że mogłaby pokryć całą ziemię. Ja tylko czekałem,
aż spadnie jej ostrze. Spadnie tak szybko, że nawet nie będzie
czasu o niczym pomyśleć.

Jest coś, o czym nawet teraz myślę ze zdziwieniem. Nie
od samego początku pochłaniały mnie czarne myśli. Moje za-

interesowania i trudności, jakie napotykałem, miały dotyczyć tylko piękna. Ale nie sądzę, że to wojna tak na mnie podziałała i napełniła mnie ponurymi myślami. Kiedy myśli się tylko o pięknie, człowiek nieświadomie napotyka najbardziej ponure myśli, jakie powstają na tym świecie. Sądzę, że taka już jest ludzka natura.

Pamiętam zdarzenie, które miało miejsce w Kioto pod koniec wojny. Trudno uwierzyć, że to się naprawdę stało, ale nie ja jeden to widziałem. Tsurukawa też tam był.

Pewnego dnia, kiedy nie było prądu, Tsurukawa i ja wybraliśmy się do świątyni Nanzenji*. Nigdy przedtem nie byłem w Nanzenji. Przeszliśmy przez szeroki podjazd i drewniany mostek rozciągnięty nad pochylnią dla łodzi.

Był pogodny majowy dzień. Pochylni już nie używano. Przytwierdzone do zbocza szyny do wciągania łodzi pordzewiały i prawie całkiem porosły chwastami. Drobnie białe kwiatki w kształcie krzyżyków drżały na wietrze. Do miejsca, w którym zaczynała się pochylnia, dochodziła stojąca brudna woda i w niej zanurzone były cienie wiśni rosnących rzędem na brzegu.

Stojąc na mostku, bez celu wpatrywaliśmy się w wodę. Wśród wszystkich wspomnień z okresu wojny takie krótkie, pozbawione znaczenia chwile odcisnęły się w mojej pamięci najwyraźniej. Te krótkie chwile beczynnego zamyślenia co pewien czas przezierają tu i tam, jak błękit nieba spomiędzy chmur. To dziwne, że takie chwile pozostają w pamięci wyraźnie, jakby wypełnione były samą przyjemnością.

– Nieźle, prawda? – powiedziałem bez żadnego głębszego znaczenia i uśmiechnąłem się lekko.

– Mhm – Tsurukawa spojrzał na mnie i też się uśmiechnął. Czuliśmy do głębi, że te dwie czy trzy godziny należą do nas.

* Nanzenji – wielki kompleks świątynno-klasztorny szkoły rinzai (odłam zen) w Kioto, ważny obiekt artystyczny.

Wzdłuż szerokiej zwirowanej drogi ciągnął się rów, w którym płynęła kryształowo czysta woda, a w niej falowały piękne wodne rośliny. Wkrótce drogę zastąpiła nam słynna brama Sanmon*.

Na terenie świątyni nie było żywego ducha. Nad świeżą zielenią górowały ciemnosrebrne dachówki pokrywające dach, który przypominał leżącą grzbietem do góry olbrzymią otwartą książkę. Czym właściwie była dla nas w tamtej chwili wojna? W niektórych miejscach, w niektórych chwilach wydawała się tylko jakimś dziwnym, duchowym zjawiskiem, które istniało jedynie w ludzkiej świadomości.

To pewnie ze szczytu tej bramy Ishikawa Goemon**, oparłszy nogi o balustradę, podziwiał w dole wiśnie w pełnym rozkwicie. Poczuliśmy się jak dzieci i zachciało nam się obejrzeć widok z tego samego miejsca, mimo że pora kwitnienia wiśni już minęła i drzewa pokryte były liśćmi. Zapłaciwszy parę groszy za wstęp, wspieiliśmy się po stromych, zupełnie szerniałych schodach. Na górze, gdzie dawniej odbywały się religijne tańce, Tsurukawa uderzył głową o niski sufit. Zaśmiałem się i zaraz potem sam też uderzyłem. Weszliśmy jeszcze piętro wyżej i stanęliśmy na górnym tarasie.

Poczuliśmy przyjemne napięcie, gdy po wejściu po wąskich, przypominających piwniczne schodach, nagle wystawiliśmy nasze ciała na tę wielką panoramę. Pokryte liśćmi drzewa wiśniowe i sosny, las otaczający chram Heian, który wznosił się w oddali za rzędami dachów, zamglone łańcuchy gór na krańcach Kioto: Arashiyama, Kitanokata, Kibune, Minoura, Konpira... Kiedy już napatrzyliśmy się do syta, jak przystało na akolitów zdjęliśmy buty i pełni szacunku weszliśmy do świątyni. W ciemnym wnętrzu na podłodze roz-

* Brama Sanmon – piętrowa brama o spadzistym dachu, prowadząca do świątyni Nanzenji. Na piętrze, otoczona werandą i balustradą, znajduje się niewielka świątynia.

** Ishikawa Goemon – słynny, na wpół legendarny rabuś z XVI wieku, skazany ponoć na śmierć przez ugotowanie w kotle; bohater sztuk teatralnych i powieści.

ciągnięte były dwadzieścia cztery maty, w środku stał posąg Buddy, a w ciemności lśniły złote oczy Szesnastu Arhatów*. Ta część świątyni zwana była Gohōrō, czyli Wieżą Pięciu Feniksów.

Świątynia Nanzenji należała do tego samego odłamu sekty rinzai co świątynia Złotej Pagody. Jednak Złota Pagoda należała do szkoły Shōkokuji, a Nanzenji była główną świątynią szkoły Nanzenji. Byliśmy więc w świątyni tej samej sekty, ale innej szkoły. Jak zwykli gimnazjaliści staliśmy tu z przewodnikami w dłoniach, oglądając barwne malowidła na suficie, które przypisywane są Tan'yū Morinobu ze szkoły Kanō i Hōgenowi Tokuetsu** ze szkoły Tosa.

Po jednej stronie było malowidło przedstawiające latające anioły, grające na lutni biwa i na fletach. Gdzie indziej fruwał legendarny ptak Kalavinka z białą piwonią w dziobie. Jest to ptak o pięknym głosie, który ponoć mieszka wśród zaśnieżonych gór Indii. Górna połowa jego ciała jest ciałem pulchnej kobiety, a dolna – ciałem ptaka. Pośrodku sufitu namalowany był ptak, ponoć towarzysz tego ze szczytu Złotej Pagody, ale był to wspaniały, tęczyowy feniks, niezbyt podobny do tamtego majestatycznego, złotego.

Przyklekliśmy przed posągiem Buddy i złożyliśmy dłonie w modlitwie. Potem wyszliśmy ze świątyni, ale nie chciało nam się jeszcze schodzić na dół. Oparliśmy się o balustradę od południowej strony, obok szczytu schodów, po których tu weszliśmy.

Gdzieś w środku czułem jakieś takie piękne, małe, kolorowe wirowanie. Wydawało mi się, że to wrażenie pozostało po oglądaniu owych barwnych malowideł na suficie świątyni. Wrażenie koncentracji bogatych barw było takie, jakby

* Szesnastu Arhatów (Jūroku-rakan) – szesnastu strażników prawa buddyjskiego na tym świecie.

** Kanō Tan'yū Morinobu (1602–1674), malarz wczesnego okresu Edo, zatrudniany przez sioguna jako nauczyciel malarstwa. Tosa Hōgen Tokuetsu – bliżej nieznanego malarz ze szkoły Tosa, uprawiającej malarstwo japońskie (w odróżnieniu od chińskiego).

jakiś ptak podobny do Kalavinki skrył się na gałęzi wśród wszechobecnej zieleni liści i sosen, a tylko na krótką chwilę ukazał wspaniałość swoich skrzydeł.

Ale to nie było to. Po drugiej stronie drogi pod nami była pustelnia Tenjuan. Ścieżka, ułożona z kamieni w ten sposób, że stykały się tylko rogami, wiała się przez ogród obsadzony rzędami spokojnych, niskich drzew i wiodła wprost do dużego pokoju, do którego otwarto rozsuwane drzwi. Wyraźnie było widać bogato zdobioną alkowę i półki. Najwyraźniej odbywały się tu rytualne ceremonie herbaciane, czasami też pewnie wynajmowano to miejsce na prywatne ceremonie, bo podłogę pokrywał szkarłatny dywan. Wewnątrz siedziała młoda kobieta. To właśnie ją zobaczyłem przed chwilą.

W czasie wojny nie widywało się kobiet w tak bajecznie kolorowych, wystawnych kimonach z długimi rękawami. Gdyby wyszła tak na ulicę, na pewno zaraz ktoś zwróciłby jej uwagę i musiałaby wrócić do domu i przebrać się. Jej kimono było wspaniałe. Z daleka nie widziałem dokładnie wzorów, ale na niebieskim tle dostrzegłem malowane i haftowane kwiaty, w szkarłatnym pasie obi połyskiwały złote nitki i wydawało się, że wszystko wokół łśni od tego blasku. Młoda piękna kobieta siedziała wyprostowana, jej biały profil wyglądał jak rzeźba i naprawdę nie byłem pewien, czy to żywa kobieta.

– Czy ona jest w ogóle żywa? – zapytałem, okropnie się jękając.

– Właśnie też o tym myślałem. Wygląda jak lalka – odparł Tsurukawa, który ciężko opierał się o balustradę i nie odrywał oczu od kobiety.

W tej chwili do pokoju wszedł młody oficer w mundurze. Jak przystało, usiadł z dala od kobiety. Przez chwilę tak siedzieli w milczeniu, zwróceniu twarzami do siebie.

Kobieta wstała. Cicho zniknęła w ciemnościach korytarza. Po chwili wróciła, niosąc czarkę do herbaty. Długie rękawy jej kimona zadrżały, poruszone lekkim wiatrem. Postawiła czarkę przed mężczyzną. Podawszy mu ją zgodnie z etykietą

ceremonii herbacianej, wróciła na miejsce. Mężczyzna coś powiedział. Ciągle jeszcze nie pił herbaty. Czas dziwnie się włókł i czuć było dziwne napięcie. Kobieta skłoniła się głęboko.

Później zdarzyła się ta nieprawdopodobna rzecz. Kobieta, ciągle siedząc wyprostowana, nagle rozluźniła u góry kimono. Niemal usłyszałem szelest jedwabiu wysuwanego spod sztywnego pasa obi. Ukazała się biała pierś. Wstrzymałem oddech. Kobieta ujęła w dłoń swą pełną białą pierś. Oficer trzymając w dłoni czarkę do herbaty w ciemnym, głębokim kolorze, ukląkł przed kobietą. Kobieta zaczęła masować pierś obiema rękami.

Nie twierdzę, że to widziałem, ale wyraźnie czułem, tak jakby działa się to dokładnie przed moim nosem, jak do brązowozielonej herbaty, pieniącej się w ciemnej czarce, leje się ciepłe, białe mleko, jak miesza się z herbatą, pozostawiając parę kropli nie rozpuszczonych, i jak gładka powierzchnia herbaty mętnieje i pieni się pod wpływem mleka.

Mężczyzna podniósł czarkę do ust i wypił całą tę zadziwiającą herbatę. Białe piersi kobiety zostały zakryte.

Obaj wpatrywaliśmy się w tę scenę w napięciu. Kiedy potem przemyślałem to raz jeszcze, doszedłem do wniosku, że ta kobieta była pewnie matką dziecka oficera i że była to ceremonia pożegnania między nimi, gdyż on wyruszał na front. Ale w tamtej chwili byłem tym tak przejęty, że nie mogłem logicznie się nad tym wszystkim zastanowić. Wpatrywałem się w tę scenę tak intensywnie, że dopiero po chwili zauważyłem, że kobieta i mężczyzna zniknęli i pozostał tylko szkarłatny dywan.

Widziałem jej biały rzeźbiony profil i niezrównanie białą pierś. Nie mogłem przestać o tym myśleć do końca tamtego dnia i przez następny dzień, i jeszcze następny. Ta kobieta musiała być odrodzoną Uiko.

Rozdział III

Nadeszła pierwsza rocznica śmierci ojca i matka wpadła na niezwykle pomysł. Ponieważ z powodu prac przymusowych trudno mi było pojechać do domu, sama postanowiła przyjechać do Kioto i przywieźć ze sobą tabliczkę pośmiertną ojca. Wtedy Dōsen będzie mógł wyrecytować parę sutr i pomodlić się choć przez kilka minut w rocznicę śmierci starego przyjaciela. Matka nie miała pieniędzy i napisała do opata, licząc jedynie na jego litość. Opat wyraził zgodę i powiadomił mnie o całej sprawie.

Wcale nie czułem radości na wieść o tym. Nie bez powodu do tej pory unikałem pisania o matce. Nie miałem ochoty poruszać niczego, co jej dotyczyło. Nigdy nie robiłem matce wyrzutów z powodu tamtego zajścia. Nigdy o tym nie mówiłem. Matka też prawdopodobnie nie zorientowała się, że ja wiem. Ale od tamtego czasu nie mogę jej wybaczyć.

Zdarzyło się to w pierwsze wakacje, kiedy wróciłem do domu po roku nauki w gimnazjum w Higashi Maizuru, gdzie mieszkałem u wuja. W tym czasie krewny matki, nazwiskiem Kurai, wrócił do Nariu z Osaki, ponieważ nie powiodło mu się w interesach. Jego żona, pochodząca z dobrej rodziny, nie chciała go przyjąć z powrotem. Nie mając innego wyjścia, schronił się w świątyni mego ojca i czekał, aż burza przeminie.

W świątyni mieliśmy bardzo mało moskitier. Właściwie to dziwne, że się nie zaraziliśmy, bo matka i ja spaliśmy razem z chorym na gruźlicę ojcem pod tą samą moskitierą. A wtedy jeszcze dołączył do nas Kurai.

Pewnej nocy usłyszałem krótki krzyk cykady, która jakby się w coś zaplątała, przelatując wśród drzew. Prawdopodo-

bnie to właśnie mnie obudziło. Fale uderzały głośno i bryza unosiła brzeg zielonożółtej moskitiery. Ale ruchy moskitiery były jakieś niezwykle.

Moskitiera nadymała się od wiatru, ale potem drżała, jakby niechętnie przepuszczając wiatr. Kształt, jaki przybierała moskitiera wydymana wiatrem, nie odpowiadał jego podmuchom. Jak gdyby wiatr stracił swą siłę. Brzeg moskitiery szeleścił, jakby ktoś pocierał o matę liśćmi bambusa. Ale poruszała się w sposób, który nie mógł być wywołany wiatrem. Ruchem delikatniejszym niż wiatr, ruchem, który rozprze-strzeniał się po całej moskitierze i powodował, że szorstki materiał drżał i wyglądał od środka jak niespokojna powierzchnia jeziora, jak ślady fal, które tworzą się wokół płynącego statku i które pozostają za rufą, gdy statek już odpłynie...

Pełen obawy spojrzałem w stronę źródła tych ruchów. Gdy tak wpatrywałem się w ciemność, zdało mi się, że świder przewierca moje oczy na wylot. Pod moskitierą było za mało miejsca dla czterech osób i najwyraźniej odwracając się we śnie na drugi bok, musiałem zepchnąć ojca aż na sam kraniec materaca. Dlatego pomiędzy mną i tym, co zobaczyłem, biała przestrzeń była wypełniona pomiętym prześcieradłem, a za mną leżał skulony ojciec, którego oddech czułem na szyi.

Zdałem sobie sprawę, że ojciec nie śpi, bo poczułem na plecach jego nieregularny, chrapliwy oddech, gdy próbował stłumić kaszel. Wtedy nagle moje trzynastoletnie oczy pokryły się czymś dużym, ciepłym i zaniewidziały. Od razu zrozumiałem, co się stało. Zza moich pleców wysunęły się dłonie ojca i zakryły mi oczy.

Ciągle pamiętam dotyk tych dłoni. Wielkich, nieproporcjonalnie wielkich dłoni. Dłoni otaczających mnie od tyłu i natychmiast kryjących przed moimi oczami piekło, w które się wpatrywałem. Dłoni z innego świata. Dłoni, które czy to powodowane miłością, litością czy upokorzeniem, odciąły mnie od przerażającego świata i pogrzebały go w ciemności.

Lekko skinąłem głową z tymi dłońmi ciągle na moich oczach. Z tego skinięcia mojej niewielkiej głowy ojciec od

razu wiedział, że rozumiałem i zgadzałem się, więc zabrał swoje dłonie... A ja, tak jak rozkazały mi dłonie ojca, leżałem z zacisniętymi powiekami czuwając do rana, aż poczułem na nich rażące światło z zewnątrz.

Proszę pamiętać, że kilka lat później, w czasie pogrzebu ojca, byłem tak pochłonięty wpatrywaniem się w jego martwą twarz, że nie uroniłem ani jednej łzy. Proszę pamiętać, że wraz ze śmiercią ojca zostałem uwolniony z więzów tych dłoni i wpatrując się usilnie w twarz ojca, upewniałem się co do mojego własnego istnienia. W ten sposób nie zapomniałem zemścić się na tych dłoniach czy też na tym, co ludzie zwykli zwać miłością, ale jeśli chodzi o matkę, to choć nie mogłem jej wybaczyć tamtego wspomnienia, nigdy nie myślałem o zemście.

Ustalono, że matka przybędzie do Złotej Pagody w przeddzień rocznicy śmierci ojca i zatrzyma się tę jedną noc w świątyni. Opat napisał list do mojej szkoły z prośbą o zwolnienie mnie z zajęć następnego dnia. Po pracach przymusowych szliśmy zwykle do domu, ale tego dnia ja nie paliłem się, by wracać do świątyni.

Tsurukawa, szczerzy i prostoduszny, cieszył się na moje spotkanie z matką po długim czasie, a i inni akolici byli jej bardzo ciekawi. Ale ja nienawidziłem mojej biednej, niepozornej matki. Nie wiedziałem, jak wytłumaczyć Tsurukawie, dlaczego nie chcę widzieć się z matką. W dodatku gdy tylko skończyliśmy pracę w fabryce, Tsurukawa chwycił mnie za ramię i zawołał:

– Pobiegnijmy do domu.

Przesadą byłoby stwierdzenie, że w ogóle nie chciałem zobaczyć matki. Nie mogę też powiedzieć, że za nią nie tęskniłem. Być może to prostu nie miałem ochoty na otwarte okazywanie uczuć, które ma miejsce przy spotkaniach z ro-

dzina, i starałem się szukać różnych uzasadnień dla tego braku ochoty. Na tym właśnie polega mój zły charakter. Kiedy staram się na różne sposoby usprawiedliwić jakieś szczerze uczucie, to jeszcze nie jest najgorsze, ale z czasem te niezliczone przyczyny, które sobie wymyślam, narzucają mi uczucia dla mnie samego niespodziewane. Te uczucia nie są tak naprawdę moje.

Jednak moja nienawiść była uzasadniona. Dlatego że sam byłem godzien nienawiści.

– Nie ma co biec. Tylko się zmęczymy. Lepiej wracajmy.

– Aha, chcesz, żeby matce było cię żal, i zachowujesz się jak rozpieszczony dzieciak.

Tsurukawa jak zwykle mylnie sobie tłumaczył moje zachowanie. Jednak wcale mnie nie denerwował, a nawet stał się bardzo potrzebny. Był moim pełnym dobrej woli tłumaczem, który przekładał moje słowa na słowa realnego świata, niezastąpionym przyjacielem.

Tak. Czasami Tsurukawa przypominał mi alchemika, który potrafi zmienić ołów w złoto. Ja byłem negatywem zdjęcia, a on pozytywem. Ileż to razy zaskoczony przyglądałem się, jak moje mętne, ciemne uczucia przefiltrowane przez jego serce, stawały się wszystkie bez wyjątku przejrzyste i pełne blasku! Podczas gdy ja jąkam się i waham, Tsurukawa przekształca moje uczucia, jakby odwracał je na właściwą stronę, i przekazuje je na zewnątrz. To zaskakujące działanie nauczyło mnie, że tak długo, jak poprzestaniemy tylko na uczuciach, nie ma wielkiej różnicy między najlepszym i najgorszym uczuciem na świecie i że w rezultacie są takie same. Że chęć zabicia kogoś i miłosierdzie z pozoru niczym się nie różnią. Nawet gdybym wytłumaczył to wszystko Tsurukawie, on i tak prawdopodobnie nie uwierzyłby, ale dla mnie było to przerażające odkrycie. Przestałem się obawiać, że Tsurukawa uzna mnie za hipokrytę, ale to dlatego, że uważałem hipokryzję za stosunkowo niewielki grzech.

W Kioto nie było nalotów, ale kiedyś wysłano mnie do głównej fabryki w Osace z zamówieniem na części do samo-

lotów. Akurat wtedy był nalot i widziałem leżącego na noszach robotnika z wnętrznościami na wierzchu.

Dlaczego odsłonięte wnętrzności wyglądają tak upiornie? Dlaczego widząc wnętrze ciała ludzkiego, musimy w przerażeniu zakryć oczy? Dlaczego krwotok szokuje ludzi? Dlaczego ludzkie wnętrzności są brzydkie? Czy nie mają dokładnie tych samych cech co piękna, młoda i lśniąca skóra?

Ciekawe, jaką Tsurukawa miałby minę, gdybym mu powiedział, że to od niego nauczyłem się tego sposobu myślenia, który obraca moją brzydotę w nicłość? Dlaczego wydaje się nieludzkie myślenie o człowieku jak o róży, kiedy nie myśli się, co jest wewnątrz i na zewnątrz? Gdyby tylko ludzie mogli jak płatki róży odwrócić się, przekręcić i wystawić na słońce i majowy wietrzyk wewnątrz duszy i wewnątrz ciała...

Matka już przyjechała i rozmawiała z opatem w jego pokoju. Był zmierzch, wczesne lato. Tsurukawa i ja przykleiliśmy na korytarzu i powiedzieliśmy, że już jesteśmy.

Opat tylko mnie poprosił do pokoju i powiedział coś do matki, o tym, że dobrze się staram. Spuściłem głowę, prawie nie patrząc w stronę matki. Widziałem tylko jej kolana okryte spranymi bawełnianymi spodniami, jakie noszą kobiety na wsi, i leżące na nich dłonie o brudnych palcach.

Opat powiedział, że możemy już iść do mojego pokoju. Ukłoniliśmy się kilkakrotnie i wyszliśmy. Pokój był niewielkim składzikiem o powierzchni pięciu mat*, położonym na południe od Małej Biblioteki, i wychodził na dziedziniec. Kiedy znaleźliśmy się tam sami, matka wybuchnęła płaczem. Spodziewałem się, że tak będzie, więc udało mi się znieść to spokojnie.

– Jestem teraz pod opieką Świątyni i lepiej, żeby mama nie odwiedzała mnie, dopóki nie stanę się niezależny.

* W Japonii powierzchnię pokoju mierzy się w matach, którymi wyściela się podłogę. Jedna mata to prostokąt o wymiarach ok. 90 x 180 cm.

– Wiem, wiem.

Z wielką radością powitałem matkę okrutnymi słowami. Zdenerwowało mnie tylko, że matka jak dawniej nic nie czuła i nie stawiała żadnego oporu. Jednocześnie, gdy wyobraziłem sobie, że mogłaby przekroczyć próg i dostać się do wnętrza mojej duszy, ogarniał mnie strach.

W opalonej twarzy matki widniała para małych, chytrych, głęboko osadzonych oczu. Tylko jej wargi były jakby obdarte własnym życiem, czerwone i błyszczące. Miała duże, twarde, silne zęby wiejskiej kobiety. Była w takim wieku, że gdyby pochodziła z miasta, mogłaby jeszcze mocno się malować, lecz ona czyniła swą twarz tak brzydką, jak tylko się dało, poza tym zdałem sobie sprawę, że twarz ta miała w sobie coś cielesnego, jakby osad; i nienawidziłem tego.

Po wyjściu od opata matka wyplakała się za wszystkie czasy, a potem wyjęła ręcznik, z rodzaju tych, które otrzymywało się na kartki, zrobiony ze sztucznego tworzywa, i wytarła odsłoniętą opaloną szyję i ramiona. Ręcznik, który zrobiony był ze zwierzęco błyszczącego materiału, błyszczał jeszcze bardziej, gdy nasiąknął potem. Matka wyjęła z plecaka ryż. Powiedziała, że da go opatowi. Milczałem. Następnie odwinęła ze zwojów starej, szarej bawełny tabliczkę pośmiertną ojca i postawiła ją na mojej półce z książkami.

– Bardzo się cieszę. Ojciec też się pewnie cieszy, wiedząc, że jutro opat pomodli się za niego.

– Po rocznicy mama wróci do Nariu, prawda?

Odpowiedź matki mnie zaskoczyła. Okazało się, że odstąpiła już komuś prawa do świątyni w Nariu i pozbyła się niewielkiego kawałka ziemi. Zapłaciła wszystkie długi za leczenie ojca i postanowiła przenieść się do domu swego wuja w powiecie Kasa, w okolicach Kioto.

Świątynia, do której miałem powrócić, zniknęła! Nic już na mnie nie czekało na tym samotnym cyplu. Nie wiem, jak matka zrozumiała to uczucie wyzwolenia, które odmalowało się w tej chwili na mojej twarzy. Nachyliła się do mego ucha i powiedziała:

– Już nie ma twojej świątyni. Teraz już musisz zostać opatem w Złotej Pagodzie. Niech się opat tobą opiekuje i będziesz po nim dziedziczył. Dobrze? Mama żyje teraz tylko tą myślą.

Byłem zaskoczony i spojrzałem na matkę. Ale w przerażeniu nie mogłem spojrzeć jej prosto w oczy. W składziku panował już zmrok. Ponieważ mówiąc matka zbliżyła usta do mojego ucha, wokół zaczął unosić się zapach potu mojej „kochającej rodzicielki”. Pamiętam, że matka się wtedy śmiała. Wspomnienie ssania mleka, ciemnych piersi, te wizje przelatywały przez moją głowę w bardzo nieprzyjemny sposób. Wydaje się, że źródłem tych przyziemnych dążeń matki była jakaś nieodparta, cielesna siła, która mnie przerażała. Kiedy kręcone włosy matki dotknęły mojego policzka, zauważyłem, że na omszałej kamiennej latarni w ciemniejącym ogrodzie na dziedzińcu przycupnęła ważka. Wieczorne niebo wlewało się w okrągłe lustro wody na szczycie latarni. Wszędzie było cicho i wydawało się, że Rokuonji jest zupełnie bezludną świątynią.

W końcu spojrzałem wprost na matkę. W kąciuku błyszczących warg lśnił złoty ząb. Matka uśmiechała się. Odpowiadając, strasznie się jękałem.

– No tak, ale mogą mnie wziąć do wojska i mogą zginąć.

– Głupi. Jakby takich jękałów brali do wojska, to byłby koniec z Japonią.

Wyprostowałem się, czując wzrastającą nienawiść do matki. Ale dalej jękając się, próbowałem się wykręcać.

– Złota Pagoda może spłonąć w czasie nalołów.

– Jak tak dalej pójdzie, to wcale nie będzie nalołów na Kioto. Amerykanie tego nie zrobią.

Nie odpowiedziałem. Mroczniejący ogród na dziedzińcu nabrał barwy dna morskiego. Kamienie tonęły w ciemności i wyglądały tak, jakby dopiero co stoczyły gwałtowną walkę. Matka nie zwracając uwagi na moje milczenie, wstała i wcale się nie krępując, spojrzała na drzwi:

– Czy już nie pora na wieczerzę?

Kiedy później się nad tym zastanawiałem, pomyślałem, że to spotkanie z matką miało na mnie niemały wpływ. To wtedy zorientowałem się, że matka żyje w zupełnie innym świecie niż ja, a jednocześnie sposób myślenia matki po raz pierwszy silnie na mnie oddziałał. Matka należała do tych osób, dla których piękno Złotej Pagody było bez znaczenia, ale jednocześnie miała realistyczne podejście do życia, którego mi brakowało. To, że Kioto nie grożą naloty, to być może wbrew moim wyobrażeniom, prawda. Jeśli więc nie ma niebezpieczeństwa, że Złota Pagoda zostanie zbombardowana, to moje życie traci w tej chwili sens i świat, w którym żyłem, się rozpada.

Z drugiej strony, niespodziewane ambicje matki opanowały i mnie, mimo że ich nienawidziłem. Ojciec nie wspominał o tym ani słowa, ale kto wie, czy nie z takimi samymi dążeniami posłał mnie do tej świątyni. Tayama Dōsen był samotny. Jeśli on sam został opatem, bo ktoś pokładał w nim nadzieję jako w przedstawicielu przyszłego pokolenia, to dlaczego ja nie miałbym, jeśli się o to postaram, zostać jego następcą? Gdyby tak się stało, Złota Pagoda należałaby do mnie!

Myśli płątały mi się w głowie. Kiedy te wtórne ambicje okazały się zbyt przygniatające, wróciłem do moich pierwotnych wyobrażeń o tym, że Złota Pagoda spłonie w nalotach, ale ponieważ matka zniszczyła je swoim jasnym, trzeźwym sądem, znowu powróciłem do wtórnych ambicji i tak się miotalem między jednym a drugim, aż zmęczyło mnie myślenie i w rezultacie na karku pojawiło mi się duże, czerwone obrzmienie.

Nie ruszałem go. Obrzmienie utrwaliło się i naciskało mi na kark z gorącą, dużą siłą. W niespokojnym śnie zdawało mi się, że z mojej szyi wydobywa się szczerozłote światło, otacza moją głowę owalną aureolą i powoli się rozrasta. Ale gdy się obudziłem, okazało się, że był to tylko ból mojej złośliwej opuchlizny.

W końcu dostałem gorączki i musiałem się położyć do łóżka. Opat posłał mnie do chirurga. Chirurg, odziany w cy-

wilny mundur i getry, nadał mojej przypadłości prostą nazwę – furunkel*. Oszczędzał alkohol, więc zdezynfekował skalpel nad płomieniem i przyłożył do mojej szyi. Jęknąłem. Czułem, jak gorący, naciskający świat pęka na mojej szyi, kurczy się i słabnie...

* * *

Wojna dobiegła końca. Kiedy w fabryce słuchałem cesarskiego edyktu obwieszczającego zakończenie wojny, jedyną rzeczą, o jakiej myślałem, była Złota Pagoda.

Nic dziwnego, że gdy tylko wróciłem do świątyni, od razu pospieszyłem do Złotej Pagody. Żwir, którym w wysypana była dróżka prowadząca do Pagody, był rozpalony letnim słońcem i kamyczki przywierały do nierównych gumowych podeszew moich tenisówek.

Tokijczycy po usłyszeniu cesarskiego edyktu, ogłaszającego zakończenie wojny, udali się pewnie przed Pałac Cesarski, ale w Kioto wiele osób poszło lamentować przed nie zamieszkanym Starym Pałacem. W Kioto jest wiele świątyń sintoistycznych i świątyń buddyjskich, gdzie można płakać w takich wypadkach. Na pewno wiele świątyń nieźle zarobiło tego dnia na ofiarach. Jednak do Złotej Pagody nikt nie przyszedł.

Tak więc tylko mój cień kładł się na rozpalonym żwirze. Należałoby powiedzieć, że Złota Pagoda była tam, a ja byłem tu. Od chwili gdy spojrzałem na nią owego dnia, uświadomiłem sobie, że coś już się zmieniło w „naszym” związku.

W takich sytuacjach jak szok z powodu przegranej wojny czy narodowa żałoba, Złota Pagoda była niezrównana. A raczej udawała, że jest niezrównana. Wczoraj jeszcze taka nie była. To, że w końcu nie zginie w płomieniach, że nie ma już tej obawy, nadało jej znów ten wyraz, jakby mówiła: jestem tu od dawien dawna i będę tu najpewniej po wieczne czasy.

* Furunkel – niemiecki termin medyczny oznaczający czyrak. Medycyna japońska używa wielu słów pochodzenia niemieckiego.

Złota Pagoda stała w ciszy jak bezużyteczny, ale szlachetny przedmiot, którego po złota była od wewnątrz nieco starta, a teraz była pomalowana z wierzchu laką letniego światła słonecznego. Jak olbrzymia, pusta, ozdobna półka, stojąca przed płonącą zielenią lasu. Co można położyć na takiej długachnej półce? Tylko jakąś niespotykane olbrzymią kadzielnicę albo niespotykane ogromną nicość. Ale Złota Pagoda straciła takie rzeczy bez śladu, rozmyła ich realną jakość i stworzyła w tym miejscu przedziwnie pusty kształt. A co jeszcze dziwniejsze, Złota Pagoda, która od czasu do czasu objawiała mi swoje piękno, nigdy nie była tak piękna, jak tego dnia. Jeszcze nigdy nie objawiła mi takiego solidnego piękna, piękna, które wykraczało poza moje wyobrażenia, a właściwie wykraczało poza cały realny świat, które nie miało żadnego związku ze zniszczalnością. Jeszcze nigdy to piękno nie lśniło tak, odrzucając wszelkie znaczenia.

Nie przesadzam wcale, mówiąc, że gdy tak patrzyłem, zaczęły mi drżeć nogi, a na czole wystąpił zimny pot. Kiedy poprzednio przyjechałem zobaczyć Złotą Pagodę i wróciłem na wieś, wydało mi się, że miała w sobie harmonię niczym muzyka, za to teraz słyszałem tylko zupełną ciszę, zupełny bezgłos. Nic się w nim nie unosiło, nic się nie zmieniało. Złota Pagoda istniała, wznosiła się jak przerażająca przerwa w muzyce, jak dzwoniąca w uszach cisza.

Moja więź ze Złotą Pagodą została przerwana – pomyślałem. Zniknęła wizja, że Złota Pagoda i ja istniejemy na tym samym świecie. Wszystko znowu powraca do poprzedniego stanu, jeszcze bardziej niż przedtem pozbawionego pragnień. Stanu, w którym piękno jest tam, a ja jestem tu; który nie zmieni się tak długo, jak długo będzie trwał ten świat...

Dla mnie ta przegrana wojna była takim właśnie doświadczeniem wypełnionym rozpaczą. Jeszcze teraz mam przed oczami ten przypominający płomień letni blask piętnastego sierpnia. Ludzie mówili, że wszelkie wartości zostały wtedy zniszczone, ale we mnie, wręcz przeciwnie – odżyła wieczność, przyszła do siebie i domagała się swoich praw. Ta

wieczność, która mówiła, że Złota Pagoda będzie w niej istniała na wieki.

Wieczność, która spada z nieba, oblepia nasze policzki, dłonie, brzuchy i grzebie nas w sobie. Cóż to za przekleństwo! Taak. Nawet w głosach cykad dochodzących z gór w ten dzień kłęski słyhać było wieczność jak przekleństwo. Wieczność, która pokryła mnie skorupą złotego gipsu.

Tego wieczora, w czasie recytacji sutr przed udaniem się na spoczynek, modliliśmy się szczególnie długo za spokój Jego Cesarskiej Mości i za pocieszenie dusz ludzi poległych w czasie wojny. Od początku wojny przyjęło się we wszystkich sektach, że kapłan używał jedynie prostej stuły modlitewnej, jednak tego wieczoru opat specjalnie przybrał się w ceremonialną szkarłatną szatę, która w czasie długiej wojny nie była używana.

Jego pulchna, czysta twarz, w której nawet zmarszczki wyglądały na dobrze wypłukane, nawet dziś miała zdrowy kolor i opat wydawał się z czegoś bardzo zadowolony. W wieczornym upale słyhać było chłodny szelest jego jedwabnych szat. Po modlitwach wszystkich zawołano do pokoju opata, gdzie odbył się wykład. Na wykład Mistrz wybrał kōan* pod tytułem „Nansen zabija kota”, z czternastej przypowieści ze zbioru *Mumonkan***.

„Nansen zabija kota” pojawia się również w sześćdziesiątej trzeciej przypowieści w zbiorze *Hekiganroku**** pod ty-

* Kōan – problem do rozwiązania zadawany przez mistrza praktykującym zen. Jego rozwiązanie ma prowadzić do iluminacji. Zwykle opiera się na słowach wybitnych mnichów zen lub ich uczynkach.

** *Mumonkan* (chiń. Wumenguan) – chiński zbiór przypowieści zenistycznych (kōan) z okresu dynastii Song, zawierający 418 przypowieści i komentarze.

*** *Hekiganroku* (chiń. Biyanlu – Zapiski o błękitnej skale) – klasyczny zbiór przypowieści zenistycznych (kōan) z okresu dynastii Song. Zawiera 100 przypowieści, komentarze i wyjaśnienia.

tułem „Nansen zabija kociaka” oraz w sześćdziesiątej czwartej przypowieści pod tytułem „Chōshū nosi sandały na głowie” i jest od dawna uważany za jeden z trudniejszych problemów zen.

W czasach dynastii Tang żył słynny mnich imieniem Pu Yuan, który mieszkał na górze Nanquan w pobliżu Chizhou. Od nazwy owej góry w Japonii nazywany jest Nansen.

Pewnego dnia, gdy wszyscy mnisi wyszli, by naciąć trawę, w tej spokojnej górskiej świątyni pojawił się kociak. Wszyscy byli bardzo ciekawi kociaka, gonili go, aż złapali. Potem mnisi ze Wschodniej i Zachodniej części zakonu zaczęli się o niego kłócić, bo jedni i drudzy chcieli go chować.

Widząc to, mistrz Nansen natychmiast złapał kociaka za szyję, chwycił sierp i powiedział:

– Jeśli ktokolwiek coś powie, kociak będzie uratowany. Jeśli nic nie powiecie, zginie.

Mnisi nic nie odrzekli. Ojciec Nansen zabił kociaka i wyrzucił. Pod wieczór najstarszy uczeń Chōshū powrócił do świątyni. Ojciec Nansen opowiedział mu o wszystkim i zapytał o zdanie. Chōshū natychmiast zdjął buty, położył je sobie na głowie i wyszedł.

– Ach, gdybyś był tu dzisiaj, kociak byłby uratowany – zawołał ojciec Nansen.

Taka jest mniej więcej treść tej przypowieści i szczególnie fragment o położeniu sandałów na głowie jest uważany za bardzo trudny. Jednakże zdaniem opata nie było to wcale takie trudne do zrozumienia.

Mistrz Nansen zabił kociaka, żeby odrzucić własne złudzenia; zlikwidował źródło złudzeń i fałszywych pojęć. Poprzez okazanie braku litości i zabicie kota pozbył się sprzeczności, przeciwieństw i niezgody pomiędzy sobą a innymi. Nazywa się to Zabijający Miecz, a w wypadku Chōshū mówi się o Życiodajnym Mieczu. Dzięki swej nieograniczonej wielkoduszności, Chōshū położył na głowie buty, przedmioty pokryte błotem i lekceważone przez ludzi, pokazując w ten sposób praktycznie, jak iść drogą Buddy.

Mistrz wytłumaczył nam to w powyższy sposób i zakończył wykład, nie napomykając ani słowem o klęsce Japonii. Czuliśmy się, jakby opętał nas jakiś zły duch. Nie mieliśmy pojęcia, dlaczego akurat tego dnia, dnia klęski, opat wybrał właśnie ten problem.

Na korytarzu, idąc do pokoju, podzieliłem się tymi wątpliwościami z Tsurukawą. Tsurukawa też potrzasała głową z powątpiewaniem.

– Nie rozumiem – powiedział. – Pewnie trzeba przeżyć całe życie jako mnich, żeby zrozumieć. Ale myślę, że sedno leży w tym, że w dniu, kiedy przegraliśmy wojnę, nic na ten temat nie mówił, a mówił o zabiciu kota.

Wcale nie czułem się nieszczęśliwy z powodu przegranej. Leżała mi na sercu tylko ta zadowolona, pełna szczęścia twarz opata.

Zazwyczaj w świątyni szacunek dla opata jest czynnikiem utrzymującym porządek, ale choć byłem tu już od roku pod jego opieką, jakoś nie mogłem w sobie wzbudzić przywiązania i szacunku. Samo w sobie nie miało to znaczenia. Jednak moje siedemnastoletnie oczy, oczy chłopaka, w którym matka rozpałała ambicję, zaczęły od czasu do czasu krytycznie obserwować opata.

Był bezstronny i sprawiedliwy. Ale była to taka sprawiedliwość, że z łatwością mogłem sobie wyobrazić, że gdybym sam został opatem, to byłbym równie sprawiedliwy i bezstronny. Opat nie miał też poczucia humoru, które powinno być charakterystyczną cechą mnicha zen. A przecież tacy pulchni ludzie zwykle z natury są obdarzeni poczuciem humoru.

Słyszałem, że opat do woli zabawiał się z kobietami. Kiedy wyobrażałem go sobie w takej sytuacji, było to śmieszne, ale jednocześnie napawało mnie niepokojem. Co może czuć kobieta, gdy obejmuje ją takie różowe, przypominające ciastko ryżowe, ciało? Pewnie wydaje jej się, że to różowe, miękkie ciało rozpościera się do krańców świata i grzebie ją żywcem.

Nie mogłem się nadziwić, że mnich zen też posiada ciało. Być może opat tak wiele zabawiał się z kobietami, żeby okazać pogardę dla ciała, traktując je jako coś odrębnego od swej istoty. Ale jednocześnie zadziwiające było to, że to pogardzane ciało dobrze się odżywiało, było gładkie i lśniące i spowijało jego duszę. Ciało posłuszne, pokorne, jak oswojone zwierzę domowe. To ciało, które było dla duszy opata zupełnie jak kochanka...

Muszę wyjaśnić, czym dla mnie była przegrana wojna.

Nie była wyzwoleniem. Nie było to wcale wyzwolenie, lecz jedynie odrodzenie buddyjskiego czasu, w którym w codzienności stapiają się rzeczy niezmiennie i wieczne.

Świątynny rozkład dnia nazajutrz po klęsce powrócił do normy. „Otwarcie reguły” – pobudka, poranne zadania, posiłek poranny – kleik, prace różne, medytacja, wieczera, kąpiel i spoczynek. Poza tym, jako że opat srogo zabronił używania ryżu kupowanego na czarnym rynku, jedyny ryż, jaki znajdowaliśmy na dzień naszych ubogich miseczek z kleikiem, pochodził albo z ofiar parafian, albo był w małych ilościach kupowany przez diakona na czarnym rynku, a przecież my, akolici, potrzebowaliśmy pożywnego jedzenia, jako że jeszcze rośliśmy. Ale diakon twierdził, że ten ryż też pochodzi z ofiar. Czasami chodziliśmy kupować sobie słodkie kartofle. Kleik dostawaliśmy nie tylko na śniadania, ale także w południe, a wieczorem jedliśmy kleik i słodkie kartofle, dlatego ciągle byliśmy głodni.

Na prośbę Tsurukawy rodzina przysyłała mu czasem z Tokio coś słodkiego. Pewnej nocy przyszedł do mojego posłania i razem jedliśmy. Co pewien czas po nocnym niebie przelatywały błyskawice.

Zapytałem, dlaczego nie wraca do takiej zasobnej rodziny i kochających rodziców.

– To jest dla mnie ćwiczenie się w ascezie. Przecież ja też mam odziedziczyć świątynię mojego ojca.

Wydawało się, że nic go nie denerwuje, nic mu nie przeszkadza. Był jak pałeczki dokładnie pasujące do swojego pudełka. Mówiłem dalej, że być może teraz nadejdą nowe czasy, które nawet trudno sobie wyobrazić. Przypomniałem sobie, jak w trzy dni po klęsce poszedłem do szkoły i wszyscy mówili o oficerze, który dowodził pracami w fabryce. Załadował ciężarówkę pełną towarów i zabrał je do domu. Podobno publicznie mówił, że zamierza prowadzić interesy na czarnym rynku.

Pomyślałem, że ten zuchwały, okrutny oficer o przenikliwych, zimnych oczach zwrócił się prosto ku złu i rzucił w jego stronę. U krańca drogi, po której biegną jego oficerki, znajduje się chaos podobny do jutrzeńki, o twarzy do złudzenia przypominającej śmierć w czasie wojny. Wyruszy prawdopodobnie w białym jedwabnym szaliku łopoczącym na piersi, uginając się pod ciężarem skradzionych dóbr, będzie szedł, czując na policzkach chłodny wiatr dobiegającej kresu nocy. Prawdopodobnie wyniszczy się z zadziwiającą szybkością. Ale jeszcze dalej, jeszcze ciszej bije na dzwonnicy dzwon chaosu...

Bylem oddzielony od wszystkich takich rzeczy. Nie miałem ani pieniędzy, ani wolności, ani wyzwolenia. Ale kiedy mówiłem o „nowych czasach”, to w siedemnastym roku życia miałem na myśli podjęcie pewnej decyzji, mimo że jeszcze nie miała ona określonego kształtu. „Ponieważ ludzie poznają smak zła na świecie poprzez swoje życie i działania, ja zatoną, jak najgłębiej, w złu, które mam w sobie”.

Ale zło, o którym pomyślałem na początku, ograniczało się do tego, by zręcznie wkraść się w łaski opata i kiedyś zdobyć Złotą Pagodę. Snułem też nonsensowne marzenia, w których wyobrażałem sobie, że otruję opata i zajmę jego stanowisko. Te plany, po upewnieniu się, że Tsurukawa nie ma podobnych ambicji, nie dręczyły mojego sumienia.

– Czy ty nie masz żadnych niepokojów ani nadziei w związku z przyszłością?

– Nie, nie mam. Po co mam mieć?

W słowach Tsurukawy nie było nic ponurego ani nie prze-myślanego. Akurat wtedy błyskawica oświetliła jego wąskie, łagodnie zarysowane brwi, jedyny delikatny rys w jego twar-zy. Zdaje się, że Tsurukawa pozwalał fryzjerowi zgalać so-bie brwi od góry i od dołu. I te jego z natury wąskie brwi sta-wały się jeszcze węższe, a na krańcach, tam gdzie przejechała brzytwa, znajdowały się słabe, niebieskawe cienie.

Gdy spojrzałem na ten niebieski kolor, ogarnął mnie nie-pokój. Ten chłopak różni się ode mnie, on płonie na czystym krańcu życia. Przyszłość jest ukryta, zanim zapłonie. A knot lampki przyszłości tonie w zimnej, przezroczystej oliwie. Czy trzeba przewidywać własną czystość i niewinność? Zakła-dając, że w przyszłości zostanie tylko czystość i niewinność.

Tego wieczoru, po tym jak Tsurukawa wrócił do swego pokoju, nie mogłem usnąć z powodu duchoty późnego lata. W dodatku nie mogłem spać, bo próbowałem powstrzymać się od masturbacji, której zwykle się oddawałem.

Czasami miewałem zmary nocne. Nie były związane z wi-zjami erotycznymi. Na przykład śnił mi się czarny pies, bie-gnący przez ciemne miasto. Widać było dyszący oddech, który jak płomienie wydobywał się z jego paszczy. Pies miał na szyi dzwonek. Im bardziej wzmagало się dzwonięcie, tym bardziej rosło moje podniecenie. A gdy dochodziło do szczy-tu, miałem wytrysk. Kiedy się masturbowałem, miewałem piekielne wizje. Pojawiały się przede mną piersi i uda Uiko. A ja stawałem się niewiarygodnie małym, brzydkim owadem.

Odepchnąłem koldrę, wstałem i wymknąłem się cicho na zewnątrz, na tyły Małej Biblioteki. Za Rokuonji, jeszcze bardziej na wschód niż Sekkatei, znajduje się góra o nazwie Fudōsan. Jej zbocza porośnięte są sosnami, ziemię pokrywa bambusowa trawa i krzewy azalii oraz skalnica. Tak dobrze znałem tę górę, że mogłem się na nią wspiąć nawet w środ-ku nocy, nie potknąwszy się ani razu. Ze szczytu było widać górną część i centrum Kioto, a w dali góry Eizan i Daimonji.

Zacząłem się wspinać. Szedłem patrząc cały czas przed siebie, nie zwracałem uwagi na dźwięk skrzydeł płoszonych ptaków i udało mi się nie wpaść na żaden pień. Ta wspinaczka, podczas której o niczym nie myślałem, szybko mnie uspokoiła. Kiedy dotarłem na szczyt, chłodny nocny wiatr owiał moje zlane potem ciało.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Kioto, w którym po długim czasie cofnięto rozkaz zaciemnienia, było morzem światła. Nie byłem tu od zakończenia wojny, więc ten krajobraz jawił mi się nieomal jak cud.

Światła stanowiły jedność. Rozrzucone po całej powierzchni, bez zróżnicowania odległości, wyglądały jak wielka przezroczysta budowla, składająca się z samych tylko świateł, rozpościerając pośród nocy swe skrzydlate wieże i skomplikowane rogi. Tak właśnie powinna wyglądać metropolia. Świateł brakowało tylko w parku otaczającym pałac cesarski, który wyglądał jak wielka czarna jama.

Co pewien czas w dali, po stronie góry Eizan, nocne niebo rozświetlała błyskawica.

To jest właśnie doczesny świat – pomyślałem. – Wojna się skończyła i tam, wśród tych świateł, ludzie zatopieni są w złych myślach. Wiele kobiet i mężczyzn spogląda na siebie wśród tych świateł i już wkrótce poczują zapach czynów podobnych do śmierci, których nie uda im się uniknąć. Kiedy pomyślałem, że te niezliczone światła to wyłącznie światła zła, moje serce doznało pocieszenia. Proszę bardzo! Niech zło w moim sercu mnoży się i rośnie, niech jaśnieje, niech zachowa podobieństwo do tych wielkich świateł, które mam przed sobą! Niech ciemność mojego serca spowijającego to zło dorówna ciemności nocy spowijającej te światła!

* * *

Liczba zwiedzających Złotą Pagodę stopniowo rosła. Opat zwrócił się z prośbą do władz miasta i zezwolono mu na podniesienie opłaty za wstęp, żeby wyrównać skutki inflacji.

Do tej pory Złotą Pagodę zwiedzali nieliczni, skromnie wyglądający ludzie ubrani w mundury, robocze kombinezony albo bawełniane spodnie noszone zwykle na wsi. Wkrótce zjawiała się armia okupacyjna i Pagodę zaczęły osaczać prostackie zwyczaje doczesnego świata. Z drugiej strony odżył obyczaj składania ofiar z herbaty i kobiety pojawiały się w świątyni we wspaniałych barwnych strojach, które dotąd trzymały w ukryciu. W ich oczach odbijały się nasze postaci, nasze mnisie szaty tworzyły z nimi kontrast tak wyraźny, iż mogło się wydawać, że gramy role mnichów tylko dla zabawy. Jak mieszkańcy jakiegoś regionu specjalnie starający się zachować dawne zwyczaje dla turystów. Szczególnie żołnierze amerykańscy, zupełnie się nie krępując, ciągnęli nas za rękawy habitów i śmieli się. Albo dawali nam pieniądze, prosząc o pożyczkę habitu, żeby mogli sobie w nim zrobić zdjęcie. To zdarzało się wtedy, gdy czasami wołano mnie lub Tsurukawę, żebyśmy udzielali wyjaśnień zwiedzającym naszym łamanym angielskim, bo przewodnik nie znał tego języka.

Nadeszła pierwsza zima po wojnie. W pewien piątkowy wieczór zaczął padać śnieg i padał jeszcze w sobotę rano. Będąc w szkole, cieszyłem się już na powrót do domu w południe i widok Złotej Pagody w śniegu.

Po południu ciągle padało. W kaloszach, z torbą przewieszoną przez ramię poszedłem ścieżką dla zwiedzających nad staw Kyōkochi. Śnieg sypał gęsto. Tak jak robiłem to w dzieciństwie, podniosłem głowę ku niebu i szeroko otworzyłem usta. Płatki śniegu uderzały o zęby, wydając dźwięk podobny do uderzenia w cynfolię. Czulem, jak śnieg wpada do moich otwartych ust i topnieje w zetknięciu z ciałem. Wtedy wyobrażałem sobie wnętrze dziobu feniksa ze szczytu Kukyōchō. Gładkie, gorące gardło tego złotego, tajemniczego ptaka.

Śnieg sprawia, że czujemy się jak dzieci. A ja jeszcze nie skończyłem osiemnastu lat. Czyż nieprawdą byłoby więc powiedzenie, że i ja czulem w sobie chłopiące podniecenie?

Piękno pokrytej śniegiem Złotej Pagody było niezrównane. Ten przewiewny budynek, otoczony rzędem wąskich kolumnienek, stał nagi i odświeżony, przyjmując wpadający do środka śnieg.

Dlaczego śnieg się nie jąka? – zastanawiałem się. Czasami kiedy spadał na liście krzewów, wydawało się, jakby opadał na ziemię jąkając się. Gdy śnieg padał na mnie z nieba tak nieprzerwanie i płynnie, zapomniałem o ciemnych zakamarkach mojego serca i moja dusza powróciła do czystego rytmu, jakby padała na nią muzyka.

W rzeczywistości trójwymiarowa Złota Pagoda, w śniegu przestała być wyzywająca i stała się płaska jak na obrazku. Gałęzie klonów na wzgórzach po obu stronach stawu nie mogły utrzymać ciężaru śniegu, więc zagajnik zdawał się jeszcze bardziej nagi niż zwykle. Śnieg, leżący tu i ówdzie na gałęziach sosen, wyglądał wspaniale. Na powierzchni lodu pokrywającego staw zebralo się jeszcze więcej śniegu, ale były też, o dziwo, miejsca, gdzie śniegu nie było. Wyglądało to jakby staw był obrazem pokrytym śmiało namalowanymi, dużymi, hojnymi plamami chmur. Skąła Kyūsanhakkai, czyli Skąła Dziewięciu Gór i Ośmiu Mórz, i wyspa Awaji połączone były ze śniegiem powierzchnią lodu na stawie, a rosnące tam gęsto sosenki wyglądały zupełnie jakby nagle wyrosły z morza śniegu i lodu.

Białały trzy części nie zaśnieżonej Złotej Pagody – dachy Kukiōchō, Chōondō i mały daszek Sōsei, ale ciemna skomplikowana drewniana konstrukcja zdawała się lśnić na tle śniegu świeżą czernią. Tak jak gdy przysuwamy twarz bliżej obrazu ze Szkoły Południowej*, przedstawiającego na przykład wieżę pośród gór, żeby się upewnić, czy nikt tam nie mieszka, podobnie wdzięk starego, czarnego, drewnianego budynku sprawił, że nabrałem ochoty, by sprawdzić, czy

* Szkoła Południowa (nanga) – chińska szkoła malarstwa, która powstała w XIII wieku. Pejzaże malowane delikatnymi pociągnięciami pędzla stonowanymi kolorami.

naprawdę w Złotej Pagodzie nikogo nie ma. Ale gdybym nawet przysunął twarz bliżej, to poczułbym tylko zimny jedwab śniegu, a bardziej nie udałoby mi się zbliżyć.

Drzwi Kukyōchō dziś także stały otworem, zwracając się ku zaśnierzonemu niebu. W skupieniu przyglądałem się, jak płatki śniegu tańczą w pustej przestrzeni Kukyōchō, po czym zatrzymują się na starej, obłazącej pozłocie ścian i umierają, zamieniając się w małe kropelki złotej rosy.

Następnego dnia, w niedzielny poranek, przyszedł po mnie stary przewodnik. Świątynia nie była jeszcze otwarta dla zwiedzających, ale przyjechał amerykański żołnierz. Przewodnik pokazał mu gestem, żeby poczekał, i zawołał mnie, „mówiącego po angielsku”. O dziwo, umiałem po angielsku lepiej niż Tsurukawa i po angielsku się nie jękałem.

Przed wejściem stał jeep. Kompletnie pijany amerykański żołnierz stał, oparłszy rękę o słup bramy. Spojrzał w dół na mnie i zaśmiał się pogardliwie.

W słońcu ośnieżony ogród dziedzińca błyszczał oślepiająco. Stał plecami do tej jasności, a od jego nalanej, młodej twarzy wraz z białą chmurką oddechu doleciał mnie zapach whisky. Jak zwykle poczułem niepokój, wyobrażając sobie, jakie myśli przebiegają przez głowę kogoś, kto tak różni się wzrostem ode mnie.

Ponieważ zwykle nikomu się nie sprzeciwiałem, powiedziałem, że chociaż świątynia nie jest jeszcze otwarta, oprowadzę go i poprosiłem o opłatę za wstęp i przewodnika. Ku memu zdziwieniu, pijany żołnierz grzecznie zapłacił. Potem zajrzał do jeepa i powiedział coś w rodzaju „Wysiadaj!” Blask śniegu był tak silny, że do tej pory nie widziałem wnętrza jeepa. Wydawało mi się, że w oknie samochodu poruszyło się coś białego, jakby królik.

Na stopniu jeepa pojawiła się stopa w pantoflu na wysokim obcasie. Zdziwiłem się, ponieważ mimo zimna, kobieta nie miała pończoch. Od razu było widać, że jest prostytutką,

zadającą się z cudzoziemskimi żołnierzami. Miała na sobie bardzo czerwony płaszcz, a paznokcie u rąk i nóg były pomalowane na taki sam szkarłatny kolor. Kiedy rozchylił się jej dół płaszcza, ukazał się przybrudzony frotowy szlafrok. Kobieta też była straszliwie pijana i miała błędne oczy. Mężczyzna miał na sobie porządny mundur, ale kobieta przyszła chyba prosto z łóżka, narzuciwszy na siebie tylko płaszcz i szalik.

W blasku słońca odbijającego się od śniegu twarz kobiety była straszliwie blada. Na tle prawie bezkrwistej skóry pomalowane szkarłatną szminką wargi wyglądały, jakby nie były częścią żywej istoty. Wsiadłszy, kobieta kichnęła i wąskie zmarszczki ponad jej nosem zbliżyły się na chwilę do siebie. Zmęczone pijaństwem oczy spojrzały na chwilę w dal, ale potem znowu stały się błędne. Zawołała mężczyznę po imieniu, wymawiając je „Jaack”.

– Jaack! Too cold, too cold.

Głos kobiety żałośnie niósł się po śniegu. Mężczyzna nie odpowiedział.

Po raz pierwszy kobieta tej profesji wydawała mi się piękna. Nie dlatego, że była podobna do Uiko. Wyglądała jak portret, który namalowano z wielkim staraniem, by w żadnym szczególe nie przypominał Uiko. Miała urodę świeżą i wyzywającą, jakby stworzoną w proteście przeciw mojemu wspomnieniu Uiko. To znaczy, że było coś pochlebnego w tym wyzwaniu dla moich zmysłów, po tym jak po raz pierwszy w życiu uznałem, że coś jest piękne. Miała jednak coś wspólnego z Uiko. Nie spojrzała nawet na mnie, odzianego w przybrudzoną kurtkę i kalosze zamiast habitu.

Tak wcześnie rano wszyscy mieszkańcy świątyni wyszli odgarniać śnieg i dopiero co przetarto ścieżkę prowadzącą do Żółtej Pagody. Gdyby przyszła cała wycieczka, to trudno by im było przejść, ale odgarnięto tyle śniegu, że można było iść gęsiego. Ja ruszyłem przodem, a żołnierz i kobieta za mną. Kiedy żołnierz doszedł do stawu i roztoczył się przed nim widok, rozłożył szeroko ramiona i wołając coś niezrozu-

miałego, wydał okrzyk radości. Potem gwałtownie potrząsnął kobietą. Zmarszczyła tylko brwi i znowu powiedziała:

– Oh, Jaack, too cold.

Żołnierz wskazał na czerwone owoce, lśniące pośród liści drzew laurowych gęsto pokrytych śniegiem, i zapytał mnie, co to jest. Ja tylko mogłem odpowiedzieć: aoki, podając japońską nazwę drzewa. Być może w tym zwalistym cieple żołnierza kryła się dusza lirycznego poety, ale mnie jego czyste, niebieskie oczy wydawały się okrutne. Wśród cudzoziemskich wierszyków dla dzieci ze zbioru *Mother Goose* jest jeden, w którym mowa o złośliwych, okrutnych czarnych oczach, ale może to właśnie zazwyczaj tak jest, że ludzie dopatrują się okrucieństwa w tym, co cudzoziemskie.

Zacząłem jak zwykle opowiadać o historii Złotej Pagody. Żołnierz, nadal pijany, ledwo trzymał się na nogach. Zdjął buty i odrzucił je na bok. Zdrętwiała z zimna ręką wyciągnąłem z kieszeni angielski tekst na temat Złotej Pagody, który zwykle odczytuję w takich wypadkach. Jednak żołnierz wyciągnął rękę, zabrał mi tekst i zaczął go czytać, przedrzeżniając mnie, więc moje objaśnienia stały się niepotrzebne.

Oparłem się o balustradę Hosuiin i wpatrywałem w niezwykle błyszczący staw. Nigdy jeszcze wewnątrz Złotej Pagody nie było tak wystawione na światło; czyniło to człowieka wręcz niespokojnym.

Nie zorientowałem się, kiedy pomiędzy kobietą i mężczyzną, którzy przeszli w stronę Sōsei, wybuchła sprzeczka. Kłócili się coraz gwałtowniej, ale nie mogłem dosłyszeć ani słowa. Kobieta zdecydowanie coś odpowiedziała, lecz nie wiedziałem, czy był to angielski, czy japoński. Oboje zapomnieli już o moim istnieniu i dalej się kłócąc, wracali w kierunku Hosuiin. Żołnierz nachylił się ku kobiecie i wymyślał jej, gdy ona nagle wymierzyła mu silny policzek. Potem odwróciła się i zaczęła uciekać na wysokich obcasach w kierunku wejścia dla zwiedzających.

Nie wiedząc, co się dzieje, ja też oddaliłem się od Złotej Pagody i pobiegłem wzdłuż stawu. Ale kiedy dogoniłem ko-

bięte, obdarzony długimi nogami Amerykanin już tam był i trzymał ją za klapy czerwonego płaszcza. Stojąc tak, zerknął na mnie. Potem lekko opuścił ręce trzymające szkarłatny płaszcz. Te ręce miały najwyraźniej niezwykle siłę, ponieważ kobieta upadła płasko na śnieg. Rozchylił się dół czerwonego płaszcza i na śniegu pojawiły się rozłożone, nagie, białe uda.

Kobieta nawet nie próbowała wstać. Z dołu wpatrywała się ze złością w oczy wysokiego jak topola mężczyzny. Nie miałem wyboru, więc ukląknłem i próbowałem pomóc kobiecie wstać.

– Hęj! – krzyknął żołnierz. Odwróciłem się. Stał przede mną na szeroko rozstawionych nogach. Dawał mi palcami znak. I zupełnie zmienionym, ciepłym, miękkim głosem powiedział po angielsku: – Stań na niej. Spróbuj, stań na niej.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Ale jego niebieskie oczy patrzyły z wysoka rozkazująco. Za jego szerokimi barami lśniła pokryta śniegiem Złota Pagoda i jakby rozmyte i wilgotne błękitne zimowe niebo. Jego niebieskie oczy nie były wcale okrutne. Dlaczego w tamtej chwili wydawały mi się bardzo liryczne?

Jego grube ramię wyciągnęło się ku mnie, złapało mnie za kołnierz i postawiło na nogi. Ale ton, którym mi rozkazywał, był nadal ciepły i łagodny.

– Stań na niej. No, stań.

Nie miałem jak się przeciwstawić, więc uniosłem nogę w kaloszu. Żołnierz poklepał mnie po ramieniu. Moja noga uniosła się i stanęła na czymś miękkim, jak wiosenne błoto. Był to brzuch kobiety. Kobieta zamknęła oczy i jęknęła.

– Jeszcze, bardziej na niej stań.

Stanąłem. Uczucie niepewności, które miałem za pierwszym razem, przy drugim zmieniło się w gwałtowną radość. To jest brzuch kobiety – myślałem. A to pierś. Nie spodziewałem się, że ludzkie ciało jest tak elastyczne i sprężynuje jak piłka.

– Już wystarczy – powiedział żołnierz zdecydowanie.

Potem uprzejmię pomógł kobiecie wstać, otrząpał ją z błota i śniegu, i nawet nie spojrzawszy na mnie, ruszył przodem, podtrzymując kobietę, która aż do końca unikała mojego wzroku.

Kiedy doszli do jeepa, najpierw pomógł wsiąść kobiecie. Wytrzeźwiał już i poważnie powiedział do mnie „thank you”. Chciał mi dać pieniądze, ale nie przyjąłem. Wziął leżące na siedzeniu dwa kartony amerykańskich papierosów i wcisnął mi pod pachę. Stałem tak przy bramie w blasku śniegu z pałającymi policzkami. Jeep oddalił się, trzęsąc się z wysiłku i podnosząc tumany śniegu. W końcu zniknął mi z oczu. Byłem bardzo podniecony.

Gdy wreszcie minęło podniecenie, przyszedł mi do głowy plan pełen radosnej hipokryzji. Jakże ucieszy się z niego opat, który lubi papierosy. I o niczym nie będzie wiedział.

Nie musiałem przyznawać się do wszystkiego, co zaszło. Rozkazano mi i zostałem do tego zmuszony. Gdybym się sprzeciwił, nie wiadomo, co by się ze mną stało.

Poszedłem do pokoju opata w Wielkiej Bibliotece. Diakon właśnie golił głowę opata, i robił to bardzo zręcznie. Czekałem na brzegu werandy pełnej porannego słońca. Oślepiająco błyszczący śnieg, pokrywający sosnę zwaną Okrętem, wyglądał jak nowiutki, zwinięty żagiel.

Podczas golenia głowę opat siedział z przymkniętymi oczami, w obu dłoniach trzymając papier, na który opadały golone włosy. Ukazujący się stopniowo zarys tysej czaszki opata miał w sobie jakąś zwierzęcą surowość. Po ogoleniu diakon owinął głowę opata ciepłym ręcznikiem. Po chwili zdjął ręcznik. Ukazała się niby nowo narodzona, błyszcząca, jakby ugotowana głowa.

W końcu powiedziałem, co miałem do powiedzenia, i z ukłonem podałem opatowi dwa kartony chesterfieldów.

– No, no, dziękuję – uśmiechnął się lekko, jakby samymi policzkami. I to wszystko.

Opat obojętnie położył dwa kartony papierosów byle gdzie na biurku zasłanym różnymi papierami i listami.

Diakon zaczął masować mu ramiona, więc opat znowu zamknął oczy. Nie pozostawało mi nic innego, jak wyjść. Zrobiło mi się gorąco z rozczarowania. Opat, o niczym nie wiedzący i przyjmujący papierosy, które ja dostałem w nagrodę za niepojęty, zły uczynek... w tej serii wydarzeń powinno być coś bardziej dramatycznego, poważnego. Człowiek, który był opatem, powinien był to zauważyć. Dla mnie był to jeszcze jeden ważny powód, by nim pogardzić.

Ale gdy chciałem odejść, opat zawołał mnie. Okazało się, że właśnie zamierzał obdarzyć mnie łaską.

– Posłuchaj – powiedział. – Jak skończysz szkołę, mam zamiar wysłać cię na Uniwersytet Ōtani*. Twój zmarły ojciec też na pewno się o ciebie martwi, więc ucz się dobrze i z dobrymi stopniami dostań się na uniwersytet.

Diakon natychmiast przekazał tę wiadomość wszystkim w świątyni. To, że opat pragnie posłać kogoś na uniwersytet, dowodziło, że wiele się po nim spodziewa. Słyszałem wiele historii o tym, że dawno temu akolici, chcąc pójść na uniwersytet, noc po nocy chodzili do pokoju swego opata, by masować mu ramiona, aż w końcu spełniały się ich marzenia. Tsurukawa, którego na Uniwersytet Ōtani posyłała rodzina, ucieszył się i poklepał mnie po ramieniu. Drugi uczeń, któremu opat nic na temat uniwersytetu nie wspomniał, przestał się do mnie odzywać.

* Uniwersytet Ōtani – prywatna uczelnia sekty shinshū (odłam szkoły Ōtani), założona przez klasztor Higashi Honganji i zmodernizowana na przełomie XIX i XX w.

Rozdział IV

Wiosną roku tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego rozpocząłem kurs wstępny na Uniwersytecie Ōtani, ale nie było to triumfalne wydarzenie, któremu towarzyszyła niezmienna miłość opata i zawiść kolegów. Dla postronnego obserwatora tak to pewnie wyglądało, ale w rzeczywistości z moim wstąpieniem na uczelnię związana była pewna okoliczność, którą wspominam z wielką niechęcią.

W tydzień po tym śnieżnym poranku, kiedy opat postanowił posłać nunie na uniwersytet, wróciwszy ze szkoły zauważyłem, że akolita, któremu opat nic nie wspomniał o dalszej nauce, przygląda mi się z bardzo zadowoloną miną, mimo że od pewnego czasu w ogóle się do mnie nie odzywał.

Zachowanie świątynnego służącego i diakona w stosunku do mnie też było jakieś inne, ale widziałem, że starają się udawać, że wszystko jest w porządku.

Tego wieczoru poszedłem do pokoju Tsurukawy i zacząłem narzekać, że wszyscy w świątyni dziwnie się do mnie odnoszą. Na początku Tsurukawa kręcił głową i udawał, że nic nie wie, ale ponieważ nie umiał ukrywać swoich uczuć, wkrótce spojrzął na mnie pełen skruchy.

– Ja od niego – tu wymienił nazwisko drugiego akolity – słyszałem, ale on też tylko od kogoś o tym słyszał, bo był wtedy w szkole i nie mógł wiedzieć... w każdym razie pod twoją nieobecność zdarzyło się coś dziwnego.

Zaniepokoiłem się i zasypałem go pytaniami. Tsurukawa kazał mi przysiąc, że nikomu nie powtórzę, i zaczął mówić, bacznie mi się przyglądając.

Pewnego dnia po południu do świątyni przyszła prostytutka świadcząca usługi cudzoziemcom, ubrana w czerwony płaszcz. Poprosiła o widzenie z opatem, ale wyszedł do niej diakon. Kobieta nawymyślała mu i powiedziała, że koniecznie musi się widzieć z opatem. Opat niestety przechodził akurat korytarzem, zobaczył kobietę i podszedł do niej. Twierdziła, że tydzień temu, w ten pogodny poranek, po tym jak spadł śnieg, przyszła do Złotej Pagody z cudzoziemskim żołnierzem. Młody mnich, który ich oprowadzał, chcąc się podliznąć żołnierzowi, podeptał brzuch kobiety, którą żołnierz uprzednio przewrócił. Tego wieczoru kobieta miała poronienie. W związku z tym chce pewnej sumy pieniędzy. Jeśli nie dostanie, to rozgłosi ten karygodny postępek w Rokuonji i będzie się publicznie domagała zadośćuczynienia.

Opat w milczeniu dał jej pieniądze i odprowadził ją. Tego dnia tylko ja mogłem być owym przewodnikiem, ale ponieważ nie było naocznych świadków mojego przestępstwa, opat nakazał, by absolutnie mi o tym nie wspominać. Zamierzał pominąć to wydarzenie milczeniem. Jednak gdy wszyscy w świątyni usłyszeli o całej sprawie od diakona, nikt nie wątpił w moją winę. Tsurukawa ujął mnie za rękę nieomal ze łzami w oczach. Jego przejrzyste oczy wpatrywały się we mnie i ten chłopięcy czysty głos nalegał:

– Czy naprawdę zrobiłeś coś takiego?

Spojrzałem w twarz moim czarnym uczuciom. Tsurukawa zmusił mnie do tego swoim natrętnym, pełnym nalegania pytaniem.

Czemu Tsurukawa mnie o to pyta? Czyżby z przyjaźni? Czy on wie, że zadając mi takie pytanie, odrzuca swoją prawdziwą rolę? Że takim pytaniem zdradził mnie do głębi?

Już wcześniej chyba kilka razy wspomniałem, że Tsurukawa był moim pozytywnym odbiciem. Gdyby Tsurukawa pozostał wierny swojej roli, to nie zarzucałby mnie pytaniami, o nic by nie pytał, tylko wzięwszy moje ciemne, ponure

uczucia takimi, jakimi były, przełożyłyby je na jasne i dobre, nic w nich nie zmieniając. Wtedy kłamstwo stałoby się prawdą, a prawda stałaby się kłamstwem. Gdyby Tsurukawa zastosował ten swój, tylko jemu właściwy, sposób, wówczas przetłumaczyłby wszystkie cienie na światła, wszystkie noce na dzień, wszystkie blaski księżyca na blaski słońca i wilgoć wszystkich nocnych mchów na szelest młodych, lśniących liści w południe. Być może wtedy i ja, jękając się, wyznałbym swoją winę. Jednak był to jedyny raz, gdy Tsurukawa tego nie uczynił. I wtedy moje ciemne uczucia nabrały mocy...

Zaśmiałem się wymijająco. Późna noc w ciemnej świątyni. Zimne kolana. Liczne stare, masywne kolumny otaczały nas i górowały nad nami, gdy tak cicho rozmawialiśmy.

Trząśłem się prawdopodobnie z zimna. Ale przyjemność z pierwszego kłamstwa, które miałem powiedzieć prosto w oczy przyjacielowi, też pewnie wystarczyłaby, by zadrżały moje okryte piżamą kolana.

– Nic takiego nie zrobiłem.

– Ach tak! To znaczy, że ta kobieta kłamała. Cholera. Nawet diakon w to uwierzył.

Jego poczucie sprawiedliwości wzburzyło się i groził, że jutro koniecznie pójdzie do opata i wszystko mu wyjaśni. Wtedy ujrzałem w wyobraźni przypominającą gotowane warzywo ogoloną głowę opata. I nie stawiające oporu różowe policzki. Ten obraz nagle wydał mi się wręcz odrażający. Musiałem własnymi rękami jakoś zdusić to poczucie sprawiedliwości Tsurukawy, zanim je publicznie zamanifestuje.

– Ale czy Mistrz uwierzył, że ja to zrobiłem?

– Hm... – zafrasował się Tsurukawa.

– Nawet jeśli inni mnie obgadują, to skoro Mistrz milczy i przymyka na wszystko oczy, myślę, że nie ma się co martwić.

Potem wytłumaczyłem mu, że wyjaśnianie sytuacji tylko pogłębi podejrzenia w stosunku do mnie. Powiedziałem, że Mistrz dlatego postanowił pominąć wszystko milczeniem, że

nie wierzy w moją winę. Gdy to mówiłem, w mojej piersi zakiełkowała radość i stopniowo zapuściła solidne korzenie. Radość, że „nie było naocznych świadków”.

Wcale nie przypuszczałem, że opat nie wierzy w moją winę. Prawdopodobnie jest wręcz przeciwnie. To, że pomija całą sprawę milczeniem, jeszcze bardziej utwierdza mnie w moich przypuszczeniach.

Może domyślił się wszystkiego już wtedy, gdy przyjął ode mnie dwa kartony chesterfieldów. I pomija sprawę milczeniem tylko dlatego, że spokojnie czeka w oddali, aż ja sam dobrowolnie do wszystkiego się przyznam. Być może założył przynętę w postaci obietnicy posłania mnie na uniwersytet i zamierza jej dotrzymać w zamian za moje przyznanie się do winy. Jeśli się nie przyznam, to za karę za nieuczciwość nie pójdę na uniwersytet, a jeśli się przyznam i zobaczy, że okazuję skruchę, to tym razem będzie wyjątkowo wyrozumiały i łaskawy i pozwoli mi dalej studiować. A największa pułapka kryje się w tym, że opat zabronił diakonowi rozmawiać ze mną na ten temat. Jeżeli naprawdę jestem niewinny, wtedy nie czując żadnych wyrzutów sumienia, o niczym nie wiedząc, będę sobie normalnie żył dzień za dniem. Natomiast jeśli dopuściłem się tego występku i jeżeli mam choć trochę rozumu, to będę w stanie udawać, że nic się nie stało i także żyć sobie spokojnie dzień po dniu w niewinnym milczeniu, jakbym nie musiał się do niczego przyznawać – to znaczy będę postępować zwyczajnie, tak jak na pewno postępowałbym, będąc niewinnym. Tak, muszę udawać, że nic się nie stało. To najlepszy sposób i jedyny, który dowiedzie mojej niewinności. Opat próbuje mi to dać do zrozumienia. Próbuje wciągnąć mnie w pułapkę. – Kiedy doszedłem do tego miejsca, ogarnął mnie gniew.

Nie jest przecież tak, że nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Gdybym nie stanął na tej kobiecie, cudzoziemski żołnierz mógł przecież wyjąć rewolwer i grozić, że mnie za-

bije. Nie można stawiać oporu armii okupacyjnej. Zrobiłem to wszystko, bo zostałem zmuszony.

Jednak brzuch kobiety pod podeszwą kalosza, jego pełna zalotności sprężystość, jęk kobiety, uczucie, że ciało otwiera się pod naciskiem jak kwiat, pewne drżenie zmysłów, coś, co wydostało się z ciała kobiety i przeszło mnie jak błyskawica – nie mogę powiedzieć, że i do zasmakowania tych uczuć zostałem zmuszony. Jeszcze dziś pamiętam tamtą słodycz.

I opat wiedział, co ja wtedy czułem. On znał istotę tej słodyczy.

Przez następny rok byłem jak mały ptaszek uwięziony w klatce. Ciągłe widziałem jej pręty. Powtarzałem sobie, że za nic się nie przyznam, ale w moim życiu nie było już swobody.

I oto zdarzyło się coś zadziwiającego. Ten postępek, który wtedy wcale nie wydawał mi się naganny, to podeptanie brzucha kobiety, zaczął stopniowo nabierać blasku w mojej pamięci. Stało się to nie tylko dlatego, że dowiedziałem się, że jego skutkiem było poronienie. Ten czyn osiadał w mojej pamięci jak złoty piasek i wydzielał ciągły, porażający oczy blask. Blask zła. Tak. Nie wiadomo kiedy jasno uświadomiłem sobie, że popełniłem zło, nawet jeśli to było małe zło. I wisiało ono teraz jak order wewnątrz mojej piersi.

Jak na razie, do czasu egzaminów wstępnych na Uniwersytet Ōtani, praktycznie mogłem tylko zgadywać intencje opata i gubić się w domysłach. Opat nigdy nie powiedział nic na temat cofnięcia swej ustnej obietnicy posłania mnie na studia. Ale nie mówił też nic o tym, bym pośpiesznie przygotowywał się do egzaminów. Obojętne mi było, co zdecyduje, ale nie mogłem się doczekać wyroku. Jednak opat jak na złość trwał w milczeniu, poddając mnie długotrwałym torturom. A ja z kolei, czy to ze strachu, czy z uporu, nie mogłem spytać opata o jego zamiary dotyczące mojej dalszej edukacji. Osoba opata, któremu dawniej okazywałem zwykły szacunek i któremu czasem nawet przyglądałem się krytycznie,

powoli nabrała nadludzkich rozmiarów i nie wydawało mi się już, że może posiadać ludzkie uczucia. I kiedy tylko próbowałem odwrócić od niego wzrok, nie znikał, tylko rozpościerał się przede mną jak jakiś zaklęty zamek.

Zdarzyło się to późną jesienią. Poproszono opata o odprawienie modłów na pogrzebie dawnego parafianina, a że miejsce było oddalone o dwie godziny drogi pociągiem, poprzedniego wieczora opat oznajmił, że wyruszy o pół do szóstej rano. Diakon będzie mu towarzyszył. My też mieliśmy wstać o czwartej, by zdążyć z porządkami i przygotowaniem posiłku, przed wyruszeniem opata w drogę.

W czasie gdy diakon pomagał opatowi przygotować się do drogi, odczytaliśmy poranne sutry. Od strony podwórza dobiegało nieprzerwane skrzypienie łańcucha studziennego wiadra. Mieszkańcy świątyni myli się w pośpiechu. Pianie koguta na dziedzińcu przeszło ciemność świtu tego późnojesiennego poranka. Dźwięk brzmiał świeżo i jakby rozjaśniał ciemność. Poprawiliśmy rękawy habitów i pospieszyliśmy przed ołtarz w Sali Gościnnej.

Duże maty, na których nigdy nikt nie spał, w zimnym powietrzu przed świtem wydawały się nieprzyjazne dla naszych stóp, tak jakby nie chciały, by ich dotykać. Płomienie świec na ołtarzu chwiały się. Oddaliśmy ukłony. Najpierw skłania się głowę, potem klęka na dźwięk dzwonka i skłania ponownie. Powtarza się to trzykrotnie.

Podczas porannych modlitw zawsze uderza mnie świeżość chóru męskich głosów odczytujących sutry. I dziś odczułem to samo. Rano głosy recytujące sutry są zawsze najsilniejsze, ta siła jakby rozpyła wokół rozprasające nocne myśli, struny głosowe rozpryskują czarną mgielkę. Nie wiedziałem, czy ja też to robię. Nie wiedziałem, ale gdy pomyślałem, że i mój głos wydziela taką męską nieczystość, jakoś dziwnie nabrałem odwagi.

Czas odjazdu opata nadszedł, zanim skończyliśmy śniadanie. Było w zwyczaju, że wszyscy mieszkańcy świątyni stawali rzędem przy wyjściu, by go pożegnać.

Jeszcze nie świtało. Niebo było pełne gwiazd. Prowadząca do bramy Sanmon brukowana aleja rozciągała się w ich świetle białą wstęgą. Cienie wielkich dębów, śliw i sosen rozposzcierały się wszędzie, zachodziły jeden na drugi i pokrywały całą ziemię. Mój sweter był dziurawy i w porannym chłodzie marzły mi łokcie.

Wszystko odbywa się bez słowa. W milczeniu pochylamy głowy. Opat tylko lekko skłania głowę. Następnie stuk drewnianych sandałów opata i diakona o bruk alei powoli się od nas oddala. Jest w zwyczaju zen, aby odprowadzać kogoś wzrokiem, aż stanie się zupełnie niewidoczny.

W oddali nie widać już całych postaci, a jedynie biały brzeg habitów i białe skarpetki tabi. Przyszedł moment, kiedy zupełnie zniknęli nam z oczu, ale przysłoniły ich tylko cienie drzew. Wyszli z cienia i znów pojawiły się białe brzegi szat i skarpetki, a echo kroków stało się jakby głośniejsze. Staliśmy bez ruchu, odprowadzając dwie sylwetki wzrokiem. Dość długo musieliśmy czekać, dopóki nie minęli bramy i nie zniknęli nam z oczu.

I wtedy nagle narodził się we mnie dziwny impuls. Tak samo jak wtedy, gdy próbuję powiedzieć coś ważnego i z powodu jąkania słowa więzną mi w gardle; ten impuls ścisnął mi gardło. Chciałem się uwolnić. Nie tylko chęć odziedzczenia stanowiska po opacie, wcześniej zasugerowana przez matkę, ale także chęć pójścia na Uniwersytet Ōtari przestały istnieć. Chciałem się uwolnić od tej milczącej siły, która mnie przygniatała, która mnie trzymała w niewoli.

Nie mogę powiedzieć, że brakowało mi wtedy odwagi. Odwaga potrzebna do przyznania się to nic wielkiego! Dla mnie, po dwudziestu latach życia w milczeniu, wartość przyznania się do winy była niewielka. Może powiecie, że przesadzam? Pomyślicie, że przeciwstawiając się milczeniu opata i nie przyznając się do winy, chciałem sprawdzić, „czy zło jest możliwe”? Gdybym do końca nie wyznał, to udowodniłbym, że zło, choćby nawet niewielkie, jest rzeczywiście możliwe.

Jednocześnie patrząc na biały brzeg habitu i skarpetki opata, które to pojawiając się, to znikając wśród cieni drzew oddalały się w porannym mroku, czułem jak ta siła tkwiąca w moim gardle prawie zupełnie wymyka mi się spod kontroli. Chciałem wszystko wyznać. Chciałem dogonić opata i chwyciwszy go za rękaw, głośno, po kolei i dokładnie opowiedzieć mu wydarzenia tego śnieżnego dnia. To wcale nie szacunek dla opata wywołał we mnie takie myśli. Siła opata wydawała mi się pewnego rodzaju potężną siłą fizyczną.

Powstrzymała mnie jednak myśl, że jeśli się przyznam, to pierwsze małe zło, które popełniłem w życiu, zostanie zniszczone. Coś mocno uchwyciło mnie z tyłu i zatrzymało. Postać opata przeszła pod bramą i zniknęła wśród ciągle jeszcze ciemnego nieba.

Wszyscy nagle poczuli się swobodnie i z hałasem pobiegli do wejścia. Gdy ja stałem niepewny, Tsurukawa poklepał mnie po ramieniu. Moje ramię zbudziło się. To chude, nędzne ramię znowu dumnie się wyprostowało.

* * *

Mimo tych wszystkich wydarzeń, jak już wcześniej wspominałem, wstąpiłem na Uniwersytet Ōtani. Przyznanie się do winy okazało się niepotrzebne. Kilka dni później opat przywołał mnie i Tsurukawę. Był oszczędny w słowach. Powiedział tylko, że już czas zacząć się przygotowywać do egzaminów i że przez czas nauki będziemy zwolnieni od wykonywania prac w świątyni. W ten sposób poszedłem na uniwersytet, ale to nie znaczy, że tym samym wszystko zostało załatwione. Zachowanie opata było nieprzeniknione i nie miałem pojęcia, jakie są jego zamiary w kwestii dziedziczenia świątyni.

Uniwersytet Ōtani. Miejsce, w którym po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z ideami, i to z ideami, które sam mogłem wybrać. Uniwersytet okazał się punktem zwrotnym w moim życiu.

Uniwersytet Ōtani ma niemal trzechsetletnią historię. W roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym trzecim bursa uniwersytecka świątyni Tsukushi Kanzeonji została przeniesiona na teren rezydencji Kikoku w Kioto. Od tego czasu przez wiele lat był klasztorem dla wyznawców Honganji* z odłamu ōtani. W czasach piętnastego patriarchy Honganji wierny z Naniwa nazwiskiem Takagi Sōken złożył ofiarę na klasztor. Wtedy właśnie wybrano na przyszłą uczelnię teren w Karasumagashira w północnej części stolicy. Uniwersytet zajmował powierzchnię około czterech hektarów, co jak na uczelnię wcale nie było dużym terenem. Przybywali tu nie tylko wyznawcy odłamu ōtani, ale chłopcy ze wszystkich sekt i szkół, by zdobyć podstawową wiedzę na temat filozofii buddyjskiej.

Stara brama z cegły oddzielała teren uniwersytetu od ulicy, którą jeździły tramwaje. Stała po zachodniej stronie, gdzie na tle nieba wznosiła się góra Hieizan. Od bramy do podjazdu dla dorożek przed głównym budynkiem wiodła żwirowana aleja. Ów główny budynek był ponurą piętrową budowlą z czerwonej cegły. Z dachu nad wejściem wznosiła się kryta miedzią wieżyczka, wyglądająca na dzwonnice, choć nigdzie nie było widać dzwonu, lub na wieżę zegarową, choć nie było w niej zegara. Niepotrzebne kwadratowe okno wycięte z błękitnego nieba pod cienką linią piorunochronu.

Obok bramy rosła stara lipa. Gdy padały na nią promienie słońca, jej wspaniała korona lśniła miedzianą czerwienią. Uniwersytet składał się z wielu budynków, które kolejno dobudowywano do budynku głównego, nie zachowując przy tym szczególnego porządku. W większości były parterowe i drewniane. W budynkach uniwersyteckich obowiązywał za-

* Honganji, tu Higashi Honganji (Wschodnie Honganji) – główna świątynia sekty jōdo-shinshū (Czystej Ziemi) szkoły Ōtani, znajdująca się w Shimogyō-ku w Kioto. Założona w 1603 r. po tym, jak świątynia Honganji rozpadła się na dwa rywalizujące ze sobą odłamy: Higashi i Nishi (Zachodnie) Honganji. Świątynia kilkakrotnie padała ofiarą pożarów, w których spłonęło wiele wspaniałych dzieł sztuki.

kaz noszenia obuwia, więc poszczególne części połączone były niezliczonymi, zniszczonymi bambusowymi kładkami. Te kładki naprawiano tylko w tych miejscach, które uległy zniszczeniu, tak że przechodząc z budynku do budynku, szło się po mozaikach we wszystkich odcieniach drewna, od bardzo jasnego do bardzo ciemnego.

Zawsze tak jest w nowej szkole – chodzi tam człowiek co dzień pełen nowych uczuć, ale jednocześnie pełen sprzecznych myśli. Znałem tu tylko Tsurukawę. I zawsze rozmawiałem tylko z nim. Tsurukawa też najwyraźniej czuł, że to nie ma sensu, bo przecież wreszcie znaleźliśmy się w innym świecie i powinniśmy z tego korzystać. Toteż po kilku dniach postanowiliśmy się rozdzielić i w czasie przerw poszukać nowych przyjaciół, każdy na własną rękę. Jednak ja, będąc jąką, nie miałem tyle odwagi i podczas gdy rosła liczba przyjaciół Tsurukawy, ja byłem coraz bardziej samotny.

Roczny kurs przygotowawczy składał się z dziesięciu przedmiotów i zawierał etykę, japoński, klasyczny chiński, chiński, angielski, historię, klasyczne teksty buddyjskie, logikę, matematykę i gimnastykę. Wykład z logiki od początku sprawiał mi kłopoty. Kiedyś po wykładzie w czasie południowej przerwy postanowiłem zadać kilka pytań studentowi, którego wcześniej sobie upatrzyłem. Zwykł zawsze samotnie jeść drugie śniadanie, siedząc przy rabatce z kwiatami w ogrodzie na tyłach uniwersytetu. Ten jego zwyczaj był jakby pewnego rodzaju rytuałem. Jadł tak, jakby mu zupełnie nie smakowało. Wydawał się przez to odludkiem i inni studenci nie zbliżali się do niego. On też nie miał żadnych kolegów i wyglądało na to, że unika nawiązywania znajomości.

Wiedziałem, że nazywa się Kashiwagi. Jego rzucającą się w oczy charakterystyczną cechą było to, że miał bardzo koślawe stopy. Chodził w sposób niezwykle wymyślny. Wyglądało to tak, jakby brnął przez błoto. Kiedy wreszcie wyciągnął z błota jedną nogę, druga jeszcze mocno tam tkwiła.

Całe jego ciało wprawiane było przy tym w ruch i przypominało to jakiś rodzaj pompatycznego tańca, nie mającego nic wspólnego z normalnym chodem.

Nie przypadkiem zainteresowałem się Kashiwagim od razu po wstąpieniu na uniwersytet. Poczulem ulgę na widok jego kalectwa. Jego koślawe stopy korespondowały z warunkami, w jakich ja żyłem.

Kashiwagi rozłożył swoje śniadanie w ogrodzie, na brzegu półki koniczyny. Ogród ten znajdował się za zaniebanym budynkiem z wieloma wybitymi szybami, w którym dawniej ćwiczono karate i ping-ponga. Rosło tu kilka chudych sosenek i na ziemi leżało parę pustych drewnianych ram. Obłąziła z nich niebieska farba, łuszczyła się i zwijała jak wyschnięte, sztuczne kwiaty. Z boku było kilka półek na miniaturowe drzewka bonsai, sterta gruzu i grządki z hiacyntami i pierwiosnkami.

Przyjemnie było siedzieć wśród koniczyny. Delikatne listki piły światło, pełno było małych cieni, zdawało się więc, że całe półko lekko unosi się nad ziemią. Siedzący Kashiwagi, w odróżnieniu od idącego, niczym nie różnił się od innych studentów. Jego bladawa twarz miała nawet w sobie jakieś surowe piękno. Osoby kalekie często mają w sobie jakby niestosowne piękno, jak piękno urodziwej kobiety. Ludzie kalecy i urodziwe kobiety są zmęczeni tym, że inni ciągle im się przyglądają, mają dość tego, że ich cała egzystencja polega na byciu przedmiotem obserwacji, czują się przyparci do muru i odwzajemniają te spojrzenia samym swoim istnieniem. Ten, kto patrzy, jest górą. Jedzący drugie śniadanie Kashiwagi miał oczy spuszczone, ale czułem, że dokładnie widzi wszystko, co dzieje się naokoło.

Siedział w słońcu i wydawał się zupełnie samowystarczalny. To wrażenie było uderzające. Patrząc na niego w tym wiosennym blasku, wśród kwiatów, zrozumiałem, że on nie ma w sobie wstydu i poczucia winy, które ja sam czułem. Był kimś, kto istnieje, a nie kimś, kto się czegoś domaga. Oczywiście było, że słońce nie przeniknie przez jego twardą skórę.

Śniadanie, które jadł z takim zajęciem, a jednocześnie z takim niesmakiem, było byle jakie, równie nędzne jak posiłki, które ja rano przygotowywałem sobie w świątyni. W roku czterdziestym siódmym ciągle jeszcze pożywnie jedzenie można było dostać jedynie na czarnym rynku.

Stanąłem obok Kashiwagi z zeszytem i pudełkiem z drugim śniadaniem w ręku. Mój cień padł na jego jedzenie, więc Kashiwagi podniósł wzrok. Spojrzał na mnie przelotnie, znów opuścił głowę i dalej żuł monotonicznie, jak jedwabnik gryzący liść morwy.

– Pomyślałem, że może mógłbyś mi wytłumaczyć parę rzeczy, których nie rozumiałem na wykładzie – powiedziałem jękając się, ale używając poprawnej japońszczyzny. Po wstąpieniu na uniwersytet postanowiłem używać standardowej, tokijskiej wymowy, zamiast dialektu okolic Kioto.

– Nie rozumiem, co mówisz, bo się ciągle jękaś – powiedział nagle Kashiwagi. Moje policzki pokryły się czerwienią. A on dodał, oblizując końce pałeczek – Wiem, dlaczego przyszedłeś ze mną porozmawiać. Nazywasz się Mizoguchi, nie? Myślisz sobie, że skoro obaj jesteśmy kalekami, to możemy się zaprzyjaźnić. Może i tak. Ale czy naprawdę uważasz, że w porównaniu ze mną twoje jękanie się to coś wielkiego? Za bardzo się cenisz i dlatego za bardzo cenisz i swoje jękanie.

Później, kiedy dowiedziałem się, że pochodził z rodziny mnicha zen z tej samej sekty rinzai co ja, rozumiałem, że w tych początkowych pytaniach i odpowiedziach kryła się maniera mnicha zen, ale nie mogę zaprzeczyć, że wówczas wywarły na mnie bardzo silne wrażenie.

– No dalej, jękać się! Jękać! – powiedział wesoło do mnie, gdy tak stałem, nie mogąc wykrztusić słowa.

– W końcu trafiłeś na kogoś, przy kim możesz się spokojnie jękać. A co, może nie? Każdy tak szuka sobie partnera. Zresztą nieważne. Słuchaj, czy ty jeszcze jesteś dziewczyną?

Skinąłem głową bez uśmiechu. Kashiwagi pytał jak lekarz i czułem, że lepiej będzie dla mojego zdrowia, jeżeli nie skłamię.

– Tak przypuszczałem. Jesteś dziewczicą. I wcale nie piękną dziewczicą. Nie podobasz się kobietom i nie miałbyś odwagi zapłacić prostytutce; i to tylko dlatego. Ale jeżeli chciałeś się ze mną zaznajomić, myśląc, że ja też jestem dziewczicą, to się pomyliłeś. Powiedzieć ci, dlaczego pozbyłem się dziewictwa?

I nie czekając na moją odpowiedź, mówił dalej:

– Jestem synem mnicha zen z okolic Sannomiya i od urodzenia mam koślawe stopy. Kiedy tak zaczynam moje wyznania, pewnie myślisz sobie, że jestem żalonym, chorym człowiekiem, który opowiada o swoim losie każdej spotkanej osobie. Tymczasem ja wcale nie opowiadam każdemu. Ja też, choć wstyd się do tego przyznać, od początku upatrzyłem sobie ciebie, jako tego, komu chcę się zwierzyć. A to dlatego, że jakoś wydawało mi się, że to, co ja zrobiłem, będzie prawdopodobnie dla ciebie miało największą wartość i pójdzie za moim przykładem może być dla ciebie najlepszym wyjściem. Jak sam wiesz, ludzie religijni tak właśnie rozpoznają innych wiernych, a abstynenci innych abstynentów.

Tak, wstydzilem się warunków, jakimi ograniczona była moja egzystencja. Myślałem, że pogodzenie się i życie w zgodzie z nimi będą oznaczały klęskę. Jeśli chciałem żyć pełen żalu i goryczy, to miałem pole do popisu. Rodzice powinni byli w dzieciństwie poddać mnie operacji ortopedycznej prostującej stopy. Teraz jest już za późno. Ale mnie rodzice nie interesowali i nie chciało mi się mieć do nich żalu.

Wierzyłem, że żadna kobieta nigdy mnie nie pokocha. Pewnie i ty wiesz, że mając takie przekonanie, czuje się spokój i ulgę, w przeciwieństwie do tego, co ludzie sobie wyobrażają. Postanowienie, by nie godzić się z warunkami własnej egzystencji, i to przekonanie wcale nie są ze sobą sprzeczne. A to dlatego, że jeśli wierzyłbym, że jakaś kobieta pokocha mnie takiego, jaki teraz jestem, to oznaczałoby, że do pewnego stopnia pogodziłem się z warunkami mojej egzystencji. Zrozumiałem, że odwaga potrzebna, by trzeźwo osądzać

rzeczywistość, i odwaga potrzebna, by walczyć z tym sądem, często idą w parze. I w ten sposób nic nie robiąc, miałem wrażenie, że walczę.

I muszę powiedzieć, że ponieważ tak właśnie myślałem, zupełnie naturalne było, że nie próbowałem tracić dziewictwa z pomocą prostytutki, jak to czynili moi koledzy. A to z tej przyczyny, że prostytutki nie biorą klientów dlatego, że ich kochają. Staruszek, żebrak, jednooki, przystojniak, jak nie wiedzą, to nawet trędowaty, każdy klient jest dobry. Przeciężny człowiek, pewnie nawet uspokojony tym egalitarnym podejściem, kupuje sobie pierwszą kobietę. Ale mnie ta równość nie przypadła do gustu. Nie mogłem znieść myśli, że kobieta tak samo przyjęłaby i potraktowała zupełnie zdrowego mężczyznę i mnie. Wydawało mi się, że byłaby to przerażająca samoprofanacja. Jeśli moje koślawe stopy zostałyby potraktowane pobłaźliwie, zignorowane, wówczas moja egzystencja utraciłaby sens. Ogarnął mnie ten sam strach, który ty odczuwasz teraz. Aby moje położenie zostało w pełni zaakceptowane, musiałem znaleźć coś wielokrotnie bardziej luksusowego niż zwykli ludzie. Myślałem, że życie musi właśnie tak się potoczyć.

Ten straszliwy brak satysfakcji, który stawia nas po jednej, życie zaś po drugiej stronie, powinien zostać zaspokojony, jeśli jedno z nas, to znaczy albo my, albo życie, się zmieni, ale nie cierpiałem marzeń o zmianie i znienawidziłem zbyt wygórowane marzenia. W końcu po wielu logicznych rozmyśleniach nabrałem przekonania, że jeśli świat się zmieni, to ja przestanę istnieć, a jeśli ja się zmienię, to świat przestanie istnieć. To przekonanie nieoczekiwanie przypominało pewnego rodzaju kompromis, pogodzenie się z losem. A to z tej przyczyny, że myśl o tym, iż nigdy nie będę kochany, pozwala mi współistnieć ze światem. Ostatnia pułapka, w którą wpada kaleka, to nie usunięcie owego przeciwstawienia położeń, ale całkowita akceptacja położenia. I w ten sposób kalectwo staje się nieuleczalne.

We wczesnej młodości (używam tego wyrażenia całkiem dosłownie) zdarzyło mi się coś zupełnie nieprawdopodobnego. Córka jednego z parafian, słynna z urody bogata dziewczyna, która ukończyła szkołę dla panien w Kobe, pewnego dnia nagle wyznała mi miłość. Na początku nie wierzyłem własnym uszom.

Z powodu mojego nieszczęścia stałem się doskonałym znawcą ludzkiej psychologii i dlatego nie próbowałem doszukiwać się współczucia wśród powodów jej miłości i nie przeżywałem tego za bardzo. Po prostu dobrze wiedziałem, że kobieta nie może mnie kochać powodowana jedynie współczuciem. Zgadywałem, że przyczyną jej uczucia była niezwykła duma. Ponieważ była piękna i znała swoją wartość, nie mogła przyjąć żadnego starającego się, który byłby pewny siebie. Nie mogła położyć na jednej szali swojej dumy, a na drugiej próżności zalotnika. Im „lepsza partia”, tym większą niechęć w niej wzbudzała. W końcu starannie unikając wszelkiej równowagi w miłości (w tym sensie była uczciwa), zwróciła uwagę na mnie.

Wiedziałem, co jej odpowiem. Może będziesz się śmiał, ale powiedziałem tej dziewczynie: „Nie kocham cię”. Czyż mogłem powiedzieć coś innego? Moja odpowiedź była szczerą i bezpretensjonalną. Gdybym na wyznanie dziewczyny, korzystając z nadarzającej się okazji, odpowiedział: „Ja też cię kocham”, byłoby to zbyt komiczne i wydawałoby się nieomal tragiczne. Mężczyzna, który wygląda komicznie, dobrze wie, jak mądrze unikać sytuacji, w których mógłby przez pomyłkę wyglądać tragicznie. Wie bowiem, że jeśli okaże się tragiczny, ludzie przestaną czuć się swobodnie w jego towarzystwie. To bardzo ważne dla psychiki innych ludzi, by nie okazać się żalonym. Dlatego też zdecydowanie uciałem dyskusję, mówiąc: „Nie kocham cię”.

Dziewczyna nawet nie drgnęła, usłyszawszy moją odpowiedź. Powiedziała, że kłamię. Trzeba ci było ją widzieć, gdy próbowała mnie przekonać, bardzo ostrożnie, starając się nie zranić mojej dumy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że jakiś

mężczyzna mógłby jej nie kochać, a jeśli nawet, to tylko dlatego, że sam siebie oszukiwał. W ten sposób przeprowadzwszy dokładną analizę mojego zachowania, doszła w końcu do wniosku, że w rzeczywistości od dawna ją kochałem. Była z niej mądra dziewczyna. Jeśli założymy, że naprawdę mnie kochała, to kochała kogoś, do kogo nie można było się zbliżyć. Wiedziała, że jeśli nazwie moją pozbawioną urody twarz piękną, ja się rozgniewam, jeśli nazwie pięknymi moje koślawe stopy, bardziej się rozgniewam, a jeśli powie, że kocha nie moje ciało, ale moje wnętrze, rozzłości mnie jeszcze bardziej, i dlatego wciąż powtarzała tylko „kocham cię”. W rezultacie tej analizy odnalazła we mnie uczucie, które jej odpowiadało.

Nie mogłem zrozumieć i zaakceptować takiego braku logiki. Jednocześnie ogarniało mnie gwałtowne pożądanie, ale nie przypuszczałem, że pożądanie mogłoby nas połączyć. Jeśli założyć, że kochała mnie, a nie kogoś innego, to musiało być we mnie coś wyjątkowego, co odróżniało mnie od innych. A czymś takim były jedynie moje koślawe stopy. Tak więc, choć tego nie powiedziała, musi kochać moje koślawe stopy, a z mojego punktu widzenia taka miłość była niemożliwa. Gdybym miał w sobie coś wyjątkowego oprócz koślawych stóp, wtedy może miłość byłaby możliwa. Jeżeli uznalibyśmy, że jest we mnie coś wyjątkowego prócz stóp, jeśli uznalibyśmy przyczynę mojego istnienia, to znaczyłoby, że uznają ją niejako dodatkowo, i w rezultacie w ten sam sposób dodatkowo uznają przyczyny istnienia innych ludzi, a to z kolei prowadziłoby do uznania mnie samego otoczonego światem. Miłość nie jest możliwa. Ona myśli, że mnie kocha, ale to tylko złudzenie; niemożliwe też, bym ja mógł ją kochać. Wtedy jeszcze raz powiedziałem: „Ja cię nie kocham”.

O dziwo jednak im więcej mówiłem, że jej nie kocham, tym bardziej ona poddawała się złudzeniu, że kocha mnie. Aż w końcu pewnego wieczora ucięła dyskusję, rzucając się na mnie. Jej ciało było olśniewająco piękne. Ale ja okazałem się impotentem. Takie wielkie niepowodzenie w prosty spo-

sób rozwiązało całą sprawę. Najwyraźniej wreszcie udało mi się udowodnić, że jej nie kocham. Porzuciła mnie.

Było mi wstyd, ale ten wstyd był niczym w porównaniu ze wstydem, który czułem z powodu moich koślawych stóp. Byłem przestraszony czymś innym. Wiedziałem, dlaczego okazałem się impotentem. Stałem się impotentem, gdy pomyślałem o tym, że moje koślawe stopy dotkną jej pięknych stóp. To odkrycie zniszczyło mój wewnętrzny spokój, wywołany wiarą w to, że nikt mnie nigdy nie pokocha.

A to dlatego, że wtedy czułem jakąś nieszczerą radość, że przez pożądanie, przez zaspokojenie pożądania udowodnię niemożliwość miłości, a tymczasem ciało mnie zdradziło. To co ja próbowałem uczynić przy pomocy ducha, zrobiło ciało. Natrafiłem na sprzeczność. Użyję tu dość pospolitego wyrażenia – można powiedzieć, że marzyłem o miłości w przekonaniu, że nikt mnie nie pokocha, a w ostatniej chwili zastąpiłem miłość pożądaniem, co sprawiło mi ulgę. Jednocześnie zrozumiałem, że pożądanie jako takie domagało się ode mnie zapomnienia o warunkach mojej egzystencji i odrzucenia przekonania o tym, że nikt mnie nie pokocha, było jedyną barierą dla mojej miłości. Wierzyłem, że pożądanie będzie czymś bardziej jasnym i oczywistym, i nie przyszło mi nawet do głowy, że będzie wymagało, bym choć trochę zatopił się w marzeniach o sobie.

Od tego czasu zacząłem interesować się bardziej moim ciałem niż duchem, ale nie mogłem stać się uosobieniem czystego pożądania, mogłem tylko o nim marzyć. Stać się niewidzialnym jak wiatr – mnie nikt nie widzi, ale ja widzę wszystko – leciutko zbliżyć się do mojego celu, pieścić go, wnikać do samego środka... Kiedy mówię o samoświadomości ciała, pewnie wyobrażasz sobie tę samoświadomość jako dotyczącą jakby pewnej „rzeczy”, mającej określoną masę, nieprzezroczystej i solidnej. Ale w moim przypadku było inaczej. Dla mnie to, że stawałem się ciałem, pożądaniem, znaczyło, że jestem czymś przezroczystym, niewidzialnym, jak wiatr. Jednak moje koślawe stopy natychmiast próbują

mnie zatrzymać. One nigdy nie stają się przezroczyste. Nie wydawały mi się nogami, raczej jakimiś upartymi istotami. Istniały jako „rzeczy” jeszcze bardziej solidne niż ciało.

Ludzie pewnie myślą, że jeśli nie spojrzysz się w lustro, to się siebie nie widzi, ale kalectwo to jakby lusterko, które ma się stale przyczepione do czubka nosa. I w tym lustrze przez całutką dobę widzę odbicie mojego ciała. Zapomnienie nie jest możliwe. Dlatego to, co ludzie nazywają niepewnością, dla mnie było jedynie dziecinną zabawą. Nie mogło być mowy o niepewności. To, że ja istnieję w tej postaci, jest równie pewne jak istnienie słońca, Ziemi, pięknych ptaków i brzydkich krokodyli. Świat jest nieruchomy jak nagrobek.

Brak niepewności, brak oparcia dla stóp – to od nich rozpoczął się mój własny, oryginalny sposób życia. Po co ja właściwie żyję? Ludzie czują się niepewni rozmyślając o takich rzeczach i nawet popełniają samobójstwa. Ale dla mnie to nic nie znaczyło. Koślawe stopy były warunkiem mojego życia, jego przyczyną, celem, ideałem... samym moim życiem. Sam fakt, że istniałem, już mi wystarczał, a nawet było to dla mnie za dużo. Czyż niepewność istnienia nie bierze się właśnie stąd, że ludzie pozwalają sobie na luksus niepokojenia się, czy aby istnieją w pełni?

Upatrzyłem sobie pewną mieszkającą samotnie starą wdowę z naszej wsi. Niektórzy mówili, że ma sześćdziesiąt lat, a inni, że nawet więcej. W rocznicę śmierci jej ojca poszedłem do niej w zastępstwie ojca, by odczytać sutry za duszę zmarłego. Nie było tam nikogo z krewnych i przed ołtarzykiem buddyjskim znalazłem się sam na sam z tą starą kobietą. Po modlitwie poczęstowała mnie w sąsiednim pokoju herbatą. Ponieważ było to latem, zapytałem, czy mógłbym się umyć. Rozebrałem się i wdowa połała moje nagie plecy wodą. A kiedy z żalem zaczęła się przyglądać moim stopom, w moim sercu narodził się plan.

Wróciliśmy do pokoju. Wycierając się zacząłem poważnie opowiadać, jak to po moim urodzeniu matka miała sen. Pojawił się w nim Budda, który powiedział, że jeśli dziecko to

dożyje wieku męskiego, kobieta, która z całego serca okaże uwielbienie jego stopom, zazna wiecznego życia w raju. Religijna wdowa przesuwała paciorki różańca i słuchała, wpatrując się we mnie. Zacząłem na chybił trafił recytować jakąś sutrę, owinąłem dłonie różańcem i nagi położyłem się jak trup z rękami złożonymi jak do modlitwy. Zamknąłem oczy. Moje wargi nadal mamrotały sutry.

Wyobrażasz sobie, jak trudno mi było powstrzymać się od śmiechu. W środku cały się trząsałem. I wcale nie snułem marzeń o sobie. Wiedziałem, że stara kobieta recytując modlitwy, ze wszystkich sił oddaje cześć moim stopom. Myślałem tylko o moich stopach, którym ktoś oddaje cześć, i komizm tej sceny zapierał mi dech w piersiach. Koślawe stopy, koślawe stopy – tylko o tym myślałem i tylko je widziałem oczyma wyobraźni. Ich dziwny kształt. Ten stan okropnej brzydoty, w którym się znajdowałem. Ta przypadkowa farsa. Wymykające się pasma włosów kłaniającej się moim stopom staruszki dotykały moich podeszew i laskotały, co uczyniło sytuację jeszcze śmieszniejszą.

Najwyraźniej myliłem się na temat mojego pożądanego czasu, gdy dotknąłem tamtych pięknych stóp i stałem się impotentem. A to dlatego, że teraz, podczas tych brzydkich modłów, uświadomiłem sobie, że jestem podniecony. Mimo że wcale nie snułem żadnych marzeń o sobie! I w takiej niewybaczalnej sytuacji!

Wstałem i popchnąłem starą kobietę, tak że się przewróciła. Nie miałem nawet czasu pomyśleć o tym, że kobieta wcale się nie zdziwiła. Leżała tak z zamkniętymi oczami, dalej mamrocząc modlitwy.

Wyraźnie pamiętam, że kobieta recytowała wtedy, o dziwo, zaklęcie błagające o łaskę: „Iki, iki. Shino, shino. Orasan. Furashari. Hazahaza. Furashaya”. Jak sam wiesz, w komentarzach powiedziane jest, że te słowa mają następujące znaczenie: „Błagamy cię, błagamy cię. Daj nam prawdziwą czystość, w której nie będzie trzech trucizn: chciwości, złości i głupoty”.

Przede mną była spalona słońcem, nie umalowana twarz sześćdziesięcioparoletniej kobiety, która leżała z zamkniętymi oczami, gotowa mnie przyjąć. Moje podniecenie ani trochę nie osłabło. A najśmieszniejsze w całej farsie było to, że staruszka uwodziła mnie, choć o tym nie wiedziałem.

Ale nie powinienem tak literacko mówić „choć o tym nie wiedziałem”, bo przecież wszystko jasno widziałem. Cechą charakterystyczną piekła jest to, że dokładnie wszystko jasno w nim widać. W zupełnej ciemności!

W pokrytej zmarszczkami twarzy starej wdowy nie było nic pięknego ani nic świętego. Ale ta starość i brzydota jakby potwierdzały mój zwykły wewnętrzny stan, w którym o niczym nie marzyłem. Gdyby spojrzeć w twarz nawet najpiękniejszej kobiety o niczym nie marząc, kto wie, czy nie przerodziłaby się ona w twarz tej staruszki. Moje koślawe stopy i ta twarz... tak, to po prostu umiejętność widzenia rzeczywistości podtrzymywała podniecenie mojego ciała. Po raz pierwszy z przyjaznym nastawieniem uwierzyłem w moje pożądanie. Zrozumiałem, że problem leżał teraz nie w tym, jak zmniejszyć odległość między mną a obiektem mego pożądanego, a w tym jak ją utrzymać, tak by obiekt nadal pozostał tylko obiektem.

Dobrze jest się przyglądać. Wtedy na podstawie logiki kalleki, który zapada w bezruch, a jednocześnie osiąga miejsce przeznaczenia, logiki, według której nigdy nie mężczy go niepokój, odkryłem logikę mojego erotyzmu. Odkryłem podobny fałsz w tym, co świat nazywa namiętnością. Połączenie, wywołane pożądaniem przypominającym czapkę-niewidkę czy wiatr, dla mnie było tylko marzeniem, i podczas gdy patrzyłem, musiałem również być całkowicie widziany. Moje koślawe stopy i moja kobieta były wtedy wyrzucone poza granice świata. I stopy, i kobieta pozostawały ode mnie w takiej samej odległości. To w nich była rzeczywistość, a pożądanie było jedynie pozorem. I ja patrzący zatapiam się bezgranicznie w tym pozorze i gdy zwracam się ku tej obserwowującej mnie rzeczywistości, wytryskuje ze mnie nasienie.

Moje koślawe stopy i moja kobieta w ogóle nie stykają się ze sobą, nie łączą, i są razem wyrzucone poza granice świata... pożądanie rośnie w nieskończoność. A to dlatego, że te piękne stopy i moje koślawe już nigdy nie będą się musiały ze sobą zetknąć.

Być może trudno ci zrozumieć mój sposób myślenia. Czy muszę dalej wyjaśniać? Ale chyba rozumiesz, że od tamtego czasu już spokojnie mogłem wierzyć, że „miłość jest niemożliwa”. Nie ma niepewności. Nie ma też miłości. Świat pozostaje w wiecznym bezruchu, a jednocześnie osiąga miejsce swego przeznaczenia. Czy muszę dla większej jasności określać ten świat jako „nasz świat”? W ten sposób potrafię zdefiniować iluzje związane z „miłością” na świecie przy pomocy jednego zdania: miłość to iluzja, w której próbujemy połączyć pozór z rzeczywistością. Wkrótce zdałem sobie sprawę, że moje przekonanie o tym, że nikt mnie nigdy nie pokocha, jest podstawowym aspektem ludzkiej egzystencji. I tak właśnie straciłem dziewictwo.

Kashiwagi zakończył swoją opowieść. Cały czas słuchałem w napięciu i dopiero teraz odetchnąłem. Opowiadanie wywarło na mnie wielkie wrażenie i nie mogłem otrząsnąć się z bólu, jaki sprawiło mi zetknięcie się ze sposobem myślenia, który był mi dotychczas zupełnie obcy. W chwilę po tym gdy Kashiwagi przestał mówić, znowu otoczyło mnie wiosenne słońce i zajaśniała kolorami koniczyna. Powróciły też okrzyki, dobiegające ze znajdującego się za nami boiska do koszykówki. I choć było to to samo wiosenne południe, wydawało się, że wszystko nabrało jakiegoś innego znaczenia.

Ponieważ nie mogłem dalej milczeć, spróbowałem coś odrzec i jękając się powiedziałem niezręcznie:

– Od tego czasu pewnie czułeś się samotny.

Kashiwagi znowu złośliwie udawał, że nie może zrozumieć, co mówię, i zmusił mnie do powtórzenia. Ale jego odpowiedź była przyjazna.

– Samotny, mówisz? Dlaczego miałbym być samotny? Jak mnie lepiej poznasz, to zrozumiesz, co się dalej ze mną stało.

Odezwał się dzwonek zwiastujący początek popołudniowych wykładów. Próbowałem wstać, ale Kashiwagi szorstko przytrzymał mnie za rękaw. Mój uniwersytecki mundur był tym, który nosiłem w szkole, trochę tylko został naprawiony i zmieniono w nim guziki. Materiał był jednak stary i zniszczony. W dodatku mundur był na mnie za ciasny i moje i tak mizerne ciało wyglądało w nim na jeszcze mniejsze.

– Teraz jest wykład z klasycznego języka chińskiego, prawda? Przecież to nudne. Chodźmy lepiej na spacer.

Mówiąc to, Kashiwagi wstał. Wyglądało to tak, jakby z wielkim wysiłkiem składał w całość ciało, które uprzednio rozłożył na części. Przypominało mi to podnoszenie się wielbłąda, które widziałem na filmie.

Nigdy przedtem nie opuściłem wykładu, ale chęć dowiedzenia się więcej o Kashiwagim kazała mi nie przepuścić tej okazji. Kiedy wyszliśmy za bramę, uświadomiłem sobie dobitnie, jak charakterystyczny był jego sposób chodzenia, i poczułem coś przypominającego wstyd. Dziwnie było pomyśleć, że w ten sposób, ulegając zwykłym ludzkim uczuciom, wstydzę się iść obok Kashiwagiego.

Kashiwagi wyraźnie dał mi do zrozumienia, skąd bierze się ten mój wstyd. On też popchnął mnie w stronę życia. Wszystkie moje wstydliwie skrywane uczucia, całe zło w moim sercu rozwinęło się dzięki jego słowom i stało się czymś świeżym. Może dlatego góra Hieizan, którą ujrzelśmy zamgloną w wiosennym słońcu po dojściu żwirowaną ścieżką do bramy z czerwonej cegły, wyglądała tak, jakbym tego ranka widział ją po raz pierwszy. I wyglądała też tak, jak jedna z tych wielu rzeczy, które leżały do tej pory uśpione wokół mnie i teraz pojawiały się przede mną, ponownie nabrawszy nowego znaczenia. Wierchołek góry wznosił się wyniośle, ale jej podnóże rozciągało się bez końca, zupełnie jak echo jakiejś muzycznej frazy. W dali, nad rzędami niskich dachów, wznosiły się fałdy zbocza, i tylko te fałdy odstawały

od reszty wyraźnie widoczne, wydawały się bliskie. Główny masyw góry, jego światła i cienie tworzone przez wiosenne słońce tonęły w ciemnym, gęstym kolorze indygo.

Przed bramą Uniwersytetu Ōtani przechodziło niewiele osób i samochody były nieliczne. Czasem tylko słychać było odgłos tramwaju linii prowadzącej sprzed dworca w Kioto do zajezdni w Karasuma. Po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciw głównej bramy, stały stare słupy bramy prowadzącej na boisko, a po lewej ciągnął się rząd pokrytych świeżymi listkami drzew ginkgo.

– Pospacerujmy po boisku – powiedział Kashiwagi.

Pierwszy przeszedłem przez tory tramwajowe na drugą stronę ulicy. Kashiwagi, wprawiając całe ciało w gwałtowny ruch, przebywał prawie wyludnioną ulicę zataczając się. Boisko było wielkie i kilka grupek studentów, którzy albo uciekli z zajęć, albo zajęć nie mieli, ćwiczyło w oddali rzuty piłką, a niedaleko pięciu czy sześciu studentów trenowało, przygotowując się do maratonu. Od końca wojny minęły zaledwie dwa lata, ale młodzi chłopcy już próbowali pozbyć się nagromadzonej energii. Pomyślałem o ubogich posiłkach w świątyni.

Usiedliśmy na rozpadającej się huśtawce i bezmyślnie przyglądaliśmy się trenującym biegi maratońskie, którzy biegając po owalnej bieżni to zbliżali się do nas, to oddalali. Uczucia, których doznawałem nie poszedłszy na zajęcia, przypominały dotyk świeżej koszuli na skórze. Czulem to dzięki słońcu i lekkiemu wietrzykowi. Grupa ciężko dyszących biegaczy zbliżyła się powoli i z tupotem, który stawał się coraz bardziej nierówny, gdy wzrastało ich zmęczenie, i oddaliła się pozostawiając za sobą tumany kurzu.

– Kretyni – powiedział Kashiwagi głosem, w którym nie było ani trochę zazdrości przegranego. – Po co się tak popisują? Chcą pokazać, że są zdrowi? Jaki sens ma popisywanie się zdrowiem? Wszędzie organizują teraz publiczne imprezy sportowe. To znak, że zbliża się koniec świata. A to, co powinno być publiczne, wcale nie odbywa się publicznie. Publicznie powinny się odbywać... egzekucje. Dlaczego egzeku-

cje nie są publiczne? – mówił dalej, jakby we śnie. – Nie sądzisz, że w czasie wojny możliwe było utrzymanie porządku dzięki publicznemu pokazaniu gwałtownej śmierci? Podobno zaprzestano publicznych egzekucji, ponieważ bano się, że ludzie staną się żądni krwi. To głupota. Ludzie, którzy uprzętały trupy po nalotach, wyglądali na łagodnych i wesołych.

Widok agonii, krwi i jęków w godzinie śmierci czyni nas pokornymi, a nasze serca wrażliwymi, wesołymi i pogodnymi. To nie w takich chwilach stajemy się okrutni i żądni krwi. Nie sądzisz, że stajemy się okrutni na przykład w takie wspaniałe, wiosenne popołudnia, bezmyślnie wpatrując się w słońce, które żartobliwie przemyka między drzewami nad dobrze przyszyronym trawnikiem; właśnie w takich momentach?

Wszelkie koszmary na świecie, wszelkie koszmary historii tak się narodziły. W takim jasnym słońcu zakrwawiona postać padająca w drgawkach nadaje temu koszmarowi wyraźny kontur i czyni go czymś materialnym. Wtedy ten koszmar nie jest już naszym cierpieniem, tylko fizycznym bólem innych. Ale my nie czujemy bólu innych. Ach, co za ulga!

Jednak ja zamiast takich krwiożerczych dogmatów (które oczywiście też miały swój urok) woląłem teraz usłyszeć o jego przygodach po tym, jak utracił dziewictwo. Jak już wspominałem, naprawdę spodziewałem się od niego „życia”. Wtrąciłem się i zasugerowałem coś na kształt tego pytania.

– Kobiety? No cóż, ostatnio potrafię już intuicyjnie rozpoznać kobietę, która może się zakochać w mężczyźnie z koślawymi stopami. Jest taki typ kobiety. Taka kobieta może przez całe życie ukrywać swoją skłonność do koślawych stóp i zabrać ją nawet ze sobą do grobu. Choć to może być jej jedyny przejaw złego gustu, jej jedyne marzenie.

No tak. Ale jak oka odróżnić kobietę, która lubi koślawe stopy? Zazwyczaj jest niezwykle piękna, ma wyraźnie zarysowany nos i coś wyzywającego w kształcie ust...

Wtedy właśnie z naprzeciwka nadeszła kobieta.

Rozdział V

Kobieta nie szła przez boisko. Poza boiskiem biegła droga prowadząca wzdłuż domów. Znajdowała się mniej więcej pół metra poniżej poziomu boiska. Tamtędy właśnie szła.

Kobieta wyszła z bramy wspaniałej rezydencji w stylu hiszpańskim. Willa miała dwa kominy, okiennice z listew ułożonych w skośną kratę i szklany dach pokrywający oranżerię. Sprawiała wrażenie bardzo kruchej i pewnie dlatego na życzenie właściciela została ogrodzona wysoką siatką, która górowała nad naszym boiskiem po drugiej stronie ulicy.

Kashiwagi i ja siedzieliśmy na huśtawce na zewnątrz owej siatki. Przyjrzałem się kobiecie i ogarnęło mnie zdumienie. Jej szlachetne rysy dokładnie zgadzały się z typem, który Kashiwagi opisał jako „typ kobiety lubiącej koślawe stopy”. Gdy o tym później myślałem, zdałem sobie sprawę, że to zdumienie było głupie, ponieważ Kashiwagi być może od dawna znał tę kobietę z widzenia i marzył o niej.

Czekaliśmy, aż kobieta do nas podejdzie. W blasku wiosennego słońca w oddali wznosił się ciemnogrnatowy wierzchołek góry Hiei, a ku nam stopniowo zbliżała się kobieta. Jeszcze ciągle byłem pod wrażeniem dziwnych słów wypowiedzianych przed chwilą przez Kashiwagiego. O tym, że jego koślawe stopy i jego kobiety istnieją w realnym świecie jak dwie gwiazdy, które nigdy się ze sobą nie zetkną, podczas gdy on sam zaspokaja swoje pożądanie bezgranicznie pogrążony w świecie pozorów. Właśnie wtedy słońce skryło się za chmurą i zostaliśmy spowici cieniem. Zdawało się, że nasz świat w jednej chwili ukazał swoje zjawiskowe oblicze. W tej szarości wszystko stało się niewyraźne. Nawet moje ist-

nienie było niewyraźne. I można było pomyśleć, że tylko granatowofioletowy szczyt góry Hiei w oddali i powoli zbliżająca się dystyngowana kobieta lśniły w realnym świecie i nie mogło być wątpliwości co do ich istnienia.

Kobieta wyraźnie zbliżała się. Upływ czasu stawał się podobny do narastającego cierpienia i gdy kobieta ku nam podchodziła, obcość jej twarzy stawała się stopniowo coraz bardziej oczywista.

Kashiwagi wstał. I ściśniętym, ciężkim głosem wyszeptał:
– Idziemy. Rób, co mówię.

Nie miałem wyboru, musiałem iść. Szliśmy około pół metra ponad poziomem ulicy, wzdłuż murku, w tym samym kierunku co kobieta.

– Zeskakujemy – Kashiwagi popchnął mnie w plecy szpiczastymi palcami. Przesadziłem nogi przez murek i zeskoczyłem na ulicę. Pół metra było dla mnie niczym. Ale po chwili Kashiwagi, skoczywszy na swoich koślawych stopach, upadł obok mnie z przerażającym hukiem. Nie było nic dziwnego w tym, że nie udało mu się zeskoczyć i że się przewrócił.

Okryte czarnym studenckim mundurem plecy falowały u moich stóp, wznoszone ciężkim oddechem, ale ten leżący twarzą do ziemi kształt nie przypominał człowieka, przez sekundę zdawało mi się nawet, że to jakaś wielka, czarna, pozbawiona znaczenia plama albo mętna kałuża, powstała na ulicy po deszczu.

Kashiwagi upadł dokładnie przed nadchodzącą kobietą. Kobieta zamarła. A kiedy ja wreszcie przyklęknąłem, próbując go podnieść, w jej zimnym, wyraźnie zarysowanym nosie, w czymś wyzywającym w jej ustach, w jej zamglonych oczach przez sekundę ujrzałem cień twarzy Uiko oświetlonej światłem księżyca. Lecz ta wizja natychmiast zniknęła i została tylko młoda, nie mająca jeszcze dwudziestu lat kobieta, patrząca na mnie pogardliwie i próbująca nas wyminąć.

Kashiwagi przeczuł to jakoś szybciej i wyraźniej ode mnie. Zaczął na nią krzyczeć. Ten krzyk odbijał się echem na pustej, pełnej willi, ulicy w samo południe.

– Bezlitosna! Zostawisz mnie tu samego?! To przez ciebie jestem w takim stanie!

Kobieta obejrzała się. Drżała. Szczupłymi palcami potarła policzki, z których odpłynęła krew. W końcu spytała:

– Co mam zrobić?

Kashiwagi podniósł głowę i przyjrzał się kobiecie uważnie, a potem słowo po słowie, wyraźnie powiedział:

– Chcesz nam wmówić, że nie masz nawet w domu żadnego lekarstwa?

Przez chwilę milczała, potem odwróciła się i szybko ruszyła w kierunku z którego się pojawiła. Pomogłem Kashiwagiemu wstać. Na początku wydawał mi się bardzo ciężki i oddychał z trudem, ale gdy zaczął iść oparty na moim ramieniu, jego ciało poruszało się zadziwiająco lekko...

Biegając dotarłem do przystanku przed zajezdnią Karasuma. Wskoczyłem do tramwaju. Dopiero kiedy tramwaj ruszył w kierunku Złotej Pagody, odetchnąłem z ulgą. Moje dłonie były mokre od potu. Gdy tylko pomogłem doprowadzić Kashiwagiego do owego domu w hiszpańskim stylu i przeszliśmy za kobietą przez bramę, ogarnęło mnie przerażenie. Zostawiłem tam Kashiwagiego i uciekłem, nie oglądając się za siebie. Nie zdobyłem się nawet na to, by wstąpić po drodze na uniwersytet. Biegłem pustą ulicą. Minąłem rząd sklepów: aptekę, ciastkarnię, sklep elektryczny. Kątem oka zauważyłem coś błyszczącego fioletem i purpurą. Były to prawdopodobnie lampiony z herbem kwiatu śliwy na tle czarnego muru i zasłona z takim samym herbem rozpostarta po obu stronach bramy świątyni odłamu Kōtoku sekty Tenrikyō*, obok której musiałem przebiec.

Sam nie wiedziałem, dokąd biegnę w takim pośpiechu. Kiedy tramwaj powoli przejeżdżał obok Murasakino, uświa-

* Tenrikyō (dosł. nauka niebiańskiej mądrości) – jedna z sekt tzw. nowych religii, powstałych w XIX i XX w. w Japonii.

domiłem sobie, że moje serce, waląc jak młotem, prowadzi mnie do Złotej Pagody.

Ponieważ był to sezon turystyczny, przez Złotą Pagodę przewijały się tłumy nawet w dzień powszedni. Stary przewodnik przyglądał mi się podejrzliwie, gdy biegłem pośpiesznie w stronę świątyni, przedzierając się między ludźmi.

I tak znalazłem się w wioserny dzień przed Złotą Pagodą otoczoną tumanem kurzu i brzydkim tłumem. Wśród odbijających się echem głosów przewodników Złota Pagoda zawsze ukrywała część swojego piękna i udawała, że to wszystko jej nie dotyczy. Tylko odbicie w stawie było czyste. Ale zależnie od tego, pod jakim kątem się patrzyło, chmury kurzu przypominały złote chmury otaczające bodhisattwów* na owym obrazie przedstawiającym powitanie świętych**, a jednocześnie Złota Pagoda spowita mgiełką kurzu sama przypominała obraz o spłóviałych farbach i niszczącym motywie. Nic dziwnego, że zgiełk i zamieszanie przenikały do wnętrza pomiędzy delikatnymi kolumnkami i stopniowo znikały wsysane przez białawe niebo, bezpośrednio górujące nad niewielkim Kukyōchō i feniksem zdobiącym dach. Budowla stała sobie spokojnie, jakby panując i ustanawiając prawa. Im bardziej wzrastał się hałas wokół, tym bardziej Złota Pagoda z ganeczkiem Sōsei po stronie zachodniej i gwałtownie zwężającym się w górze Kukyōchō, ta niesymetryczna, delikatna budowla działała jak filtr zmieniający wodę mętną w czystą. Świątynia nie odrzucała gwaru ludzkich głosów. Wchłaniała go między przewiewne kolumny i od razu oczyszczała, nadawała spokój i przejrzystość. A stojąca na ziemi Złota Pagoda nie wiadomo kiedy osiągała tę samą postać co jej odbicie w nieruchomym stawie.

* Bodhisattwa – mający osiągnąć oświecenie, przyszły Budda.

** Bodhisattwa witający świętych (shōjū-raigōzu) – obrazy inspirowane wiarą w raj Czystej Ziemi w XI-XII w., przedstawiające postać Buddy Amidy z Raju Zachodniego Czystej Ziemi, jak w otoczeniu bodhisattwów schodzi na ziemię, by ratować ludzi i wskazywać im drogę do raju.

Moje serce wypełniło się spokojem i strach w końcu zniknął. Dla mnie piękno musiało być właśnie takie. To ono izolowało mnie od życia i broniło przed nim. Prawie się modliłem: „Nie pozwól, by moje życie było takie jak Kashiwagi. Nie mógłbym tego znieść”.

W życiu, które Kashiwagi mi wskazywał i które odegrał przede mną, ruina i życie oznaczały to samo. Nie było w nim naturalności ani piękna takiego jak piękno Złotej Pagody, przypominało ono tylko pewien rodzaj bolesnych konwulsji. Pociągało mnie to i muszę przyznać, że właśnie w nim znalazłem swoją własną drogę, ale przerażało mnie to, że najpierw będę musiał pokaleczyć sobie ręce odłamkiem życia najeżonym kolcami. Kashiwagi pogardzał tak samo instynktem jak i wiedzą. Samo jego istnienie przypominało piłkę o dziwnym kształcie, która toczy się, by zburzyć mur rzeczywistości. Nie było to nawet żadne działanie. Życie, które sugerował, przypominało niebezpieczną burleskę, usiłującą zniszczyć rzeczywistość, zwodząc nas swoim nieznanym przebraniem i pragnieniem uładzenia świata, tak by nie wierzył w sobie nic nieznanego.

Dowiedziałem się o tym później, gdy kiedyś zobaczyłem plakat w pokoju wynajmowanym przez Kashiwagiego. Była tam piękna litografia wydana przez biuro podróży, przedstawiająca Alpy Japońskie. Na tle błękitnego nieba wznosiły się białe szczyty, a poziomy napis dużymi literami głosił: „Zapraszamy cię w nieznaną świat!”. Kashiwagi przekreślił ten napis i szczyty gór grubymi, czerwonymi krechami układającymi się na krzyż i dopisał obok swoim charakterystycznym rozchwianym pismem, przypominającym jego koślawy chód: „Nie mogę znieść nieznanego życia!”.

Następnego dnia poszedłem do szkoły pełen niepokoju o Kashiwagiego. Po namyśle doszedłem do wniosku, że moją ucieczkę i zostawienie go tam samego można by uznać za dowód przyjaźni, toteż nie czułem się specjalnie winny,

niepokoilem się tylko na myśl, co będzie, jeśli nie zobaczą go dziś w sali wykładowej. Jednakże na chwilę przed rozpoczęciem wykładu zobaczyłem Kashiwagię wchodzącego do sali tak samo jak co dzień, kołyszącym krokiem z nienaturalnie odrzuconymi ramionami.

W czasie przerwy od razu podszedłem do niego i chwyciłem go za ramię, choć takie gwałtowne gesty nie leżały raczej w moim charakterze. Kashiwagi uśmiechnął się krzywo i wyszedł ze mną na korytarz.

– Nie zrobiłeś sobie krzywdy?

– Krzywdy? – Kashiwagi patrzył na mnie uśmiechając się z politowaniem. – Kiedy miałbym zrobić sobie krzywdę? Co? Śniło ci się może, że zrobiłem sobie krzywdę?

Zatkało mnie. Kashiwagi dokuczał mi strasznie, aż w końcu wyjawiał mi swoją sztuczkę.

– Ja tylko udawałem. Wiele razy ćwiczyłem spadanie na tę ulicę, aż nauczyłem się przewracać z taką przesadą, że wygląda to tak, jakbym co najmniej coś sobie złamał. Choć nie wziąłem pod uwagę, że ona może udać, że nic się nie stało, i próbować mnie wyminąć. Ale szkoda, że cię tam nie było. Ta kobieta już się prawie we mnie zakochała. A właściwie źle się wyraziłem. Prawie się zakochała w moich koślawych stopach. Własnymi rękami smarowała mi nogę jodyną – podwinął nogawkę spodni i pokazał zabarwioną na żółto goleń.

Wydawało mi się, że teraz znam jego podstępne sztuczki. To oczywiste, że padł na ziemię przed nadchodzącą kobietą, by zwrócić na siebie uwagę, ale czyż nie próbował ukryć swoich koślawych stóp pod maską skałcezeń? Ale te wątpliwości nie wywołały u mnie pogardy dla Kashiwagię, lecz raczej stały się załączkiem naszej przyjaźni. Poza tym, choć było to dowodem bardzo młodzieńczego sposobu myślenia, im bardziej jego filozofia życiowa pełna była podstępnych sztuczek, tym bardziej dowodziła w moich oczach jego uczciwego stosunku do życia.

Tsurukawa nie patrzył pochlebnie na moje stosunki z Kashiwagim. Ostrzegł mnie bardzo przyjaźnie, ale mnie to tyl-

ko zdenerwowało. Sprzeciwiłem mu się nawet, mówiąc, że on może sobie wybierać odpowiednich przyjaciół, ale dla kogoś takiego jak ja Kashiwagi jest odpowiedni. Z jakim żalem wspominałem później niewypowiedziany smutek, którym wypełniły się wtedy oczy Tsurukawy.

* * *

Był maj. Kashiwagi, który nie lubił tłumów, jakie zbierały się w wolne dni, zaplanował, że w powszedni dzień nie pojedziemy do szkoły, tylko wybierzemy się na wycieczkę do Arashiyamy. I jak to on, powiedział, że jeśli będzie piękna pogoda, to nie pojedziemy, natomiast wybierzemy się, jeżeli dzień będzie zachmurzony i ponury. Plan był taki, że pojedzie z nami owa panienka z domu w hiszpańskim stylu, a dla mnie miał przyprowadzić jakąś dziewczynę ze swojej stacji.

Mieliśmy się spotkać na stacji Kitano linii Keifuku, zwykle zwanej Randen. W wyznaczony dzień na szczęście była rzadko spotykana w maju pochmurna, przygnębiająca pogoda. Tsurukawa akurat wtedy wyjechał na tydzień do Tokio z powodu jakichś kłopotów rodzinnych. Choć na pewno by mnie nie zdradził, cieszyłem się, że uniknę nieprzyjemnej konieczności oszukiwania go na temat tego, dokąd się wybieram, gdyż zawsze razem wyruszyliśmy na uniwersytet.

Taak, wspomnienia z tej wycieczki są dość gorzkie. W każdym razie wszyscy uczestnicy wycieczki byli młodzi i wydawało się, że cały dzień naznaczony był melancholią, irytacją, niepokojem i poczuciem pustki właściwym młodości. Kashiwagi najprawdopodobniej przewidział to wszystko i właśnie dlatego wybrał taki pochmurny, smutny dzień.

Tego dnia wiał południowo-zachodni wiatr i gdy już zdawało się, że przybiera na sile, uspokajał się i tylko szumił niespokojnie. Niebo było ciemne, ale czasami gdzieś ponad chmurami ukazywało się słońce. Spomiędzy chmur czasem wylewało się białe światło, jak biała pierś ledwo widoczna spod wielu warstw ubrania. Owa biel wskazywała, że gdzieś

tam w zamglonej głębi jest słońce, ale szybko roztapiała się w równomiernej ciemnej szarości zachmurzonego nieba.

Kashiwagi dotrzymał obietnicy. Naprawdę pojawił się na stacji w towarzystwie dwóch młodych kobiet.

Jedna z nich rzeczywiście była tamtą kobietą. Piękna kobieta o wyraźnie zarysowanym, zimnym nosie, czymś wyzywającym w ustach i butelką z wodą przewieszoną przez ramię, odziana była w sukienkę z importowanego materiału. Pulchna dziewczyna ze stacji Kashiwagiego nie dorównywała jej ani strojem, ani wyglądem. Tylko jej mała bródka i jakby zasznurowane wargi były bardzo dziewczęce.

Już w pociągu jadącym w tamtą stronę zaczął się psuć pogodny nastrój, jaki powinien towarzyszyć wycieczce. Nie mogłem dokładnie dosłyszeć, o czym mówili Kashiwagi i jego towarzyszka, ale ciągle się o coś sprzeczali. Ona co pewien czas przygryzała wargi, jakby próbowała powstrzymać łzy. Dziewczynie ze stacji wszystko było obojętne i cicho nuciła sobie popularną piosenkę. Nagle zwróciła się do mnie i opowiedziała mi następującą historię.

– Niedaleko mnie mieszka bardzo ładna nauczycielka ikebany. Ostatnio opowiedziała mi smutną, romantyczną historię. W czasie wojny miała ukochanego. Był oficerem i kiedy w końcu mieli go wysłać na front, na krótko udało im się spotkać w świątyni Nanzenji. Rodzice nie zgadzali się na ten związek, ale ona zaszła w ciążę i urodziła martwe dziecko. Biedaczka. Oficer też był strasznie załamany. Gdy się żegnali, powiedział: „Chciałbym przynajmniej spróbować twego matczynego mleka”. Nie było czasu, więc ona wycisnęła z piersi parę kropel mleka do herbaty i dała mu się napić. Miesiąc później jej ukochany poległ. I ona od tego czasu dochowuje mu wierności i żyje samotnie. A jest jeszcze młoda i ładna.

Nie wierzyłem własnym uszom. Stała mi przed oczami ta niebywała scena, której świadkami byliśmy razem z Tsurukawą, tamtego dnia pod koniec wojny, przy bramie

w Nanzenji. Postanowiłem nie wspominać o tym dziewczynie. Wydawało mi się, że gdybym jej powiedział, to uczucie, którego doznałem wysłuchawszy jej opowiadania, zdradziłoby tamto wcześniejsze, tajemnicze wzruszenie. Pomyślałem natomiast, że jeśli jej nie powiem, to jej opowiadanie nie tylko nie stanie się rozwiązaniem zagadki, lecz nawet podwoi i pogłębi jej tajemniczość.

Pociąg przejeżdżał akurat wzdłuż bambusowego zagajnika w okolicach Narutaki. Był maj, okres przekwitania, a liście bambusów już żółkły. Wiatr strząsał zeschnięte liście z czubków krzewów w gęste zarośla, ale pnie w dole, jakby zupełnie tym nie zainteresowane, trwały spokojnie, bezładnie splecione węzły łodyg. Tylko kępka bambusów rosnących najbliżej trasy pociągu zadrżała, przesadnie wygięta. W oczach pozostał mi jeden młody, zielony, lśniący bambus, który górował nad innymi. Jego boleśnie wygięty kształt stwarzał wrażenie jakiegoś niezwykłego, pełnego czaru ruchu, który przyciągnął mój wzrok, oddalił się, zniknął...

Dotarliśmy do Arashiyamy i doszliśmy do mostku Togetsukyō*. Obok znajdował się grób Damy Kogō**, o którego istnieniu nie wiedzieliśmy. Dama owa ukryła się w Sagano, obawiając się Tairy Kiyomoriego***. Minamoto Nakakuni,

* Togetsukyō – słynny mostek nad rzeką Ōigawa (Katsuragawa) u podnóża Arashiyamy w zachodniej części Kioto.

** Kogō – córka Fujiwary Shigenoriego i konkubina cesarza Takakury. Pod naciskiem Tairy Kiyomoriego opuściła pałac cesarski i skryła się w Sagano. Odnalazł ją postaniec cesarski Minamoto Nakakuni. Kogō stała się tematem sztuki nō o tym samym tytule, przypisywanej Konparu Zenchiku (1405–70?), w której Minamoto Nakakuni spotyka się z panią Kogō i opowiada jej o uczuciach cesarza.

*** Taira Kiyomori (1118–81) – mąż stanu i rycerz późnego okresu Heian. Walcząc po stronie rodu Taira, walcie przyczynił się do osłabienia rodu Minamoto, czym utwierdził pozycję polityczną; mianowany dajōdajinem – wielkim ministrem. Wydał córkę Tokuko za cesarza Takakurę (panował 1168–80), dzięki czemu zdobył ogromne wpływy.

który jej poszukiwał na rozkaz cesarza, odnalazł jej kryjówkę, kierując się delikatnymi tonami harfy koto, które usłyszał w jesienną noc oświetloną pełnią księżyca. Melodia nazywała się „Myśli o kochanym mężu”. W sztuce nō zatytułowanej *Kogō* znajdują się następujące wersy: *Kiedy wyszedł w noc, przyciągnięty blaskiem księżyca, dotarł do Hōrin* i wtedy usłyszał tony koto. Myślał, że może to wiatr szumiący na górskich szczytach lub pośród sosen. Spytał, co to za melodia, i powiedziano mu, że nazywa się Sōfuren***, „Myśli o kochanym mężu”, a on uradował się, jednak Dama Kogō spędziła resztę życia w pustelni w Sagano, modląc się za zbawienie duszy cesarza Takakury.

Grób znajdował się w głębi, na końcu wąskiej ścieżki. Był to tylko mały nagrobek, wciśnięty pomiędzy starą spróchniałą śliwę i wielki klon. Kashiwagi i ja pobożnie zmówiliśmy krótką modlitwę za duszę pani Kogō. Udzielił mi się sposób, w jaki Kashiwagi recytował, przesadnie poważny i przez to bluźnierczy. Skończyłem recytować tak, jak zwykle robią to studenci, jakby śpiewając przez nos, i ta mała profanacja dała mi wielkie poczucie wyzwolenia.

– Jest coś żalosego w takim stylowym grobie – powiedział Kashiwagi. – Siła polityczna czy siła pieniądza pozostawiają po sobie wspaniałe groby. Imponujące grobowce. Tacy ludzie i za życia są zupełnie pozbawieni wyobraźni, więc rozumie się samo przez się, że stawiają sobie takie groby, nie pozostawiające pola dla wyobraźni. A styl jest tylko tworem wyobraźni własnej i innych, więc i grób musi pobudzać wyobraźnię. No i zostaje tylko coś takiego. Ja uważam, że to bardziej żalose. Bo nawet po śmierci ciągle jeszcze trzeba polegać na ludzkiej wyobraźni.

* Hōrinji – świątynia buddyjska w Kioto, w Nishikyō-ku. Nazwa pochodzi od słowa hōrin, oznaczającego naukę Buddy, która obiega świat jak koło i niszczy wszelkie napotkane zło.

** *Sōfuren* – początkowo utwór muzyki dworskiej (gagaku) o ministrze chińskiej dynastii Jin (V w.), który zasadił w ogrodzie ukochane kwiaty lotosu. Z powodu zbieżności brzmienia tytuł zmieniono na „Myśli o kochanym mężu”, gdy stał się kompozycją na harfę koto.

– Czyli styl jest tylko tworem wyobraźni? – żywo podjąłem temat. – Sam często mówisz o rzeczywistości. Czym jest więc rzeczywistość stylu?

– Tym! – Kashiwagi poklepał dłonią porośnięty mchem nagrobek. – Kamień albo kości. Nieorganiczne szczątki, które pozostają po śmierci.

– To takie piekielnie buddyjskie.

– Buddyzm czy inna cholera, to wszystko nieważne. Styl, kultura, wartości estetyczne, w rzeczywistości wszystko jest jałowe i martwe. Tak jak ogród świątyni Ryōanji*, to tylko kupa kamieni. Filozofia – tylko kamienie, sztuka – też kamienie. A ludzkie żywotne zainteresowania to tylko polityka. Czyż to nie żalosne? Ludzie są istotami całkowicie samoprofanującymi.

– A gdzie się mieści pożądanie?

– Pożądanie, mówisz? No cóż, chyba gdzieś pośrodku. W kółko to samo, zabawa w berka ludzi i kamieni.

Chciałem od razu sprzeciwić się jego ujęciu piękna, ale obydwie dziewczyny znudzone naszą dyskusją, zaczęły już wracać wąską ścieżką, więc poszliśmy za nimi. Ze ścieżki widać było rzekę Hozu i część tamy, znajdującej się na północ od mostu Togetsukyō. Po drugiej stronie rzeki Arashiyama spowita była melancholijną zielenią, lecz w poprzek tej części rzeki rozciągał się biały pas spienionej wody i jej szum niósł się echem po okolicy.

Na rzece unosiły się liczne łódki. Lecz kiedy idąc wzdłuż brzegu doszliśmy do parku Kameyama przy końcu drogi i weszliśmy do środka, okazało się, że dziś jest tam tylko wiele rozrzuconych śmieci i tylko niewielu turystów. Przy bramie parku jeszcze raz odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na panoramę rzeki Hozu i pokrytej młodymi zielonymi liśćmi góry Arashiyama. Na drugim brzegu był mały wodospad.

* Ryōanji – świątynia szkoły Myōshinji sekty rinzai w Sakyō-ku w Kioto, założona w 1450 r. przez Hosokawę Katsumoto. Znana głównie z kamiennego ogrodu wypełnionego jedynie żwirem i kamieniami, przypominającymi morze i wyspy.

– Piękne widoki są jak piekło – odezwał się znowu Kashiwagi. Wydawało mi się, że Kashiwagi powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy. Spróbowałem jednak pójść za jego przykładem i patrzeć na ten widok, tak jakby był piekłem. Moje wysiłki nie poszły na marne. Rzeczywiście w tym rozciągającym się przede mną jak gdyby nigdy nic spokojnym, spowitym w zieleni widoku tętniło ukryte piekło. Najwyraźniej piekło mogło pojawić się w dzień czy w nocy, w każdej chwili i wszędzie, w odpowiedzi na nasze myśli i życzenia. Pojawiało się od razu tam, gdzie pragnęliśmy je przywołać.

Wiśnie Arashiyamy, których sadzonki sprowadzono tu ponoć w trzynastym wieku z gór Yoshino, były już całkowicie pokryte liśćmi. Kiedy przeminie pora kwitnienia, o tujszych wiśniach zaczyna się mówić jak o zmarłych pięknościach. W parku Kameyama dominowały sosny i dlatego, niezależnie od pory roku, wyglądały tak samo. Olbrzymi park pełen był wzniesień i dolinek, górowały nad nim sosny, wszystkie wysokie i pozbawione igieł aż do dużej wysokości. Te niezliczone nagie pnie przeplatały się bezładnie między sobą i zakłócały perspektywę panoramy parku.

Szeroka aleja okrążała park. Kiedy wydawało się, że będzie szła pod górę, znów nagle opadała. Tu i tam były pnie ściętych drzew, krzewy i małe sosenki, wielkie białe kamienie w połowie pogrzebane w ziemi. Krzewy azalii płonęły purpurowym fioletem obsypujących je kwiatów. Ten kolor pod zachmurzonym niebem wydawał się złowieszczy.

Wspinając się minęliśmy małą kotlinkę, w której na huśtawce siedziała młoda para i zatrzymaliśmy się w altance o kształcie papierowej parasolki na szczycie małego pagórka. Stąd po stronie wschodniej widać było prawie cały park, a po zachodniej w dole między drzewami prześwitywała rzeka Hozu. Do altanki bez przerwy dobiegało skrzypienie huśtawki przypominające zgrzytanie zębów.

Młoda dama rozwinęła swoje zawiniątko. Kashiwagi miał rację, mówiąc, że nie musimy zabierać ze sobą drugiego śniadania. Z zawiniątka wyłoniły się kanapki dla czterech osób, importowane ciasteczka, o które było tak trudno, a na koniec butelka whisky Suntory, którą można było dostać jedynie na czarnym rynku, ponieważ przydzielana była wyłącznie armii okupacyjnej. Powiadano, że Kioto było wówczas centrum handlu czarnorynkowego dla całego rejonu Kioto, Kobe i Osaki.

Ja raczej nie mogłem pić, ale gdy dziewczyna wręczyła Kashiwagiemu i mnie szklaneczki, wziąłem swoją, złożwszy ręce w geście podziękowania. Obie dziewczyny piły herbatę z butelki.

Jeszcze ciągle nie mogłem zrozumieć, jak Kashiwagiemu udało się tak zbliżyć do tej dziewczyny. Nie wiedziałem, dlaczego, choć wygląda na bardzo wybredną, jest uprzejma dla takiego biednego studenta z koślawymi stopami. Po wypiciu dwóch czy trzech szklaneczek Kashiwagi zaczął mówić, jakby chcąc odpowiedzieć na moje wątpliwości.

– Widzałeś, że się kłóciliśmy w pociągu? To dlatego, że rodzina nie daje jej spokoju, próbując ją zmusić do małżeństwa z jakimś facetem, który jej nic nie obchodzi. Ona wkrótce straci odwagę i chyba się podda. Więc jej powiedziałem, że absolutnie nie dopuszczę do tego małżeństwa. Tak ją pocieszałem i straszylem.

Nie powinien był mówić czegoś takiego przy osobie zainteresowanej, ale on mówił tak spokojnie, jakby jej w ogóle nie było obok niego. Wyraz twarzy słuchającej dziewczyny też wcale się nie zmienił. Na gładkiej szyi miała korale z niebieskiej porcelany. Kontur ciężkich włosów na tle zachmurzonego nieba rozmywał nieco jej zbyt czyste rysy. Jej oczy wydawały się bardzo wilgotne i tylko one sprawiały wrażenie zmysłowej nagości. Jej trochę wyzywające usta jak zwykle były lekko otwarte. Spomiędzy rozchylonych warg widać było drobne, ostre zęby, które wydawały się świeże, suche i białe. Przypominały zęby jakiegoś małego zwierzątka.

– Boli, boli! – zaczął nagle Kashiwagi, zginając się wóół i przyciskając dłonią goleń. W póspiechu nachyliłem się nad nim i próbowałem jakoś mu pomóc, ale Kashiwagi odepchnął mnie i spojrział na mnie dziwnie szyderczym wzrokiem. Odsunąłem rękę.

– Boli, boli! – zaczął Kashiwagi głosem pełnym prawdziwej udręki. Odruchowo spojrziałem na siedzącą obok dziewczynę. Jej twarz bardzo się zmieniła. Oczy straciły spokój, wargi drżały. Tylko jej chłodny nos pozostał niewzruszony i tworzył dziwny kontrast z resztą twarzy, której harmonia i równowaga zostały zburzone.

– Przepraszam! Przepraszam! Już zaraz cię wyleczę! Już zaraz! – Po raz pierwszy usłyszałem jej wysoki głos, który brzmiał tak, jakby nie przejmowała się, że dookoła są ludzie. Wyciągnęła długą szyję i rozejrzała się dookoła, po chwili uklękła na kamiennej podłodze altanki i objęła nogi Kashiwagiego. Przytuliła do nich policzki i pocałowała je. Ponownie ogarnął mnie tamten strach. Spojrzałem na dziewczynę ze stancji. Patrzyła w drugą stronę i nucila coś pod nosem.

Wydawało mi się, że wtedy słońce wyjrzało zza chmur, ale może to było tylko złudzenie. W spokojnym rysunku parku coś się popsulo. W tym czystym obrazie, który nas otaczał, w tych sosnach, świetle rzeki, w dalekich górach, w białej powierzchni skał, w kwiatkach azalii rozrzuconych tu i tam... wydawało się, że na całej powierzchni obrazu wypełnionego tym wszystkim powstały drobne rysy.

Wyglądało na to, że cud, który miał się zdarzyć, rzeczywiście się zdarzył. Kashiwagi stopniowo przestał jęczeć. Podniósł głowę, znowu rzucając mi szydercze spojrzenie.

– Przeszło mi! To zadziwiające. Gdy mnie zaczyna boleć i ty mi tak robisz, to ból zawsze mija.

Potem chwycił włosy dziewczyny i podniósł ją. Spojrzała na niego wzrokiem wiernego psa i lekko się uśmiechnęła. W białawym świetle chmurnego dnia piękna twarz dziewczyny wydała mi się w tej chwili twarzą owej sześćdziesięcioletniej staruszki, o której opowiadał Kashiwagi.

Kashiwagi po dokonanych cudzie miał dobry humor. Był tak wesoły, że zachowywał się jak wariat. Śmiał się głośno, od razu posadził sobie dziewczynę na kolanach i pocałował. Jego śmiech odbił się echem w kotlinie wśród gałęzi i wierchołków sosen.

– Dlaczego jej nie uwodzisz? – zapytał mnie, gdy tak siedziałem w milczeniu. – Przecież specjalnie i tobie przywiozłem dziewczynę. A może się wstydzisz, bo się będzie śmiała z twojego jąkania? Jąkaj się! Jąkaj! Ona przecież może zakochać się w jąkale.

– Ty się jąkasz? – zapytała dziewczyna ze stacji, jakby dopiero teraz się zorientowała. – No to mamy tu dwa rodzaje kalek. Brakuje tylko ślepego.

Jej słowa przeszły mi na wyłot i poczułem, że nie mogę dalej tu siedzieć. Ale, o dziwo, nienawiść, którą czułem do dziewczyny, pomieszana jakby z zawrotem głowy przerodziła się nagle w pożądanie.

– Podzielmy się i znajźmy sobie jakieś kryjówki. Spotkamy się za dwie godziny w tej altance – powiedział Kashiwagi, spoglądając na siedzącą w dole na huśtawce parę, która nawet jeszcze się nie obejmowała.

Zostawiliśmy za sobą Kashiwagiego z dziewczyną i zeszliśmy z pagórka, na którym stała altanka. Kierując się na północ, zaczęliśmy się wspinać łagodnym zboczem, które zwracało ku wschodowi.

– Zrobił z tej panienci świętą. To jego sposób – powiedziała dziewczyna.

– Skąd wiesz? – spytałem, straszliwie się jąkając.

– Bo przedtem było coś między nami.

– Ale to już skończone, tak? Że też możesz tak spokojnie się temu przyglądać.

– Tak, spokojnie. Z takim kaleką to nie ma rady.

Tym razem jej słowa dodały mi odwagi i zapytałem, wcale się nie zacinając – Też pewnie kochałaś jego kalekie stopy?

– Przeستاń! Takie stopy jak u żaby. Ja uważam, że on ma piękne oczy.

Usłyszawszy to, znowu straciłem pewność siebie. Bez względu na to, co myślał Kashiwagi, ta dziewczyna kochała w nim coś pięknego, o czego istnieniu on nawet nie wiedział. A moja duma, biorąca się z tego, że nie było we mnie nic, o czym – jak sądziłem – bym nie wiedział, opierała się na tym, że byłem jedynym człowiekiem, który sam sobie odmówił jakiegokolwiek pięknej cechy.

Wspięliśmy się więc na szczyt zbocza i znaleźliśmy się na niewielkiej, cichej polance. Spomiędzy sosen i cedrów w dali można było dostrzec niewyraźne góry Daimonjiyama i Nyoigatake. Gęsty bambusowy zagajnik opadał ukośnie ze szczytu tego pagórka w stronę miasta. Na skraju bambusów rosła jedna spóźniona wiśnia, której kwiaty jeszcze nie opadły. Było już naprawdę późno jak na kwitnienie wiśni i pomyślałem, że może dlatego tak długo im zeszło, że się jąkały i tak jąkając się, próbowały zakwitnąć.

Czułem ucisk w piersi i jakiś ciężar w okolicy żołądka. Nie było to z powodu alkoholu. Teraz, kiedy nadeszła krytyczna chwila, moje pożądanie stało się cięższe, opuściło moje ciało i zmieniawszy się w jakąś abstrakcyjną strukturę przysiadło ciężko na moich ramionach. Odczuwałem to tak, jakby było jakąś wielką, czarną, żelazną maszyną.

Jak już wielokrotnie wspominałem, byłem wdzięczny Kashiwagiemu za to, że, kierując się życzliwością, czy też może złą wolą, nakłaniał mnie do normalnego życia. Dla mnie, który w szkole średniej zrobiłem rysę na pochwie miecza starszego kolegi, już od dawna było jasne, że brak mi kwalifikacji do wejścia w życie od jasnej strony. Jednak Kashiwagi był przyjacielem, który pokazywał mi ciemną dróżkę zachodzącą życie od tyłu. Na pierwszy rzut oka mogło się wydać, że droga ta prowadzi do ruiny, ale była ona pełna nieoczekiwanych forteli, zmieniała podłość w odwagę, przekształcała to, co zwykle nazywamy występkiem, w czystą energię, co można nawet chyba było nazwać pewnym rodza-

jem alchemii. A mimo to była prawdziwa, a mimo to prowadziła do prawdziwego życia. Życia, które szło naprzód, zdobywało, zmieniał się i które mogło tracić. Nawet jeśli nie można tego było nazwać typowym życiem, to wyposażone było we wszystkie jego funkcje. Gdyby gdzieś w jakimś niewidzialnym dla nas miejscu założono, że wszelkie życie jest bezcelowe, to owo życie Kashiwagi stopniowo nabrałoby takiej samej wartości, jak zwykle rodzaje życia.

Myślałem, że przecież nie wiadomo, czy Kashiwagi też nie jest zamroczony. Już od dawna wiedziałem, że nawet w bardzo ponurej świadomości kryje się zamroczenie ową świadomością. A w końcu ludzie zamraczają się alkoholem.

Usiedliśmy obok krzewu azalii o spłowiątych i pogryzionych przez robaki kwiatach. Nie rozumiałem, dlaczego dziewczyna ze stancji chce ze mną w ten sposób obcować. Specjalnie użyję tego okrutnego określenia w związku ze sobą: nie rozumiałem, jaki impuls każe jej się tak skalać. Na świecie zapewne istnieje oddanie pełne wstydlivości i łagodności, ale ta dziewczyna pozwalała moim ręką przysiąść na swoich pulchnych dłoniach, tak jakby były to muchy, które przysiadły na kimś drzemającym. Jednak długi pocałunek i dotyk jej miękkiego podbródka obudziły moje pożądanie. Tak długo o tym marzyłem, ale rzeczywiste uczucie było dziwnie płytkie i płaskie, a moje pożądanie krążyło sobie jakimś innym torem. Białe zachmurzone niebo, szelest bambusów, pracowita wspinaczka biedronek chodzących po liściach azalii – istniały jak przedtem, rozrzucone i nie uporządkowane.

Próbowałem uniknąć myślenia o tej siedzącej przede mną dziewczynie jako o przedmiocie mojego pożądania. Powinienem myśleć o tym jako o życiu. Jako o progu, który muszę przestąpić, by iść naprzód, by zdobywać. Jeśli przegapię tę szansę, życie nigdy do mnie nie przyjdzie. Przez głowę przełatywały mi bolesne wspomnienia tych niezliczonych sytuacji, gdy z powodu jąkania nie mogłem wykrztusić słowa. Koniecznie musiałem przerwać milczenie i powiedzieć coś, nawet jękając się, bo inaczej nigdy nie uda mi się zdobyć

życia. „Jąkaj się, ile chcesz!” – ta brutalna zachęta Kashiwagiego, ten niczym nie skrępowany okrzyk znów zadzwonił mi w uszach i dodał mi odwagi... i w końcu włożyłem rękę pod spódnicę dziewczyny.

Wtedy pojawiła się przede mną Złota Pagoda.

Pelna majestatu, melancholijna, delikatna budowla. Z opadającą po złotą, przypominająca doczesne szczątki przepychu. Pojawiła się ta Złota Pagoda, która zawsze wyraźnie unosiła się gdzieś w tej niezrozumiałej odległości, która wydając się bliska, była daleka, wydając się przyjazna, była niedostępna.

Stała pomiędzy mną a życiem, do którego dążyłem. Z początku była niewielka jak miniaturowy obrazek, ale rosła w oczach, tak jak w tym wymyślnym modelu, gdzie ogromna Złota Pagoda mogła pomieścić w sobie cały świat i pogrzebać całkowicie ten mój, stając się czymś, co miało dokładnie rozmiary świata. Wypełniła wszystko jakąś potężną muzyką i stała się równoznaczna z całym światem. Ta Złota Pagoda, która jak mi się wydawało, czasami mnie ignorowała, która tak mnie przewyższała, teraz mnie całkowicie pochłonęła i pozwoliła mi znaleźć sobie miejsce w swojej strukturze.

Dziewczyna ze stacji zmalowała, oddalała się, aż zniknęła jak pyłek kurzu. Skoro odrzuciła ją Złota Pagoda, moje życie też zostało odrzucone. Jak mógłbym wyciągać ręce po życie, będąc spowity w piękno. Piękno też prawdopodobnie ze swojego punktu widzenia miało prawo domagać się ode mnie zaniechania moich celów. Przecież niemożliwe jest dotknięcie wieczności palcami jednej ręki, a palcami drugiej – życia. Jeśli założyć, że znaczenie naszych poczynań w stosunku do życia polega na tym, by przysięgać wierność pewnej chwili i próbować ją zatrzymać, to prawdopodobnie Złota Pagoda, dobrze o tym wiedząc, na krótką chwilę zrezygnowała ze swojej obojętności w stosunku do mnie,

sama przybrała formę tej chwili i przybyła, by mi pokazać czczość moich pragnień dotyczących życia. Złota Pagoda dobrze wiedziała, że w życiu odurzają nas chwile, które przybierają formę wieczności, ale nie mają znaczenia, gdy wieczność przybiera formę chwili, tak jak to uczyniła Złota Pagoda. I właśnie w takich chwilach wieczne istnienie piękna naprawdę przeszkadza i zatruwa nasze życie. Chwilowe piękno, na które życie pozwala nam zerknąć, jest bezsilne w obliczu takiej trucizny. Ono natychmiast marnieje i popada w ruinę, jednocześnie wystawiając życie na brązowawe światło owej ruiny.

Niezbyt długo pozostawałem pogrążony w tych wizjach Złotej Pagody. Kiedy przyszedłem do siebie, ona już się znowu ukryła. Stała się tak jak przedtem tylko jedną z budowli w Kinugasa, położoną daleko na północny wschód i stąd nie można jej było zobaczyć. Minęła chwila złudzeń, w której Złota Pagoda mnie przyjmowała i przygarniała do siebie. Leżałem na szczycie pagórka parku Kameyama, wokoło były jedynie kwiaty, jednostajny odgłos latających owadów i leżąca w zachęcającej pozie dziewczyna.

Widząc moją nagłą nieśmiałość, dziewczyna spojrzała na mnie z niechęcią i usiadła. Odwróciła się do mnie tyłem, wyjęła z torebki lustro i przejrzała się. Nic nie powiedziała, ale czułem jej pogardę przecinającą mi skórę jak kolczasty rzep jesienią.

Niebo wisiało nisko. Deszczyk zaczął uderzać w trawę i kwiaty azalii. Wstaliśmy w pośpiechu i szybko skierowaliśmy się to altanki, w której mieliśmy się wszyscy spotkać.

* * *

Wycieczka skończyła się żałością, ale ten dzień pozostawił mi ponure wspomnienia nie tylko z tego powodu. Tego wieczora przed porą spoczynku opat otrzymał telegram z Tokio i o jego treści natychmiast powiadomiono wszystkich w świątyni.

Tsurukawa nie żył. W telegramie było tylko powiedziane, że zginął w wypadku, ale później dowiedziałem się szczegółów. Poprzedniego wieczora Tsurukawa poszedł do domu wuja w Asakusa i tam poczęstowano go winem ryżowym sake, do którego nie był przyzwyczajony. Kiedy wracał, został uderzony przez ciężarówkę, która wyjechała z uliczki obok dworca, i zmarł na miejscu z powodu złamania kości czaszki. Zupełnie załamana rodzina Tsurukawy dopiero następnego dnia po południu uświadomiła sobie, że trzeba wysłać telegram do Rokuonji.

Pląkałem, choć nie pląkałem przecież po śmierci ojca. A to dlatego, że zdawało mi się, że śmierć Tsurukawy, bardziej niż śmierć ojca, wiązała się z problemami, z którymi się borykałem. Po poznaniu Kashiwagiego przestało mi tak zależeć na Tsurukawie. Teraz dopiero, gdy go utraciłem, uświadomiłem sobie, że wraz z jego śmiercią przerwana została jedyna cienka nić, która łączyła mnie ze światem wypełnionym światłem dnia. Pląkałem za utraconym dniem, utraconym światłem, utraconym latem.

Chciałem pojechać do Tokio i złożyć kondolencje rodzinie, ale nie miałem pieniędzy. Opat wypłacał mi tylko pięćset jenów kieszonkowego na miesiąc. Matka miała teraz jeszcze mniej pieniędzy niż dawniej. Przysyłała mi najwyżej dwieście, trzysta jenów raz lub dwa razy do roku. Uporządkowała sprawy majątkowe i przeniosła się do wuja w Kasa-gun, dlatego że po śmierci męża nie mogłaby się utrzymać jedynie z ofiar parafian, sięgających około pięciuset jenów, i niewielkiej zapomogi wypłacanej przez rząd.

Nie widziałem ciała Tsurukawy, nie byłem na jego pogrzebie. Nie wiedziałem więc, jak przekonać siebie, że on nie żyje. Jego biała koszula, która kiedyś falowała razem z brzuchem, oświetlana przenikającym między drzewami słońcem, teraz została spalona. Kto by pomyślał, że jego ciało i duch stworzone tylko dla światła i tylko do niego pasujące, spoczywają teraz w grobie. Nie miał w sobie nic, co wskazywałoby na przedwczesną śmierć, w jego naturze nie było

żadnego niepokoju ani smutku, nie miał w sobie żadnych pierwiastków związanych z umieraniem. Może właśnie dlatego umarł tak nagle. Może niemożliwe było uchronienie go od śmierci, bo jego życie składało się jedynie z czystych składników i był nieodporny, jak owe zwierzęta czystej rasy. W takim razie wydawałoby się, że w przeciwieństwie do niego, nade mną wisi przekleństwo długiego życia.

Przejrzyście struktura świata, w którym żył Tsurukawa, zawsze stanowiła dla mnie wielką zagadkę, lecz teraz z powodu jego śmierci owa zagadka stała się jeszcze bardziej przerażająca. I to właśnie ten przezroczysty świat rozbiła w pył wyjeżdżająca z boku ciężarówka, tak jakby uderzyła w szkło, które jest tak przezroczyste, że go nie widać. To, że śmierć Tsurukawy nie była spowodowana chorobą, bardzo pasowało do tej metafory. Czysta śmierć w wypadku odpowiadała niezrównanie czystej strukturze jego życia. W wyniku tego zderzenia, które trwało tylko chwilę, jego życie i śmierć zetknęły się ze sobą i połączyły. Szybka reakcja chemiczna... Niewątpliwie tylko w taki drastyczny sposób mógł ów pozbawiony cienia, wyjątkowy chłopak połączyć się ze swoim cieniem i ze swoją śmiercią.

Mogę z przekonaniem stwierdzić, że choć świat Tsurukawy przepelniony był jasnymi uczuciami i dobrem, to jednak nie zamieszkał w nim z powodu nieporozumienia albo zbyt łagodnych sądów. Jego jasne serce, nie mające sobie na tym świecie równych, było jak podszewką podbite siłą, pewną sprężystą elastycznością, i to właśnie ona kierowała jego działaniem. W tym, jak potrafił przetłumaczyć wszystkie moje ciemne uczucia na jasne, było coś wyjątkowo słusznego. Jego jasność tak całkowicie odpowiadała mojej ciemności i tak dokładnie z nią kontrastowała, że miałem wątpliwości, czy też czasami Tsurukawa nie poznał prawdy o moim sercu. Ale nie! Jasność jego świata była czysta, ale i jednostronna, miała swój własny, szczegółowy system, którego dokładność zbliżała się być może do precyzji zła. Gdyby nie podtrzymywała go bez przerwy niewzruszona siła

ciała tego chłopaka, być może ów jasny, przejrzysty świat natychmiast by się rozpadł. Tsurukawa biegł tak szybko, jak tylko mógł. I jego ciało zostało przejechane przez ciężarówkę.

Teraz, gdy utracona została ta czysta twarz, to swobodne ciało, które były źródłem zadowolenia ludzi, wiele razy zatapiałem się w tajemniczych refleksjach dotyczących widzialnych części istoty ludzkiej. Myślałem o tym, jak zadziwiające jest to, że rzeczy, które możemy ogarnąć wzrokiem, które istnieją wokół nas, mają w sobie aż tyle jasnej siły. I o tym, że aby mieć takie proste poczucie istnienia, duch musi się wiele nauczyć od ciała. Mówi się, że filozofia zen przyjęła za swoją podstawę brak szczegółowych cech i że prawdziwe zrozumienie polega na uświadomieniu sobie, że własne serce nie ma ani formy, ani cechy. Ale aby osiąść tę umiejętność widzenia braku szczegółowych cech, trzeba prawdopodobnie być w niezwykłym stopniu wyczulonym, by nie poddawać się urokowi formy. Jak osoba, która nie może z niesłychanym, bezosobowym wyczuciem dostrzec formy i cechy, miałaby tak wyraźnie ujrzeć brak formy i cechy? I dlatego myślałem, że ktoś taki jak Tsurukawa, kto przez samo swoje istnienie wydzielal światło, ktoś, kogo można było zobaczyć i dotknąć, ktoś, kogo można było nazwać życiem dla samego życia i kto został teraz utracony – że jego przejrzysta forma była najwyraźniejszą metaforą nieprzejrzystego braku formy, i jego świadomość istnienia była najbardziej realistycznym modelem pozbawionej formy nicości, może więc ktoś taki jak on sam był jedynie jakąś metaforą. Na przykład odpowiedniość i stosowność Tsurukawy i majowych kwiatów w wyniku tej nagłej majowej śmierci była odpowiednością i stosownością między nim i tymi majowymi kwiatami, które rzucono na jego trumnę.

W każdym razie w moim życiu brakowało takiego silnego, trwałego symbolizmu jak w życiu Tsurukawy. I dlatego właśnie Tsurukawa był mi potrzebny. Najbardziej zazdrościłem mu tego, że dożył do końca swojego życia, w odróżnieniu ode mnie zupełnie nie mając świadomości, że

jest wyjątkowy, że dźwiga na barkach ciężar jakiejś wyjątkowej misji. To właśnie ta wyjątkowość odebrała memu życiu symbolizm, ten symbolizm, dzięki któremu życie Tsurukawy mogło być metaforą dla innych rzeczy, i w rezultacie odebrała poczucie wielkości i solidarności w życiu, stając się źródłem wszechogarniającej samotności. To zadziwiające. Nie miałem w sobie nawet poczucia solidarności z nicością.

* * *

Znowu zaczęła się moja samotność. Od tamtego czasu nie widziałem się więcej z dziewczyną ze stacji, a moje stosunki z Kashiwagim nie były tak bliskie jak przedtem. Jego styl życia nadal miał dla mnie ten sam urok, ale starałem się mu oprzeć, gdyż wydawało mi się, że ta próba trzymania się od niego z daleka wbrew moim własnym życzeniom będzie czymś w rodzaju ceremonii pożegnalnej dla Tsurukawy. Wysłałem list do matki, wyraźnie ją prosząc, by nie odwiedzała mnie, dopóki nie stanę się niezależny. Wcześniej powiedziałem jej to bezpośrednio, ale wydawało mi się, że nie zaznam spokoju, dopóki nie wyłożę jej tego w liście czarno na białym. W odpowiedzi matka bezładnymi zdaniem pisała o tym, jak pomaga wujowi w gospodarstwie, potem była seria prostych pouczeń i przestroóg, a na końcu matka dopisała: „Chciałabym przed śmiercią zobaczyć Cię jako opata Rokuonji”. Znienawidziłem to zdanie i przez kilka dni napawało mnie ono niepokojem.

Latem też nie odwiedziłem miejsca pobytu matki. Z powodu skromnych posiłków letnie gorąco dało mi się we znaki. Któregoś dnia po dziesiątym września ostrzeżono, że może nadejść wielki tajfun. Ktoś musiał trzymać nocną wartę przy Złotej Pagodzie i ja zgłosiłem się na ochotnika.

Wydaje mi się, że to właśnie wtedy zaczęły się nieznaczne zmiany w moich uczuciach w stosunku do Złotej Pagody. Nie była to nienawiść, ale przeczucie, że niewątpliwie nadejdzie dzień, gdy to coś, co dojrzewało we mnie, będzie abso-

lutnie niezgodne ze Złotą Pagodą. Te uczucia stały się dla mnie jasne od owego dnia w parku Kameyama, ale bałem się je nazwać po imieniu. Bardzo się cieszyłem, że na jedną noc Złota Pagoda zostanie mi powierzona, i nie umiałem ukryć tej radości.

Dostałem klucze do Kukyōchō. To piętro uważano za szczególnie cenne. To tu, kilkanaście metrów nad ziemią, pomiędzy belkami sufitu, dumnie wisiała inskrypcja własnoręcznie wykonana przez cesarza Gokomatsu*. Radio podawało co chwilę wiadomości o zbliżaniu się tajfunu, ale nic wokół nie zapowiadało jego nadejścia. Deszcz, który kropił całe popołudnie, ustał, a na niebie wzeszedł jasny księżyc w pełni. Mieszkańcy świątyni wyszli do ogrodu i patrząc na niebo, mówili, że to na pewno cisza przed burzą.

Świątynia zapadła w sen. Zostałem sam w Złotej Pagodzie. Byłem w miejscu, do którego nie dochodziło światło księżyca, i wpadłem w uniesienie, myśląc o tym, jak spowija mnie ciężka, wspaniała ciemność Złotej Pagody. Poczucie tej rzeczywistości stopniowo przeniknęło mnie głęboko i przerodziło się w wizję. Kiedy się zorientowałem, zrozumiałem, że teraz naprawdę dostałem się do wnętrza owej wizji z parku Kameyama, która oddzieliła mnie od życia.

Byłem naprawdę zupełnie sam i spowijała mnie absolutna Złota Pagoda. Czy to ja posiadałem Złotą Pagodę, czy ona posiadała mnie? Czy też może osiągnęliśmy rzadki stan równowagi? Czy to możliwe, że ja stawałem się Złotą Pagodą, a ona mną?

Wiatr zerwał się około pół do dwunastej w nocy. Posługując się latarką wszedłem po schodach i włożyłem klucz w dziurkę drzwi Kukyōchō. Stałem oparty o balustradę. Wiatr wiał z południowego wschodu, jednak na niebie nie widać jeszcze było żadnej zmiany. Księżyc oświetlał wodę pomiędzy rzęsą na stawie Kyokōchi. Powietrze wypełniło się śpiewem cykad i rechotem żab.

* Cesarz Gokomatsu panował w latach 1392–1412.

Kiedy poczułem na policzku pierwszy silny podmuch, przebiegł mnie nieomal zmysłowy dreszcz. Wiatr wzmagał się tak bez końca, aż zmienił się w straszliwą zawieruchę. Wydawało mi się, że to znak, że ja mam zostać zniszczony razem ze Złotą Pagodą. Moje serce było wewnątrz Złotej Pagody, a jednocześnie na skrzydłach tego wiatru. Złota Pagoda, która określała strukturę mojego świata, nie miała zasłon, które mogłyby łopotać na wietrze, stała sobie spokojnie oblewana światłem księżyca, lecz na pewno kiedyś wiatr i moja zła wola jeszcze nią zatrząsą, jeszcze ją obudzą i w momencie zniszczenia odbiorą znaczenie jej aroganckiemu istnieniu.

Tak. W tamtej chwili byłem otoczony pięknem, byłem naprawdę wewnątrz piękna, lecz wątpię, czy bez pomocy woli tego bezgranicznie się wzmagającego, brutalnego wiatru udałoby mi się zostać tak idealnie spowitym pięknem. Tak jak Kashiwagi rozkazywał mi: „No dalej! Jąkaj się! Jąkaj!” , tak samo teraz ja, uderzając wiatr batem, chciałem krzyknąć jak przy popędzaniu konia: „Dalej! Dalej! Szybciej! Mocniej!”

Las zaszeleścił. Gałęzie drzew nad stawem otarły się o siebie. Wieczne niebo utraciło swój spokojny ciemny granat i pokryło się głęboką niebieskawą szarością. Śpiewanie cykad nie ścichło, za to zbliżył się daleki, tajemniczy świst wiatru, jakby słabnącego.

Patrzyłem, jak niezliczone chmury przepływając przesłaniają księżyc. Wyłaniały się spoza gór jedne po drugich jak korpusy wojska i kierowały się z południa na północ. Niektóre były masywne, inne wiotkie. Były wśród nich chmury olbrzymie i były takie składające się z kilku kawałków. Wszystkie pojawiały się z południa, przepływały przed księżycem, przesłaniały dach Złotej Pagody i odlatywały szybko na północ, jakby gdzieś śpieszyły w ważnej sprawie. Zdawało mi się, że słyszę z dachu krzyk feniksa.

Wiatr nagle słabł, to znów się wzmagał. Las czujnie nadstawiał uszu i też to cichł, to znowu szumiał. Odbicie

księżyc w stawie raz po raz ciemniało i rozjaśniało się, czasami zbierało swoje rozproszone światło i szybko przebiegało po stawie jak miotła.

Zwały chmur, które zebrały się za górami, rozpościerały się po niebie jak jakaś wielka dłoń. Przerażające było, gdy tak zbliżały się, wijąc i kotłując. Połowa nieba, którą jasno było widać pomiędzy chmurami, szybko znów się nimi zasnuwała. Jednak co pewien czas przez cienką warstwę chmur można było dojrzeć przeblaskujący księżyc otoczony mglistą aureolą.

I tak przez całą noc trwał ruch na niebie. Nie było jednak innych oznak, że wiatr się wzmacnia. Spałem przy balustradzie. Następnego ranka była pogoda i wczesnie rano przyszedł mnie obudzić stary służący świątynny. Powiedział, że na szczęście tajfun ominął Kioto.

Rozdział VI

Mniej więcej rok obchodziłem żałobę po Tsurukawie. Bardzo szybko przywykłem do samotności i po raz kolejny uświadomiłem sobie, że takie życie, w którym praktycznie do nikogo się nie odzywam, wymaga ode mnie najmniej wysiłku. Mój lęk przed życiem zniknął. Przyjemnie spędzałem martwe dni.

Uniwersytecka biblioteka stała się jedynym miejscem, które dostarczało mi radości. Nie czytałem tam tekstów zenistycznych, tylko tłumaczenia powieści i traktaty filozoficzne, które wpadły mi w rękę. Wolałbym nie wymieniać tu nazwisk autorów owych powieści i filozofów. Przyznaję, że wywarły na mnie pewien wpływ i stały się powodem tego, co później uczyniłem, wolę jednak wierzyć, że mój postępek był produktem mojej własnej wyobraźni i nie chciałbym, by zaklasyfikowano go jako coś, co powstało pod wpływem jakiejś wcześniej istniejącej filozofii.

Jak już wcześniej wspomniałem, to że ludzie mnie nie rozumieli, było moim jedynym powodem do dumy, i nie czułem potrzeby wyrażania się tak, by mnie rozumieli. Próbowałem wyjaśniać swoje motywy, nie mając żadnych względów dla słuchaczy, ale nie jestem wcale pewien, czy brało się to z potrzeby zrozumienia siebie. Taka potrzeba zgodnie z naturą ludzką tworzy most pomiędzy jednostką a innymi. Zamroczenie, które wywoływało we mnie piękno Złotej Pagody, uczyniło mnie częściowo nieprzezroczystym, i właśnie to zamroczenie uniemożliwiało mi wszelkie inne zamroczenia. Aby mu się przeciwstawić, musiałem przy pomocy woli znaleźć i zatrzymać w sobie jakąś inną, jasną

część. W ten sposób, choć inni o tym nie wiedzieli, ta jasność była właśnie moim ja, a nie odwrotnie, to znaczy, że nie byłem prawdziwym posiadaczem własnego ja.

Zdarzyło się to w wiosenne wakacje czterdziestego ósmego roku, kiedy dostałem się na drugi rok kursu przygotowawczego. Ponieważ nie miałem żadnych przyjaciół, spędzałem przyjemnie wolny czas, chodząc na samotne spacery. Pewnego wieczoru gdy opat był nieobecny, wyszedłem ze świątyni i przeszedłem przez główną bramę. Za bramą po obu stronach ciągnął się rów, a nad nim stała tablica.

Mimo że widziałem ją już dziesiątki razy, teraz, nie mając nic innego do roboty, odwróciłem się i jeszcze raz przeczytałem oświetlone blaskiem księżycy stare napisy widniejące na tablicy.

Uwaga!

1. *Żadne zmiany w obecnym stanie terenu nie mogą być dokonywane bez specjalnego pozwolenia.*

2. *Nie wolno czynić nic, co miałoby wpływ na zachowanie tego terenu w nienaruszonym stanie.*

Osoby, które nie zastosują się do powyższych zaleceń, będą ukarane zgodnie z prawem.

21 marca 1928

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

Napisy te niewątpliwie dotyczyły Złotej Pagody. Jednak wydawało mi się, że niezniszczalna, wieczna Złota Pagoda stoi w jakimś zupełnie innym miejscu niż ta tablica, nieświadoma, co mogą oznaczać te abstrakcyjne sformułowania. Tablica ta jakby przewidywała jakieś niezrozumiałe lub niemożliwe czyny. Jej autorzy zapewne łamali sobie głowę nad tym, jak ogólnie określić tego rodzaju czyny. Czyny, których pomysł mógłby się zrodzić jedynie w umyśle szaleńca. Czy powinno się go przestraszyć perspektywą kary,

zanim je popełni? Prawdopodobnie potrzebny jest napis, który jedynie szalenciec zrozumie.

Gdy tak oddawałem się owym bezsensownym rozmyśleniom, zauważyłem, że ktoś nadchodzi szeroką aleją wiodącą ku bramie. Nie było już śladu po zwiedzających, którzy przychodzili tu za dnia, a noc wypełniały jedynie oblane blaskiem księżycy sosny i migoczące w oddali przednie światła samochodów jeżdżących tam i z powrotem po dalekiej ulicy, którą biegły tory tramwajowe.

Nagle zorientowałem się, że ten nadchodzący człowiek to Kashiwagi. Poznałem go po chodzie. I wtedy postanowiłem zrezygnować z owego długiego, trwającego rok oddalenia, które sam sobie narzuciłem, i czułem teraz tylko wdzięczność na wspomnienie tego, jak Kashiwagi mnie kiedyś uleczył. Tak. Od pierwszej chwili, zaraz po tym jak się poznaliśmy wyleczył mnie z myśli o kalectwie, przy pomocy tych niezdarłych, koślawych stóp, tych ostrych, nieskrępowanych słów, tego całkowicie szczerego wyznania. Wtedy po raz pierwszy zasmakowałem radości rozmowy z kimś jak równy z równym. Zasmakowałem radości podobnej do tej, jaką sprawia nam czynienie zła, takiej, która pozwoliła mi pograć się w świadomości, że jestem mnichem i jąkałą. Świadomości, która znikala w moich stosunkach z Tsurukawą. Powitałem Kashiwagiego uśmiechem. Miał na sobie studencki mundur, a pod pachą niósł podłużne zawiniątko.

– Czy gdzieś się wybierasz? – zapytał.

– Nie...

– Dobrze, że cię tu spotkałem. – Mówiąc to usiadł na kamiennym stopniu i rozwinął zawiniątko. Ukazały się dwie części ciemnego, błyszczącego fletu shakuhachi*. – Ostatnio umarł wujek w moich rodzinnych stronach i na pamiątkę dostałem ten flet. Mam jeszcze drugi, który wujek dał mi

* Shakuhachi – tradycyjny flet japoński, flet prosty zrobiony z wydrążonej łodygi bambusa. Ma cztery otwory na górze i jeden pod spodem; około pół metra długości.

dawno temu, kiedy uczył mnie grać. Ten jest podobno bardzo dobry, a ja i tak wolę tamten stary, do którego się przyzwyczaiłem. No a że dwa mi są niepotrzebne, to pomyślałem, że ci jeden dam.

Nigdy jeszcze nie dostałem od nikogo prezentu, więc każdy prezent by mnie ucieszył. Wziąłem flet do ręki. Kashiwagi mówił dalej:

– Ja gram w stylu szkoły kinko*. Dziś jest wyjątkowo piękna księżycowa noc, więc pomyślałem, że przyjdę i może pozwolisz mi zagrać przed Złotą Pagodą. A przy okazji dam ci lekcję gry na flecie...

– Teraz jest akurat dobra pora. Opata nie ma, a dziadek jeszcze się leni i nie skończył sprzątanania. Bo po sprzątananiu Złota Pagoda jest zamykana.

To nagle pojawienie się, ta nagła chęć, by zagrać na flecie przed Złotą Pagodą, bo księżyc jest piękny, to wszystko zdradzało prawdziwą naturę tego Kashiwagiego, którego znałem. Ale i tak w moim monotonym życiu nawet samo zaskoczenie było przyjemnością. Wziąłem otrzymany flet i poprowadziłem go do Złotej Pagody.

Nie pamiętam dokładnie, o czym rozmawialiśmy owego wieczoru. Prawdopodobnie o niczym ważnym. Przede wszystkim Kashiwagi najwyraźniej wcale nie zamierzał oddawać się swoim zwykłym ekscentrycznym, filozoficznym wywodom, pełnym jadowitych paradoksów. Być może przyszedł specjalnie po to, by pokazać mi zupełnie inną stronę swojej osobowości, o której istnieniu nie miałem pojęcia. Ten obdarzony jadowitym językiem człowiek, jakby kierujący się jedynie chęcią bluźnienia przeciw pięknu, pokazał mi wtedy zupełnie inną, naprawdę wrażliwą stronę

* Kinko-ryū – styl gry na shakuhachi stworzony przez Kurozawę Kinko (1710–71); jeden z dwóch (obok tozan-ryū) głównych stylów gry na flecie shakuhachi.

swojej natury. Miał wiele teorii na temat piękna znacznie bardziej precyzyjnych niż moje. Wypowiedział je nie słowami, lecz gestem, wyrazem oczu, dźwiękami fletu i czołem oświetlonym blaskiem księżyca.

Staliśmy oparci o balustradę na poziomie Chōondō. Galeria, na którą padały cienie delikatnie zaokrąglonych okapów, była podtrzymywana przez osiem pełnych gracji wsporników w stylu indyjskim i wznosiła się zaraz ponad powierzchnią stawu, w którym schronił się księżyc.

Kashiwagi najpierw zagrał krótki utwór zatytułowany *Powóz pałacowy**. Zaskoczyła mnie jego doskonała gra. Próbowałem go naśladować i przyłożyłem wargi do ustnika, lecz z instrumentu nie wydobył się żaden dźwięk. Kashiwagi pokazał mi najpierw, jak trzymać lewą rękę na górze fletu, a potem cierpliwie, krok po kroku, nauczył mnie, jak przyłożyć flet do ust, jak stulić wargi przykładając je do ustnika, i jak wypuszczać szeroki, płaski strumień powietrza. Jednak mimo wielu prób, nie mogłem wydać dźwięku. Wybałuszałem oczy i wydymałem policzki, i choć nie było wiatru, zdawało mi się, że księżyc w stawie rozpada się na tysiące kawałków.

Byłem wykończony i w pewnej chwili zacząłem mieć wątpliwości, czy przypadkiem Kashiwagi specjalnie nie zmusza mnie do tych cierpień, w ten sposób kpiąc z mojego jąkania. Jednak stopniowo zaczęło mi się zdawać, że ten fizyczny wysiłek, by wydobyć dźwięk z fletu, niejako oczyszcza wysiłek psychiczny, potrzebny zazwyczaj, bym pełen obawy, że się zająknę, wydobył z siebie gładko to pierwsze słowo. Zdawało mi się, że ten dźwięk, do którego jeszcze nie dotarłem, na pewno już gdzieś istnieje w tym spokojnym, oblewanym światłem księżyca świecie. Dochodzę do niego kosztem wielkiego wysiłku i teraz pozostaje mi tylko go zbudzić.

* *Powóz pałacowy* (Goshoguruma) – słynna melodia na flet shakuhachi, należąca do gatunków hauta i utazawa; pochodzi z okolic Kioto i Osaki; opiewa miłość, porównując ją do wczesnej wiosny.

Czy uda mi się jakoś dotrzeć do tego czarodziejskiego dźwięku, który potrafił wydobyć z fletu Kashiwagi? Tylko niezrównana wprawa czyni to możliwym; piękno jest wprawą. Odwagi dodała mi myśl, że tak jak Kashiwagiemu udało się osiągnąć ten piękny czysty dźwięk pomimo jego koślawych stóp, tak i ja dotrę do niego dzięki samej tylko wprawie. Jednocześnie zdałem sobie sprawę z czegoś innego. Czyż to, że grany przez Kashiwagiego „Powóz pałacowy” brzmiał tak pięknie, nie było – prócz piękna tej księżycowej nocy – spowodowane także brzydotą jego koślawych stóp?

Później, gdy poznałem Kashiwagiego bliżej, zrozumiałem, że nie lubił długotrwałego piękna. Muzyka, która natychmiast znika, kompozycje kwiatowe, które więdną po kilku dniach – to mu się podobało, nienawidził natomiast architektury, literatury i temu podobnych rzeczy. Przyszedł wtedy do Złotej Pagody na pewno tylko dlatego, że chciał ją zobaczyć, gdy była spowita blaskiem księżyca. Jakie zadziwiające jest jednak piękno muzyki! Krótkotrwałe piękno, które stwarza grający, zmienia daną chwilę w czyste trwanie i tworząc niepowtarzalny byt, nietrwały jak efemeryda, staje się całkowitym symbolem życia jako takiego i jego kreacją. Nie ma nic równie bliskiego życiu jak muzyka i choć Złota Pagoda była pięknem, nie było piękna równie dalekiego od życia i życiem pogardzającego. Gdy tylko Kashiwagi skończył grać, muzyka, to eteryczne życie, zgasła, a jego brzydkie ciało i ponura świadomość pozostały nietknięte i niezmiennie.

Tym, czego Kashiwagi szukał w muzyce, na pewno nie było pocieszenie! Zrozumiałem to, mimo że ani słowem o tym nie wspomniał. On kochał świadomość, że po tej chwili piękna, które jego wargi dmuchające w ustnik stwarzają wokół, jego koślawe stopy i ponura świadomość stawały się jeszcze wyraźniejsze i świeższe niż przedtem. Piękno jest bezcelowe, piękno przepływa przez nasze ciała, nie pozostawiając śladu i nic nie zmieniając... właśnie to kochał Kashiwagi. Gdyby i dla mnie piękno było czymś takim, jakież beztrioskie stałoby się moje życie!

Próbowałem raz po raz według wskazówek Kashiwagiego i nie traciłem ducha. Twarz miałem czerwoną i oddychałem z trudem. I wtedy nagle flet wydał jeden śmiały dźwięk, tak jakbym stał się ptakiem i z mego gardła wydobył się ptasi trel.

– Dobrze! – zawołał Kashiwagi, śmiejąc się. Nie były to piękne dźwięki, ale wydobywały się z fletu jeden po drugim. Wtedy wyobraziłem sobie, że te tajemnicze dźwięki, których nie mogłem przypisać sobie, były głosem brązowego feniksa nad naszymi głowami.

* * *

Później co wieczór pracownicy oddawałem się ćwiczeniom w grze na flecie, korzystając z samouczka, który podarował mi Kashiwagi. Z czasem nauczyłem się grać „Czerwone słońce na białym tle” i podobne melodie, a jednocześnie odżyła moja przyjaźń z Kashiwagim.

W maju pomyślałem, że powinienem jakoś odwdziżyć się Kashiwagiemu za flet. Nie miałem jednak pieniędzy. Postanowiłem mu o tym szczerze powiedzieć, ale on odparł, że nie zależy mu na wdzięczności wymagającej pieniędzy, i dziwnie wykrzywiając usta, oznajmił:

– Skoro mówisz, że chcesz mi się odwdziżyć, to jest coś, czego bym sobie życzył. Ostatnio mam ochotę ułożyć ikebana, ale kwiaty są takie drogie. W ogrodach Złotej Pagody akurat teraz kwitną różne gatunki irysów, prawda? Czy nie mógłbyś dla mnie zerwać kilku irysów, parę pąków, parę dopiero co rozwijających się i parę rozwiniętych, a także kilka łodyg tych wysokich skrzypów? Na przykład dziś wieczorem. Mógłbyś przynieść je dziś do mojego pokoju.

Zgodziłem się bez namysłu, ale potem uświadomiłem sobie, że w rzeczywistości namawia mnie do kradzieży. I teraz, żeby zachować twarz, musiałem zostać złodziejem kwiatów.

Na wieczerzę nie podano ryżu. Dostaliśmy tylko ciężki, ciemny chleb i gotowane jarzyny. Na szczęście, jak zazwyczaj

w sobotę, już od popołudnia wiele osób wyszło gdzieś ze świątyni. Sobotni wieczór zwano „wewnętrznym otwarciem poduszki” i można było iść spać wcześniej, ale można było pozostać poza świątynią do jedenastej. W dodatku następnego dnia rano nie musieliśmy wcześniej wstawać, nazywało się to „sennym zapomnieniem”. Opat też już gdzieś wyszedł.

Słońce zaszło w końcu po wpół do siódmej. Zerwał się wiatr. Czekałem na dzwon obwieszający wieczór. O ósmej dzwon, znajdujący się po lewej stronie środkowej bramy, swoim czystym, wysokim dźwiękiem, który w nieskończoność odbijał się echem, bijąc osiemnaście razy, obwieścił pierwszą wartę nocy.

Obok ganeczku Sōsei przy Złotej Pagodzie znajdował się mały wodospad, którym woda ze stawu lotosowego spływała do stawu Kyōkochi. Wodospad otoczony był półkolistym płotkiem. To tutaj rosły kępy irysów. Od kilku dni kwiaty pięknie kwitły.

Kiedy podszedłem blisko, usłyszałem liście irysów szeleszczące na wietrze. Wysoko wzniesione fioletowe płatki drżały wśród cichego szmeru wody. Panowała tu gęsta ciemność i zarówno fiolet tych płatków jak i intensywna zieleń liści wydawały się czarne. Spróbowałem zerwać kilka kwiatów, ale liście i kwiaty z pomocą wiatru wymykały mi się z rąk i jeden z liści przeciął mi palec.

Kiedy z naręczem irysów i skrzypów dotarłem do pokoju Kashiwagięgo, on leżał czytając książkę. Bałem się spotkania z dziewczyną, która mieszkała na tej samej stacji, ale chyba nie było jej w domu.

Ta mała kradzież wprowadziła mnie w ożywienie. Kontakty z Kashiwagim zawsze dostarczały mi pewnego uczucia nieznacznego zepsucia, nieznaczonej profanacji, nieznaczonego zła, które z kolei zawsze wprowadzało mnie w ożywienie. Nie wiedziałem jednak, czy jeśli stopniowo zwiększę ilość tego zła, proporcjonalnie będzie też rosło moje ożywienie.

Kashiwagi z wielką radością przyjął mój upominek. Poszedł do właścicielki domu, by pożyczyć od niej wazon do

układania kwiatów i kubełek na wodę. Dom był parterowy i niewielki, czteroipółmadowy pokój Kashiwagię znajdował się w przybudówce.

Wziąłem flet Kashiwagię, który stał oparty o ścianę w alkowie tokonoma*, i zagrałem krótkie ćwiczenie. Poszło mi zupełnie nieźle, tak że Kashiwagi, który akurat wrócił, był bardzo zdziwiony. Dzisiejszy Kashiwagi różnił się od tego, który odwiedził mnie owego dnia w Złotej Pagodzie.

– Kiedy grasz na flecie, wcale się nie jękasz. A ja nauczyłem cię grać, bo chciałem usłyszeć jękającą się muzykę.

Dzięki tej uwadze powróciliśmy znowu do układu z naszego pierwszego spotkania. To znaczy on powrócił na swoją pozycję. Dlatego też mogłem spokojnie zapytać go o ową kobietę z willi w hiszpańskim stylu.

– A, tamta kobieta? Już dawno wyszła za mąż – odpowiedział po prostu. – Wytłumaczyłem jej bardzo dokładnie, co zrobić, żeby się nie wydało, że nie była dziewicą. Ale ten jej mąż sam był niewinny i nieuświadomiony, więc podobno wszystko dobrze poszło.

Mówiąc to wyciągał jeden po drugim kwiaty, które do tej pory stały w wodzie, i uważnie im się przyglądał. Potem wkładał łodyżki do wody i w wodzie przycinał je nożyczkami. Duże cienie irysów w jego dłoniach poruszały się po macie. Potem nagle się odezwał:

– Znasz to zdanie z rozdziału pod tytułem „Objaśnienia dla uczniów” z *Rinzairoku***? „Kiedy spotkasz świętego, zabij go, kiedy spotkasz przodka, zabij go...”

Dokończyłem za niego:

– „...kiedy spotkasz ucznia Buddy, zabij go, kiedy spotkasz rodziców, zabij ich, kiedy spotkasz krewnego, zabij go, dopiero wtedy będziesz zbawiony”.

* Tokonoma – alkowa w japońskich domach, pawilonach herbarcanych. Zwykle wisi w niej zwój, którego treść związana jest z porą roku, i stoi dekoracyjny przedmiot lub kompozycja kwiatowa.

** *Rinzairoku* – zbiór tekstów zenistycznych z okresu dynastii Tang, głównie pism założyciela sekty rinzai Linji Yixuan; święta księga rinzai.

– Tak, to właśnie to zdanie. Ta kobieta była jednym z uczniów Buddy.

– I zostałeś zbawiony?

– Mhm – Kashiwagi ułożył przycięte irysy i przyglądał im się. – Ale i tak nie wystarczająco ją zabiłem.

Wypełniony czystą wodą płaski wazon był od wewnątrz pomalowany na srebrno. W wodzie znajdował się kenzan. Kashiwagi wyprostował jeden z przekrzywionych kolców. Ja nie miałem nic do roboty, więc mówiłem dalej.

– Znasz na pewno problem buddyjski zwany „Nansen zabija kota”? Opat kazał nam się zebrać w dzień zakończenia wojny i dał nam wykład na ten temat...

– „Nansen zabija kota”? – powiedział Kashiwagi, sprawdzając długość skrzypów i przyglądając się im, gdy przymierzał je do wazonu. – Ten problem pojawia się w życiu każdego wiele razy, za każdym razem w innej postaci. To raczej nieprzyjemny problem. Spotykasz go na zakrętach życia i zarówno jego treść jak i postać są ciągle inne. Ten kot, którego Nansen zabił, to łotrzyk. Był bardzo piękny, wiesz, był niezrównanie piękny. Miał złote oczy, błyszczące futro. Całe piękno i wszystkie przyjemności świata kryły się zwinięte jak sprężyna w jego małym, miękkim ciałku. Większość komentatorów, z wyjątkiem mnie, oczywiście, pomija fakt, że kot był uosobieniem piękna. Wskoczył nagle spośród trawy i jakby umyślnie dał się złapać mnichom, błyskając swymi łagodnymi, przebiegłymi oczyma. I stał się przedmiotem niezgody w świątyni. A to dlatego, że piękno oddaje się każdemu, ale do nikogo nie należy. Piękno jest – jakby to powiedzieć – jak zepsuty ząb. Dotyka języka, zaczeplia o niego, boli, daje znać o swoim istnieniu. W końcu nie można już znieść bólu i człowiek idzie do dentysty, aby usunął ząb. Kładzie człowiek potem na dłoni ten mały, zakrwawiony, brudny, brązowy ząb i mówi do siebie: „To? Coś takiego? Sprawiało mi ból, bez przerwy dręczyło mnie, przypominając o swoim istnieniu, i uparcie zapuszczało korzenie w moim ciele, a teraz stało się tylko kawałkiem martwej materii? Czy tamto i

to, to naprawdę ta sama rzecz? Jeśli to istniało najpierw poza moim ciałem, to jak, jakim sposobem połączyło się ze mną i stało się źródłem bólu? Z jakiej racji to istnieje? Czy ta racja znajdowała się we mnie, czy też w samej tej rzeczy? Ale nawet jeśli tak, to ta rzecz, która teraz po wyrwaniu leży na mojej dłoni, jest czymś zupełnie odrębnym. To absolutnie nie może być tamtym". Rozumiesz? Piękno jest właśnie czymś takim. Dlatego zabicie kota wygląda jak wyrwanie zepsutego zęba, jak usunięcie piękna, ale nie wiadomo, czy to było ostateczne rozwiązanie. Jeśli nie wyrwie się korzeni piękna, to śmierć kota nie oznacza śmierci jego piękna. I dlatego właśnie Chōshū położył sobie buty na głowie, wskazując łatwiznę tego rozwiązania. Innymi słowy, on wiedział, że nie ma innego rozwiązania, poza znoszeniem bólu zęba.

Ta interpretacja była doskonałym przykładem stylu Kashiwagiego, jednak zdawało mi się, że on być może żartuje sobie ze mnie, przejrzawszy mnie na wylot, wyśmiewa się z tego braku rozwiązania. Po raz pierwszy naprawdę przstraszyłem się Kashiwagiego.

– A ty po czyjej jesteś stronie? Nansena czy Chōshū? – pytałem dalej, ponieważ obawiałem się milczenia.

– Mhm, po której? Teraz ja jestem Nansenem, a ty Chōshū, ale być może pewnego dnia ty staniesz się Nansensem, a ja Chōshū. Bo ten kōan naprawdę jest „zmienny jak kocie oczy”.

W czasie tej rozmowy ręce Kashiwagiego delikatnie się poruszały. Ustawił mały zardzewiały kenzan pośrodku wazonu, ułożył w nim wysokie skrzypy, potem umieścił tam irysy, każdy otoczony trzema liśćmi i ułożył ikebanę w stylu Kansui. Obok wazonu leżały nawet starannie dobrane i umyte białe i brązowe kamyczki, do wykończenia kompozycji.

Ruchy jego rąk były wspaniałe. Co chwilę podejmował małe decyzje, rezultaty przeciwstawięń i równowagi były osiągnane nieomylnie i z pełną koncentracją, naturalne rośliny pod wpływem pewnej melodii zostały wspaniale przeniesione w sztuczny ludzki porządek. Kwiaty i liście, takie jakie były, w ciągu paru chwil zmieniły się w takie kwiaty i liście

jakimi powinny być. Te skrzypy i irysy nie były już tylko wiązkami bezimiennych roślin, a stały się niezwykle prostym i przekonującym wyrazem esencji irysów i skrzypów.

Jednak w ruchach rąk Kashiwagiego było coś okrutnego. Zachowywał się tak, jakby miał do kwiatów jakieś specjalne, nieprzyjemne, ponure prawa. Nie jestem pewien, czy to dlatego, ale za każdym razem, gdy słyszałem szcęk nożyc i łożyczka zostawała przycięta, wydawało mi się, że widzę kapiącą z niej krew.

Pozioma kompozycja w stylu Kansui była gotowa. Po prawej stronie wazonu spletały się proste linie łodyg skrzypów i prężnie wygięte linie liści irysów. Jeden z kwiatów był rozwinięty, a pozostałe dwa były dopiero otwierającymi się pąkami. Wazon postawiony w niewielkiej alkowie tokonoma6 prawie zupełnie ją wypełnił. Powierzchnia wody stopniowo się uspokoiła, a kamyczki kryjące kenzan, jednocześnie sprawiały wrażenie przezroczystego kamienistego brzegu rzeki lub jeziora.

– Wspaniale! Gdzie się tego nauczyłeś?

– Tu niedaleko mieszka nauczycielka ikebany. Zaraz tu powinna przyjść. Zaczęliśmy się spotykać i nauczyła mnie ikebany. Ale teraz, kiedy już właściwie sam mogę ułożyć kwiaty, znudziła mi się. Jest jeszcze młoda i ładna. W czasie wojny miała narzeczonego żołnierza, dziecko urodziło się martwe, on poległ i ona od tego czasu lata za chłopami. Ma, zdaje się, trochę pieniędzy i ikebany uczy dla rozrywki. Dlatego jak chcesz, możesz ją sobie gdzieś zabrać dzisiaj wieczorem. Ona pewnie wszędzie pójdzie.

Ogarnęły mnie mieszane uczucia. Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy stojąc na bramie Sanmon w świątyni Nanzenji, obok mnie był Tsurukawa. Teraz zaś, trzy lata później miała pojawić się przede mną widziana oczami Kashiwagiego. Kiedyś zobaczyłem jej tragedię jasnymi oczami, pełnymi tajemnic, teraz zaś miałem ją ujrzeć oczami ciemnymi, w nic nie wierzącymi. Poza tym nie ulegało wątpliwości, że jej dalekie piersi, białe jak świecący w dzień księżyc, zostały już

dotknięte rękami Kashiwagiego, a kolana spowite w owo wspaniałe kimono dotknęły jego koślawych stóp. Nie ulegało wątpliwości, że została już zbrukana przez Kashiwagiego, czyli przez świadomość.

Te myśli martwiły mnie, napawały bólem i poczułem, że dłużej nie mogę tu zostać. Jednak przed odejściem powstrzymywała mnie ciekawość. Nie mogłem się doczekać, by zobaczyć tę kobietę, którą kiedyś uważałem za nowe wcielenie Uiko, a która teraz miała pojawić się przede mną jako kobieta porzucona przez kalekiego studenta. Ogarnęła mnie radość ze złudzenia, że teraz z pomocą Kashiwagiego własnymi rękami zbrukam moje wspomnienia.

Kiedy kobieta się zjawiała, moje serce nawet nie drgnęło. Ciągłe jeszcze wyraźnie to pamiętam. Jej lekko schrypnięty głos, bardzo eleganckie ruchy, niezwykle grzeczny sposób wyrażania się, a jednocześnie dziką namiętność błyszczącą w oczach, pretensje, skierowane do Kashiwagiego, choć krępowała się mojej obecności... wtedy wreszcie uświadomiłem sobie, dlaczego Kashiwagi zaprosił mnie tu tego wieczoru. Miałem stać się czymś w rodzaju barykady.

Ta kobieta nie miała nic wspólnego z tamtą z moich marzeń. Zrobiła na mnie wrażenie zupełnie innej osoby, jakbym widział ją po raz pierwszy. Choć nadal mówiła bardzo grzecznie, była coraz bardziej zdenerwowana i w ogóle nie zwracała na mnie uwagi. W końcu nie mogła już znieść swojej nieszczęsnej sytuacji i najwyraźniej postanowiła zrezygnować na razie z prób zmienienia uczuć Kashiwagiego. Nagle opanowała się i rozejrzała po niewielkim pokoju. Mimo że była tu już od pół godziny, dopiero teraz zauważyła imponującą ikebanę w alkwie tokonoma.

– Jaka wspaniała kompozycja Kansui! Naprawdę bardzo dobrze ci wyszła.

Kashiwagi, który tylko czekał na te słowa, zadał teraz ostatni cios.

– Niezła, prawda? Jak więc widzisz, nie mam już się od ciebie czego uczyć. Już niczego od ciebie nie potrzebuję.

Zobaczyłem, jak usłyszawszy słowa Kashiwagiego, kobieta zmieniła się na twarzy, i odwróciłem wzrok. Kobieta lekko się zaśmiała i eleganckim ruchem przesunęła się w stronę alkowy. Usłyszałem jej głos:

– Cóż to za kwiaty? Co to jest?

Potem rozprysnęła się woda, przewróciły się skrzypy, rozwinięte irysy zostały porwane na strzępy. Skradzione przeze mnie kwiaty leżały w nieładzie. Odruchowo wstałem, ale nie wiedziałem co zrobić, stałem więc tylko, opierając się o szybę. Zobaczyłem, jak Kashiwagi chwytą wąskie nadgarstki kobiety. Potem złapał ją za włosy i wymierzył jej policzek. Ta seria gwałtownych działań Kashiwagiego wydawała mi się jedynie kontynuacją w niczym nie odbiegającą od jego spokojnej brutalności, gdy wcześniej układając ikebana, przycinał nożyczkami liście i łodygi.

Kobieta zakryła twarz rękami i wybiegła z pokoju. Kashiwagi podniósł oczy ku mnie, gdy stałem tam osłupiały i z dziwnie dziecinny uśmiechem powiedział:

– No, leć za nią, pociesz ją! No, pośpiesz się!

Nie wiem, czy to pod wpływem siły płynącej ze słów Kashiwagiego, czy też może poczułem szczere współczucie dla kobiety – jak zwykle nie byłem pewien swoich motywów – w każdym razie moje stopy poruszyły się i pobiegły za nią. Dogoniłem ją o kilka domów dalej.

Znajdowaliśmy się w Itakurachō, na tyłach zajezdni tramwajowej Karasuma. Wieczorne niebo wypełniło się echem tramwajów wjeżdżających do zajezdni i roztapiały się w nim lekko fioletowe iskry, rzucane przez tramwaje. Kobieta kierowała się na wschód od Itakurachō. Szła zaułkami na tyłach głównych ulic. W milczeniu dotrzymywałem jej kroku. Kobieta szła płacząc, ale wkrótce mnie zauważyła i podeszła do mnie. A potem głosem jeszcze bardziej zachrypniętym od płaczu, lecz ciągle nie tracąc doskonałych manier, zaczęła narzekać na postępowanie Kashiwagiego.

Jakże długo tak chodziliśmy! Wyliczane jeden po drugim postęпки Kashiwagiego, ich zło, podle szczegóły brzmiały w moich uszach, jakby ciągle powtarzała jedno słowo: „życie”. Jego brutalność, planowane sztuczki, zdrady, zimne okrucieństwo, sposoby, w jakie wyludzał od niej pieniądze, ale to wszystko jedynie tłumaczyło jego trudny do określenia urok. Ja tylko chciałem wierzyć, że jest szczerzy w kwestii swych koślawych stóp. Od czasu nagłej śmierci Tsurukawy ja, który żyłem nie dotykając życia, teraz po długim czasie byłem pobudzany przez inny rodzaj życia, życia mniej nieszczęśliwego i ciemniejszego, życia od początku do końca wymagającego ciągłego sprawiania bólu innym. W uszach rozbrzmiały mi znowu jego proste słowa: „Nie zabiłem jej wystarczająco”. I wtedy przypomniałem sobie moje słowa, gdy w dzień zakończenia wojny stałem na szczycie góry Fudōsan i zwrócony ku niezliczonym światłom Kioto modliłem się, wyrażając gorące życzenie: „Niech ciemność mojego serca stanie się tak wielka jak ciemność nocy pochłaniającej te niezliczone światła”.

Kobieta nie wracała do siebie do domu. Chcąc rozmawiać, wybierała puste boczne uliczki i szła bez celu. A kiedy w końcu znaleźliśmy się przed jej domem, nie wiedziałem, w której części miasta się znajdujemy. Ponieważ było już wpół do jedenastej, chciałem się pożegnać i wrócić do świątyni, ale kobieta nalegała, żebym został.

Pierwsza weszła do środka, zapaliła światło i nieoczekiwanie powiedziała:

– Czy zdarzyło ci się kiedyś, że kogoś przekląłeś i chciałeś, żeby umarł?

– Tak – odpowiedziałem szybko.

O dziwo, do tej chwili o tym nie pamiętałem, ale niewątpliwie życzyłem śmierci dziewczynie ze stacji Kashiwagiego, która była świadkiem mojego upokorzenia.

– To straszne. Ja też.

Kobieta opadła na matę i siadła z nogami po jednej stronie. Żarówka w lampie musiała mieć chyba ze sto watów, co

było rzadko spotykane w czasach racjonowanej elektryczności, i pokój wydawał się trzy razy jaśniejszy od pokoju Kashiwagiego. Po raz pierwszy zobaczyłem kobietę w pełnym świetle. Jej pas obi z tkaniny w stylu Nagoya* lśnił bielą, a na kimonie barwionym metodą yūzen** wyraźnie widać było fiolet zwisających gałęzi wistarii.

Bramę Sanmon w świątyni Nanzenji od pustelni Tenjuan dzieliła odległość, którą mógłby łatwo pokonać ptak, ale przez tych kilka lat stopniowo się zbliżałem i wydawało mi się, że teraz w końcu tam dotarłem. Od tamtego dnia stopniowo rzeźbiąc czas niewątpliwie zbliżyłem się do znaczenia owej tajemniczej sceny w Tenjuanie. Pomyślałem, że tak musiało być. I tak jak zmienia się wygląd ziemi, zanim dotrze do niej światło dalekiej gwiazdy, nieuniknione było też to, że zmieniła się ta kobieta. A poza tym pomyślałem, że jeśli tego dnia, gdy widziałem ją ze szczytu bramy w Nanzenji, wiadomo było już, że dziś ponownie się spotkamy i istniał między nami jakiś związek, to ta zmiana w niej mogłaby powrócić do stanu poprzedniego dzięki niewielkim poprawkom i moglibyśmy się znowu spotkać, będąc takimi, jakimi byliśmy wtedy.

Wtedy zacząłem opowiadać. Opowiadałem tracąc oddech i jękając się. Odżyła zieleń liści tamtego dnia, odżyły malowidła z sufitu Gohōrō (Wieży Pięciu Feniksów), anioły i feniks. Policzki kobiety powlekły się żywą czerwienią, a w jej oczach zamiast tamtych dzikich błysków zagościł błysk niepewności i zmieszania.

– Ach tak? No, coś podobnego! Cóż to za dziwne zarządzanie losu, coś za dziwne przeznaczenie!

Oczy kobiety wypełniły się łzami radosnej dumy. Zapomniała o tym, jak cierpiała jeszcze przed chwilą, i rzu-

* Obi w stylu Nagoya (shirohakata-no Nagoya-obi) – pas do kimona z tkaniny pochodzącej z Hakaty, z widoczną białą nitką osnowy.

** Yūzen – metoda barwienia jedwabiu, w której stosuje się motywy kwiatów, ptaków, widoków itp. w żywych kolorach; ponoć stworzył ją Miyazaki Yūzen, żyjący w drugiej połowie XIX wieku.

ciwszy się na łeb, na szyję w toń wspomnień, z jednego rodzaju podniecenia wpadła w inny i zachowywała się niemal jak szalona. Dół jej kimona pokrytego kwiatami wistarii był w nieładzie.

– Och, nie mam już mleka. Mój biedny dzidziuś! Już nie mam mleka, ale mogę ci pokazać pierś, tak jak wtedy. I jeśli ty od tamtego dnia o mnie myślałeś, to ja będę myśleć o tobie, tak jak o nim. Jeżeli pomyślę, że ty to on, to nie będzie mi wstyd. Naprawdę, pokażę ci tak jak wtedy.

Powiedziała to, jakby podjęła jakąś decyzję i to, co potem zrobiła, wyglądało jednocześnie na nadmiar radości, ale i też na nadmiar rozpacz. Prawdopodobnie uświadamiała sobie jedynie radość, ale jej gwałtowna reakcja spowodowana była rozpaczą z powodu Kashiwagiego, a raczej silnym posmakiem, który pozostawia rozpacz.

I tak na moich oczach rozwiązała pas obi. Rozluźniła liczne sznurki i widziałem, jak pas odwija się z szelestem jedwabiu. Kimono rozchyliło się na jej szyi. Ukazało się białe ciało, kobieta ujęła lewą pierś, wyciągnęła spod kimona i pokazała mi.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że w pewnym sensie nie zakręciło mi się w głowie. Patrzyłem. Dokładnie się wpatrywałem. Ale pozostałem jedynie świadkiem. To, co widziałem tamtego dnia ze szczytu bramy Sanmon, co wyglądało jak tajemniczy biały punkt, nie było ciałem posiadającym określoną masę. To wrażenie tak długo we mnie fermentowało, że pierś, na którą teraz patrzyłem, była tylko ciałem, jakimś kawałkiem materii. Ale nie było to ciało domagające się czegoś, zachęcające. Było tylko bezbarwnym dowodem egzystencji, odciętym od życia jako całości i wystawionym na pokaz.

Jeszcze ciągle próbuję powiedzieć nieprawdę. Tak. Niewątpliwie kręciło mi się w głowie. Ale moje oczy przyglądały się zbyt dokładnie, patrzyły dalej, poza fakt, że ta pierś była piersią kobiety, i wpatrywały się tak, aż stopniowo ta pierś zmieniła się w nic nie znaczący fragment.

Potem zdarzyło się coś zadziwiającego. Nie wiem dlaczego, ale w rezultacie tego bolesnego procesu ta pierś wydała mi się w końcu piękna. Nabrała tej jałowej, pozbawionej uczuć jakości piękna i mimo że miałem ją przed oczami, powoli ukryła się wewnątrz swojego własnego źródła. Tak jak róża kryje się w źródle róży.

Piękno zawsze przychodzi do mnie późno. Jestem powolniejszy niż inni, którzy dostrzegają piękno i zmysłowość. Do mnie piękno przychodzi o wiele później. Gdy tak patrzyłem, pierś znowu nabrała związku z resztą ciała... przeszła ponad cielesnością... stała się jałową, lecz nieśmiertelną materią i połączyła się z wiecznością.

Chciałbym, aby jasne było, co próbuję powiedzieć. Znowu pojawiła się przede mną Złota Pagoda. Czy też raczej owa pierś zmieniła się w Złotą Pagodę. Przypomniałem sobie tamtą wietrzną noc, na początku jesieni, gdy stałem na warcie w Złotej Pagodzie. Nawet w świetle księżyca, nocą, wewnątrz Złotej Pagody za kratownicami, za okiennicami, pod sufitem z łuszczącą się pozłotą tonęło w ciężkiej, bogatej ciemności. To było naturalne. A to dlatego, że Złota Pagoda jako taka była jedynie nicością, którą skrupulatnie zaprojektowano i zbudowano. I tak samo ta pierś, którą miałem przed oczami, zdawała się wypełniona w środku tą samą ciemnością, choć na zewnątrz jaśniała i wydzieliała cielesny blask. Jej prawdziwą naturą była ta sama ciężka, bogata cisza.

Nie byłem wcale zamroczony tą świadomością. Została ona raczej stratowana, pogardzona. To samo dotknęło życia i pożądania... Jednak nie opuszczało mnie głębokie uczucie uniesienia i przez dłuższą chwilę siedziałem jak skamieniały naprzeciw tej odkrytej piersi.

I tak znów napotkałem lodowaty, pogardliwy wzrok kobiety, która ukryła pierś pod kimonem. Powiedziałem, że już na mnie czas. Kobieta poszła do wyjścia i z trzaskiem zamknęła za mną drzwi.

Do czasu powrotu do świątyni byłem w stanie uniesienia. W moich myślach pojawiały się i znikwały na zmianę pierś i Złota Pagoda. Wypełniało mnie uczucie bezsilnego szczęścia. Lecz gdy poza szumiącym ciemnym sosnowym zagajnikiem dostrzegłem bramę Rokuonji, moje serce stopniowo wypełniło się chłodem, bezsilność wzięła górę, uczucie zamroczenia zmieniło się w dreszcze i poczułem rosnącą nienawiść do wszystkiego wokół.

– Znowu zostałem oddzielony od życia! – powiedziałem do siebie. – Znowu. Dlaczego Złota Pagoda próbuje mnie obronić, mimo że wcale jej o to nie prosiłem. Próbuje mnie oddzielić od życia. Być może próbuje mnie ocalić od stoczenia się do piekła. I robiąc to, uznaje mnie za człowieka gorszego od innych, którzy znaleźli się w piekle, „człowieka, który więcej wie o piekle niż ktokolwiek inny”.

Główną bramę świątyni otaczała ciemność i cisza. W bocznej bramie majaczyło światelko, które zawsze gaszono dopiero w czasie porannych dzwonów. Popchnąłem drzwi w bocznej bramie. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem starego zardzewiałego łańcucha, który podciągał do góry sztabę. Strażnik już poszedł spać. Wewnątrz bocznej bramy wisiał napis, że ostatnia osoba, wracająca po dziesiątej wieczorem, ma zamknąć bramę na klucz. Były tam jeszcze dwie nie odwrócone drewniane tabliczki z nazwiskami. Znak, że ich właściciele jeszcze nie wrócili. Jedna należała do opata, druga do starego ogrodnika.

Idąc zauważyłem obok warsztatu po prawej stronie kilka desek mniej więcej pięciometrowej długości. Nawet w nocy drewno jaśniało. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem rozsypane wszędzie wióry, które wyglądały jak dywan małych żółtych kwiatków. W powietrzu unosił się czarujący zapach drewna. Doszedłem do studni za warsztatem i już miałem skierować się w stronę kuchni, gdy nagle postanowiłem zawrócić.

Zanim pójde spać, muszę się spotkać ze Złotą Pagodą. Zostawiłem za sobą pogrążony we śnie główny budynek

świątyni, przeszedłem przed bramą Karamon w stylu chińskim i podążyłem do Złotej Pagody.

Było ją już trochę widać. Otoczona szumem drzew, stała tak pośród nocy bez ruchu, ale na pewno nie spała. Jak strażnik nocy... Tak, nigdy nie widziałem, by Złota Pagoda usnęła, tak jak zasypiała świątynia. Ten nie zamieszkany budynek potrafił zapomnieć o śnie. A mieszkająca w nim ciemność wcale nie rządziła się ludzkimi prawami.

Po raz pierwszy w życiu zwróciwszy się do Złotej Pagody, jakby przeklinając ją gwałtownie, zawołałem:

– Kiedyś na pewno zapanuję nad tobą! Podporządkujesz mi się i więcej mi już nie przeszkodzisz!

W nocnej ciszy mój głos odbił się pustym echem w stawie Kyōkochi.

Rozdział VII

Wydawało się, że ogółem doświadczeń w moim życiu rządzi jakiś szyfr. Miałem uczucie, że tak jak w korytarzu wypełnionym lustrami, odbite obrazy ciągną się w nieskończoność, w nowo napotkanych rzeczach odbijały się rzeczy już dawniej widziane i tak wiedziony tymi podobieństwami, sam o tym nie wiedząc, szedłem coraz dalej nieznanym korytarzem, w głąb nieznannej, bezdennej komnaty. Nasze spotkania z losem nie są nieoczekiwane. Prawdopodobnie człowiek, który zostanie kiedyś skazany na śmierć, gdy przechodzi co dzień tą samą drogą obok słupa telegraficznego albo przejazdu kolejowego, zawsze wyobraża sobie szubienicę i przyzwyczajają się do tej wizji.

Dlatego też w moich doświadczeniach życiowych nie było mowy o gromadzeniu się. Nie było w nich masywności, która pozwoliłaby gromadzić jedną warstwę na drugiej, by powstało coś w kształcie piramidy. Nie czując bliskości w stosunku do niczego z wyjątkiem Złotej Pagody, nie czułem też specjalnej bliskości w stosunku do własnych doświadczeń. Zrozumiałem też, że z tych doświadczeń poprzez łączenie małych fragmentów, fragmentów nie pochłoniętych przez ciemny ocean czasu, fragmentów, które nie zatoniły przez ciągłe powtarzanie, tak że aż straciły znaczenie – zrozumiałem, że z tych fragmentów powstaje pewien ohydny i złowrogi obraz.

Czym więc są te małe fragmenty? Czasami się nad tym zastanawiałem. Lecz te błyszczące rozrzucone fragmenty zdawały się mieć mniej znaczenia, mniej uzasadnienia niż leżące przy drodze błyszczące kawałki stłuczonej butelki po piwie.

Nie mogłem jednak myśleć o nich jak o szczątkach czegoś, co się rozpadło, a co było w przeszłości piękną całością. A to dlatego, że wyglądały dla mnie tak, jakby choć zostały odrzucone jako bezkształtne, pozbawione zupełnie uzasadnienia i znaczenia, jeszcze ciągle marzyły sobie o przyszłości. Będąc jedynie fragmentami, nieustraszenie, niesamowicie, spokojnie marzyły sobie o przyszłości! O przyszłości nieuleczalnej, nietykalnej, naprawdę bezprecedensowej.

Takie niejasne refleksje czasami wprawiały mnie w pewien rodzaj lirycznego wzruszenia, które moim zdaniem zupełnie do mnie nie pasowało. W takich chwilach, jeśli akurat była księżycowa noc, brałem flet, siadałem obok Złotej Pagody i grałem. Umiałem już wtedy bez patrzenia na nuty zagrać „Powóz pałacowy”, który grał wtedy Kashiwagi. Muzyka przypomina sen. A jednocześnie jest też podobna do czegoś wręcz przeciwnego, do stanu przebudzenia, bardziej świadomego niż nasze zwykłe przebudzenie. Zastanawiałem się, którą z tych dwóch rzeczy jest w końcu muzyka. W każdym razie muzyka posiada siłę, mogącą czasem odwrócić te dwa przeciwieństwa. Czasami czułem, że bez wysiłku odradzam się w melodii „Powożu pałacowego”. Poznałem radość odradzania się mojej duszy w muzyce. W odróżnieniu od Kashiwagiego, ja znajdowałem w muzyce pocieszenie.

Zawsze, gdy kończyłem grać, zastanawiałem się, dlaczego Złota Pagoda nie przeszkadza w tej mojej przemianie, nie ma do mnie pretensji i tylko przyryka na nią oczy. A z drugiej strony, zawsze, kiedy próbowałem zmienić się przy pomocy szczęścia lub przyjemności, Złota Pagoda nigdy nie przymknęła na to oczu. Czyż stawanie mi na drodze i zmuszanie mnie, bym znowu przyszedł do siebie, nie było w jej stylu? Dlaczego tylko w wypadku muzyki pozwalała mi na zamroczenie i zapamiętanie się w sobie?

Kiedy sobie uświadomiłem, że to była jedyna rzecz, na jaką mi pozwalała, urok muzyki nieco przybladł. A to dlatego, że ponieważ Złota Pagoda w milczeniu aprobejuje muzykę, choć muzyka wydaje się podobna do życia, było to tylko uro-

jone życie, nieprawdziwe życie i nawet jeżeli próbowałbym się w nie przeobrazić, ta przemiana byłaby krótkotrwała.

Nie chciałbym, aby ktoś pomyślał, że od czasu tych dwóch niepowodzeń z życiem i kobietami byłem zrezygnowany i ostrożny. Do końca roku czterdziestego ósmego miałem dzięki Kashiwagiemu jeszcze kilka podobnych okazji i nie zrażając się próbowałem, jednak zawsze z tym samym rezultatem.

Między mną a kobietą, między mną a życiem pojawiała się Złota Pagoda. A wtedy rzecz, której próbowałem dotrzeć i która dotykała mojej ręki, natychmiast zmieniała się w popiół, a widok przed moimi oczami przeradzał się w pustynię.

Pewnego razu pracowałem na polu za kuchnią i gdy chwilę odpoczywałem, przyglądałem się, jak pszczoła leci ku małym, żółtym letnim chryzantomom. We wszechobecnym blasku nadleciała szumiąc swoimi złotymi skrzydełkami, wybrała jeden z wielu kwiatów i przez chwilę unosiła się przed nim. Starłem się spojrzeć oczami pszczoły. Chryzantemy rozpościerały swoje żółte, proste, nieskazitelne płatki. Były one tak piękne jak małe Złote Pagodki, tak kompletne jak Złota Pagoda, ale wcale nie zmieniały się w Złotą Pagodę i pozostawały jedynie koroną letniej chryzantemy. Tak, pozostawały tylko konkretną, solidną chryzantemą, pojedynczym kwiatem, kształtem nie zawierającym żadnych metafizycznych szyfrów, który utrzymuje umiarkowanie w swoim istnieniu, wydziela nieodparty urok i staje się odpowiednim przedmiotem pożądania dla pszczoły. W obliczu tego pozbawionego kształtu, latającego, dynamicznego pożądania kuli się i wzdycha, przybierając postać jego obiektu. Cóż to za tajemnicze zjawisko! Ta postać stopniowo staje się rozrzedzona, wygląda jakby za chwilę miała pęknąć i zaczyna drzeć. I tak właśnie powinno być, ponieważ ta nienaganna forma chryzantemy została stworzona po to, by mogła

stać się obiektem pożądania pszczoły, i samo jej piękno rozwinęło swe płatki, pełne oczekiwania. Teraz, właśnie teraz nadszedł moment, gdy znaczenie formy załśni wewnątrz życia. Forma była odlewem płynącego życia, pozbawionego kształtu, a jednocześnie lot pozbawionego kształtu życia był odlewem wszystkich form życia. I tak pszczoła wlatywała głęboko, w środek kwiatu, nurzała się w pyłku i tonęła w zamroczeniu. Patrzyłem na kwiat letniej chryzantemy, która ją przyjmowała, sama wyglądała jak pszczoła przybrana w żółtą, przepyszną zbroję i drżała gwałtownie, jakby za chwilę miała oddzielić się od łądźki i odlecieć.

Światło i odbywające się w tym świetle działania nieomal przyprawiły mnie o zawrót głowy. Nagle porzuciłem patrzyenie z punktu widzenia pszczoły i spojrzałem znów własnymi oczami. Pomyślałem, że moje przyglądające się oczy znajdują się dokładnie w tym samym miejscu co oczy Złotej Pagody. To właśnie tak było. Tak jak zrezygnowałem z patrzyenia oczami pszczoły i wróciłem do mojego własnego punktu widzenia, kiedy tylko życie mnie dogania, porzucam swoje oczy i zaczynam patrzeć oczami Złotej Pagody. I właśnie w takich chwilach pomiędzy mną a życiem pojawia się Złota Pagoda.

Wróciłem więc do moich własnych oczu. W tym abstrakcyjnym świecie rzeczy pszczoły i letnie chryzantemy były jedynie „uporządkowane”. Lot pszczoły i drżenie kwiatu niczym nie różniły się od szumu wiatru. W tym nieruchomym, zamrożonym świecie wszystko było tego samego rodzaju, formy wydzielające tyle czaru zamierały. Chryzantema była piękna nie dzięki swojej formie, lecz dzięki nieokreślonemu imieniu „chryzantema”, które jej nadajemy, dzięki pewnej umowie. Ponieważ nie byłem pszczołą, chryzantema mnie nie kusiła, i ponieważ nie byłem chryzantemą, nie byłem też kochany przez pszczoły. Wszelkie takie powiązania czy przyjaźnie pomiędzy formą a płynącym życiem zniknęły. Świat został zepchnięty w relatywizm i tylko czas płynął.

Pojawiła się wieczna, absolutna Złota Pagoda, moje oczy zmieniły się w jej oczy i chyba nie muszę już więcej wyjaśniać, jak świat się przeobraził i jak tylko Złota Pagoda zachowała w nim swoją formę. Wyłącznie ona jedna posiadała piękno, a wszystko inne obróciło się w piasek. Od czasu, gdy stanąłem na brzuchu tamtej prostytutki, i od czasu nagłej śmierci Tsurukawy ciągle zadawałem sobie to samo pytanie: „Czy mimo wszystko zło jest możliwe?”

* * *

Zdarzyło się to w okresie Nowego Roku w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku. W sobotę, korzystając z „rozluźnienia reguły”, poszedłem obejrzeć film w tanim, trzeciorzędym kinie. Wracając szedłem sobie po dawno nie odwiedzanym Shinkyōgoku. W ciżbie ludzkiej dostrzegłem jakąś dobrze mi znaną twarz, ale zanim sobie przypomniałem, kto to jest, twarz rozplynęła się w tłumie za moimi plecami.

Mężczyzna miał na sobie filcowy kapelusz, elegancki płaszcz i szalik i szedł w towarzystwie kobiety ubranej w rdzawoczerwony płaszcz, która niewątpliwie była gejszą. Różowa, pulchna twarz mężczyzny, czystość twarzy niemowlęcia zazwyczaj niespotykana u człowieka w średnim wieku, długi nos... – filcowy kapelusz skrywał tak charakterystyczne cechy jedynej w swoim rodzaju twarzy opata.

Mimo że nie miałem nic na sumieniu, zląkłem się, że opat mnie widział. A to dlatego, że od razu pomyślałem, że chcę uniknąć sytuacji, w której połączyłoby mnie z opatem milczące zaufanie czy brak zaufania, ponieważ stałem się świadkiem jego wyprawy incognito.

Czarny pies w tę świąteczną noc zaplątał się wśród tłumu. Czarny kudłaty pies był najwyraźniej przyzwyczajony do chodzenia w tłumie i zręcznie przemykał się między pięknymi damskimi płaszczami i wojskowymi trenczami, co pewien czas przystając przed sklepami. Zaczął węszyć przed skle-

pem z upominkami w Yatsuhashi przy świątyni Shōgoin*, który od wielu lat się nie zmienił. W świetle padającym ze sklepu po raz pierwszy udało mi się przyjrzeć psu. Nie miał jednego oka i w pustym oczodole skamieniała ropa i krew wyglądały, jakby miał w nim agat. Zdrowe oko wpatrywało się w ziemię. Kudłata sierść na grzbiecie była gdzieniedzie spleciona i tworzyła sztywne kępki.

Nie wiem, dlaczego pies przyciągnął moją uwagę. Być może zainteresowało mnie to, że pies wydawał się uparcie wędrować po jakimś świecie zupełnie innym od tych ulic wypełnionych gwarным tłumem. Krążył po ciemnym świecie wypełnionym jedynie zapachami, po świecie równoległym do świata ludzi, gdzie prawdopodobnie światłom, piosenkom płynącym z płyt i śmiechom zagrażały natrętne, ciemne zapachy. A to z tej przyczyny, że hierarchia zapachów jest bardziej pewna i zapach moczu unoszący się wokół wilgotnych łap psa z pewnością łączył się z tym lekkim, nieprzyjemnym zapachem, jaki wydzielają ludzkie organy.

Było dość zimno. Kilku młodych mężczyzn, wyglądających na czarnorynkowych handlarzy, przeszło oskubując igły z sosnowych dekoracji noworocznych, które jeszcze stały przed domami, mimo że minął już pierwszy tydzień Nowego Roku. Wyciągnęli dłonie odziane w nowe, skórzane rękawiczki i porównali swoje łupy. Jeden z nich miał na dłoni zaledwie parę igieł sosnowych, ale drugi oberwał prawie całą gałązkę. Odeszli śmiejąc się.

Sam nie wiem, kiedy zacząłem podążać śladem psa. Gdy myślałem, że straciłem go z oczu, on znowu się pojawiał. Skręcił w ulicę wiodącą do Kawaramachidōri. W ten sposób znalazłem się na ulicy, którą jeździły tramwaje i która była o wiele ciemniejsza od Shinkyōgoku. Pies zniknął. Zatrzymałem się i rozejrzałem na wszystkie strony. Doszedłem do końca ulicy z torami tramwajowymi i rozglądałem się za psem.

* Shōgoin – sintoicka i buddyjska świątynia sekty shugen (kult gór) w dzielnicy Sakyō w Kioto.

Wtedy tuż przede mną zatrzymała się lśniąca taksówka. Otworzyły się drzwi i najpierw do taksówki wsiadła kobieta. Odruchowo spojrziałem na nią. Mężczyzna, który miał wsiąść za kobietą, nagle zauważył mnie i skamieniał. Był to opat. Nie wiem, dlaczego tak się złożyło, że musiałem ponownie natknąć się na opata, którego przed chwilą widziałem na ulicy, jak spacerował z tą kobietą. W każdym razie to był opat, a kobieta, która przed nim wsiadła do samochodu, miała na sobie ten rdzawoczerwony płaszcz; widziałem go przed paroma minutami i wciąż jeszcze pozostawał w mojej pamięci.

Nie mogłem udawać, że nie widzę opata, ale byłem zaskoczony i nie mogłem wykrztusić słowa. Zanim udało mi się coś powiedzieć, w moich ustach zaczęło się gromadzić jąkanie. W końcu moja twarz przybrała wyraz nieoczekiwany dla mnie samego. To znaczy bez żadnego związku z sytuacją, stałem przed opatem i uśmiechałem się. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego. Wydawało się, że uśmiech przyszedł z zewnątrz i przyczepił się do moich ust. Jednak opat widząc mój śmiech, zmienił się na twarzy.

– Głupcze! Próbujesz mnie śledzić? – skarciwszy mnie w ten sposób, patrząc na mnie krzywo, natychmiast wsiadł do taksówki. Drzwi zamknęły się z hałasem i taksówka odjechała. Wtedy nagle stało się dla mnie jasne, że opat zauważył mnie i kilka minut temu, gdy przypadkiem minęliśmy się w Shinkyōgoku.

Następnego dnia spodziewałem się, że opat wezwie mnie do siebie, żeby mi udzielić reprimendy. Byłoby to też dla mnie okazją do wytłumaczenia się. Tak jak wtedy, gdy stanąłem na brzuchu tej prostytutki, od następnego dnia znowu zaczęły się dla mnie tortury, ponieważ opat milcząc ignorował całą sprawę. Akurat wtedy dostałem list od matki. Tak jak przedtem, list kończył się słowami, że matka nie może się doczekać dnia, kiedy zostanę panem na Rokuonji.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej grzmiący okrzyk opata: „Głupcze! Próbujesz mnie śledzić?“, wydawał mi się nie na miejscu. Gdyby opat był dowcipniejszy, bardziej szczerzy i otwarty, gdyby bardziej przypominał prawdziwego mnicha zen, to nie skarciłby swego ucznia w tak prostacki sposób. Użyłby jednego celnego wyrażenia, trafiającego w samo sedno. Nie było już jak tego naprawić, ale dochodziłem do wniosku, że opat w wyniku nieporozumienia wierzył, że cały czas umyślnie go śledziłem i złapawszy go na gorącym uczynku, drwiąco się roześmiałem. Więc trochę się przestraszył i na pewno dlatego bez namysłu rozszłościł się tak pospolicie.

Tak czy inaczej, milczenie opata znowu wypełniło moje życie męczącym niepokojem. Istnienie opata przerodziło się w wielką siłę i przypominało cień ćmy, która denerwująco fruwa przed moimi oczami. W zwyczaju było, że kiedy opata proszono o odprawienie gdzieś modłów za czyjąś duszę, zawsze towarzyszył mu jeden lub dwóch innych mnichów. Dawniej zawsze towarzyszył mu diakon, ale ostatnio z powodu tak zwanej demokratyzacji, zaczęła mu towarzyszyć kolejno jedna z pięciu osób, to znaczy diakon, ja lub jeden z dwóch pozostałych akolitów. Kierownik internatu, o którego surowości wciąż jeszcze mówiono, został powołany do wojska i zginął, tak że teraz jego obowiązki spełniał czterdziestopięcioletni diakon. Po śmierci Tsurukawy przyjęto nowego akolitę.

Właśnie wtedy zmarł główny kapłan pewnej świątyni wywodzącej się z tej samej szkoły Shōkokuji, co nasza, i opata zaproszono na ceremonię objęcia świątyni przez nowego kapłana. Przyszła moja kolej, by mu towarzyszyć. Opat nie próbował uniknąć mojego towarzystwa, miałem więc nadzieję, że może po drodze nadarzy się okazja, by wszystko mu wyjaśnić. Jednak w wieczór poprzedzający ceremonię okazało się, że ma nam towarzyszyć nowo przyjęty akolita, więc nadzieje, jakie wiązałem z następnym dniem, praktycznie spełzły na niczym.

Osoby znające literaturę pięciu świątyń* na pewno przypominają sobie kazanie wygłoszone w czasie wstąpienia Sekishitsu Zenkyū do świątyni Manjūji** w roku 1361. Nowy kapłan przybył do świątyni i udał się kolejno od bramy do głównego ołtarza, potem do Sali Ziemi, następnie do Sali Przodków i w końcu do swoich pokojów w Hōjō, po drodze wypowiadając piękne słowa, które zachowały się do dziś. Wskazując ręką góry i wyrażając radość z powodu nowego zadania, z dumą powiedział: „W Zenicie, przed bramą Cesarskiego Zamku Długowieczności. Pustą ręką otwieram zamek, bosy wchodzę na górę Konron”***.

Rozpoczęło się palenie kadzideł i odbywała się Shihōkō – ceremonia Kadzideł Następcy, podczas której ofiarowywano wonności w podziękowaniu poprzedniemu kapłanowi. Dawno temu, kiedy religia zen nie poddała się jeszcze konwencji i nade wszystko ceniono indywidualne umiejętności osiągnięcia iluminacji, nie nauczyciele wybierali sobie uczniów, lecz uczniowie wybierali sobie nauczycieli. Uczniowie wówczas otrzymywali poparcie nie tylko od nauczycieli, u których rozpoczęli naukę, ale od wielu innych nauczycieli. Podczas ceremonii Shihōkō uczeń publicznie wypowiadał imię mistrza, w którego ślady chciał pójść.

Obserwowałem tę podniosłą ceremonię palenia kadzideł i zastanawiałem się, czy gdybym odziedziczył Rokuonji i brał udział w takiej ceremonii, to czy zgodnie ze zwyczajem wypowiedziałbym imię opata. Może sprzeniewierzyłbym się temu siedemsetletniemu zwyczajowi i wypowiedziałbym

* Literatura pięciu świątyń (gozan-bungaku) – termin określający poezje i komentarze buddyjskie pisane przez mnichów, głównie z pięciu słynnych świątyń Kamakury i Kioto, od późnego okresu Kamakura do okresu Muromachi.

** Sekishitsu Zenkyū (1294–1389) – kapłan sekty rinzai, opat Kenchōji i Enkakuj. Manjūji – świątynia rinzai z XI wieku w kompleksie świątynnym Tōfukuj w Kioto.

*** Konron (jap.) – w legendach chińskich: najwyższa góra na zachodzie, źródło mitów i legend.

jakieś inne imię. Chłód komnat kapłana w to wczesnowiosenne popołudnie, zapach pięciu rodzajów kadzidła wypełniająca wnętrze, błyszczące diademy za Trzema Przyrzadami* i lśniąca aureola nad głową postaci Buddy, kolory na szatach siedzących rzędem mnichów... Wyobrażałem sobie, że może pewnego dnia ja będę tak zapalał kadzidło. W postaci nowego kapłana dostrzegalem siebie.

Podniecony zimnym powietrzem wczesnej wiosny, w akcie jaśniejącej zdrady podepczę ten zwyczaj. Zaskoczeni mnisi nie będą w stanie wykrztusić słowa i ze złości aż pobledną. Nawet nie będę próbował wypowiedzieć imienia opata. Powiem inne imię... Inne imię? Ale kto był moim prawdziwym mistrzem, który doprowadził mnie do iluminacji? Po kim naprawdę dziedziczyłem? Bełkoczę coś. To inne imię nie wydobywa się łatwo z moich ust, powstrzymywane przez jąkanie. Tak, na pewno się zająknę. Pewnie jękając się powiem „piękno” albo powiem „nicość”. A wtedy wszyscy wybuchną śmiechem, a ja będę stał niezręcznie skamieniały wśród tego śmiechu...

Nagle obudziłem się z moich marzeń. Teraz była kolej opata i jako jego asystent musiałem mu pomóc. Dla mnie jako akolity uczestniczenie w tej ceremonii było powodem do dumy, a opat Rokuonji był tu tego dnia najważniejszym gościem. Opat zapalił kadzidło, a potem uderzył młoteczkiem, nazywanym „białym młotkiem”, zaświadczając tym samym, że nowy kapłan nie jest oszustem podającym się za kogoś innego. Opat wyrecytował: „dla każdego mistrza najważniejsze jest bezpośrednio widzenie prawdy”, następnie głośno uderzył białym młoteczkiem. Ten dźwięk młotka, który rozległ się po całym pokoju, ponownie uświadomił mi, jaką siłę posiadał opat.

* Trzy Przyrzady – przedmioty stojące na ołtarzu buddyjskim: kadzielnica, wazon i świecznik.

Nie mogłem znieść milczącego zachowania opata i nie wiedziałem, jak długo ma zamiar tak postępować. Jeśli ja sam miałem jakieś ludzkie uczucia, to nie jest powiedziane, że nie wolno mi oczekiwać odpowiadających im uczuć u drugiej osoby. Bez względu na to, czy będzie to miłość, czy nienawiść.

Zagładanie w twarz opatowi przy każdej okazji stało się moim nieszczęsnym zwyczajem, ale na jego twarzy nigdy nie malowało się żadne szczególne uczucie. Nie był to nawet zimny brak wyrazu. Jeśli założyć, że ten brak wyrazu oznaczał pogardę, to nie była to pogarda skierowana ku mnie jednemu, ale coś bardziej uniwersalnego, skierowanego ku ludzkości czy też ku różnym abstrakcyjnym pojęciom. Od tego czasu zacząłem na siłę przypominać sobie wygląd zwierzęcej głowy opata i jego cielesnej brzydoty. Wyobrażałem go sobie, gdy oddaje stolec i gdy śpi z tą kobietą w rdzawoczerwonym płaszczu. Wyobrażałem sobie jak jego pozbawiona wyrazu twarz rozluźnia się w wyniku przyjemności i ukazuje się na niej wyraz będący ni to śmiechem, ni to bólem. Jak jego lśniące miękkie ciało stapia się z tak samo lśniącym i miękkim ciałem kobiety tak, że prawie nie można ich odróżnić. Wystający brzuch opata naciska na wystający brzuch kobiety... O dziwo jednak, mimo wysiłków, mogłem sobie jedynie wyobrazić, jak pozbawiona wyrazu twarz opata nagle, w wyniku defekacji czy kopulacji, nabiera zwierzęcego wyrazu, jednak nie było nic pomiędzy tymi dwiema twarzami. Nie łączyła ich gama drobnych, codziennych uczuć; wyraz jego twarzy z jednej ostateczności zmieniał się bezpośrednio w drugą. Jedyną rzeczą, która trochę wypełniała tę lukę i stanowiła małą wskazówkę, była owa dość ordynarna, krótka nagana „Głupcze! Próbujesz mnie śledzić?” Zmęczony myśleniem i czekaniem, zostałem owładnięty tylko jednym obsesyjnym pragnieniem: chciałem wyraźnie zobaczyć twarz opata pełną nienawiści. Plan, jaki w rezultacie wymyśliłem, był szalony, dziecinny, a przede wszystkim wyraźnie niekorzystny dla mnie, ale nie mogłem już wtedy nad sobą zapanować. Nie zastanowiłem się nawet nad tym,

że taka psota potwierdzi tylko nieporozumienie, które już istniało między nami.

Poszedłem do szkoły i zapytałem Kashiwagi o adres i nazwę pewnego sklepu. Kashiwagi powiedział mi, nie pytając, po co mi ta informacja. Od razu tego dnia poszedłem do owego sklepu i obejrzałem wiele zdjęć formatu pocztówkowego przedstawiających słynne kurtyzany z dzielnicy Gion*. Pokryte nienaturalnym makijażem twarze kobiet z początku wydawały mi się takie same, ale wkrótce zacząłem zauważać drobne światła i cienie. Udało mi się zajrzeć pod maski z białego pudru i różu i jak żywe dostrzec przeróżne barwy: twarze ponure i wesołe, bystrą mądrość i piękną głupotę, zły humor i nieograniczony optymizm, nieszczęście i szczęście. W końcu trafiłem na zdjęcie, którego szukałem. Z powodu jasnego światła, odbijającego się w błyszczącym papierze, prawie je przegapiłem, ale gdy udało mi się je odpowiednio ustawić, na fotografii pojawiła się twarz kobiety w czerwonym płaszczu.

– Poproszę to – powiedziałem do sprzedawcy.

Zadziwiający fakt, że stałem się taki odważny, odpowiadał dokładnie temu, że po uknuciu tego planu, nagle zupełnie się zmieniłem, stałem się wesoły i moje serce wypełniło się niewytłumaczalną radością. Na początku miałem zamiar poczekać na moment, kiedy opat będzie nieobecny, i przeprowadzić wszystko tak, by nikt nie wiedział, kto był sprawcą, jednak mój pełen podniecenia nastrój kazał mi wybrać taki niebezpieczny sposób, nie pozostawiający wątpliwości, że to moje dzieło.

Teraz jeszcze ciągle moim obowiązkiem było przynoszenie opatowi porannego wydania gazety. W chłodny mar-

* Gion – dzielnica Kioto położona w okolicy świątyni Yasaka-jinja w Higashiyama-ku; rozwinęła się w okresie Kamakura (XII–XIV w.), a w okresie Edo stała się dzielnicą rozrywki i taką pozostaje do dziś.

cowy poranek jak zwykle poszedłem do wejścia po gazetę. Wyjąłem zza pazuchy zdjęcie gejszy z Gion i gdy wkładałem je między strony gazety, serce waliło mi jak młotem. Poranne słońce oblewało palmę sago otoczoną żywopłotem, znajdującą się na środku podjazdu przed świątynią. Na chropowatym pniu palmy dzięki promieniom słońca wyraźnie malowały się światła i cienie. Po lewej rosła niewielka lipa. Poruszało się na niej kilka spóźnionych czyżyków, które jeszcze nie odleciały i ćwierkały sobie cicho, a ich głosy przypominały dźwięk wydawany przez przesuwane paciorki różańca. Zdziwiłem się bardzo, że czyżyki jeszcze nie odleciały, ale poruszające się wśród oświetlonych gałęzi małe ptaszki z żółtymi piórkami na piersi, musiały być czyżkami. Biały żwir na dziedzińcu leżał nieporuszony.

Starając się nie zamoczyć stóp, szedłem korytarzem, który dopiero co był zmywany i gdzieś tam był jeszcze mokry. Papierowe drzwi shōji prowadzące do Wielkiej Biblioteki, będącej pokojem opata, były szczelnie zamknięte. Było tak wcześnie rano, że nawet biel papieru na drzwiach zdawała się świeża. Przyklęknąłem na korytarzu i jak zwykle powiedziałem:

– Przepraszam.

Opat odpowiedział. Otworzyłem papierowe drzwi, wszedłem i delikatnie położyłem złożoną gazetę na brzegu biurka. Opat pochyłony czytał jakąś książkę. Nie patrzył na mnie... Wycofałem się, zasunąłem drzwi, z wysiłkiem się uspokoilem i powoli poszedłem korytarzem do swojego pokoju. W pokoju usiadłem i poddałem się wzrastającemu biciu serca, aż do czasu gdy musiałem wyjść na uczelnię. Nigdy jeszcze nie czekałem na nic z taką nadzieją. I mimo że to, co zrobiłem, zrobiłem z nadzieją, że uda mi się wzbudzić nienawiść opata, teraz marzyłem o sytuacji, w której moje serce przepelni się dramatycznym wzruszeniem, w chwili gdy dwie istoty ludzkie się rozumieją. Być może opat nagle pojawi się w moim pokoju i wybaczy mi. I jeśli mi wybaczy, być może po raz pierwszy w życiu osiągnę to czyste, jasne uczu-

cie, które dla Tsurukawy było czymś zupełnie normalnym. Opat i ja prawdopodobnie obejmujemy się i później będziemy tylko żałować, że wzajemne zrozumienie przyszło tak późno.

Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego oddawałem się takim absurdalnym fantazjom, choć nie trwały one długo. Gdy na zimno o tym pomyślałem, doszedłem do wniosku, że swoim głupim posunięciem rozgniewam opata, moje imię zostanie skreślone z listy kandydatów na jego następców i tak dzięki swojemu własnemu postępowaniu na zawsze stracę nadzieję zostania panem Złotej Pagody – nie pamiętałem wtedy o moim długotrwałym przywiązaniu do Złotej Pagody.

Z wysiłkiem nasłuchiwałem dźwięków nadchodzących z pokoju opata w Wielkiej Bibliotece, lecz nic nie było słychać. Czekałem na przypominający piorun ryk opata, który wyrazi jego wściekłość. Myślałem, że nie będę żałował, nawet jeżeli mnie pobije, skopie, powali, a ja zaleję się krwią. Jednak w Bibliotece panowała cisza, nie dochodziły stamtąd żadne dźwięki.

Gdy w końcu nadszedł czas pójścia na uczelnię i wychodziłem z Rokuonji, moje serce było straszliwie wyczerpane i spustoszone. Chociaż poszedłem na uniwersytet, nie słyszałem wykładów. Profesor zadał mi pytanie, ja odpowiedziałem coś bez związku i wszyscy się roześmieli, tylko Kashiwagi, jakby zupełnie nie zainteresowany, wyglądał przez okno. Na pewno zorientował się, że w moim sercu rozgrywa się dramat.

Po powrocie do świątyni nadal nic się nie zmieniło. Ciemna, pachnąca pleśnią, wieczna natura świątyni była tak pomyślana, by pomiędzy dniem dzisiejszym a jutrem nie powstała żadna różnica, żadna odrębność. Na dziś przypadał jeden z dwóch wykładów na temat kanonów buddyzmu, jakich opat udzielał dwa razy w miesiącu. Wszyscy bez wyjątku zebrali się w Wielkiej Bibliotece, by wysłuchać wykładu. Wierzyłem, że wykorzystując wykład na temat

Mumonkan, opat udzieli mi nagany. Miałem powód, by tak myśleć. Usiadłem dokładnie naprzeciw opata i choć zdawałem sobie sprawę, że jest to bardzo nie na miejscu, popchnęła mnie do tego jakaś męska odwaga, która mnie przepełniała. Przypuszczałem, że w odpowiedzi opat okaże męskie poczucie moralności, przełamie hipokryzję, wyjawi przed wszystkimi swoje zachowanie, a jednocześnie skarci mój nikczemny postępek.

W słabym świetle żarówek zebrali się wszyscy mieszkańcy świątyni, trzymając egzemplarze Mumonkan. Wieczór był zimny i tylko opat miał koło siebie mały grzejnik. Słysząc było pociąganie nosami. Na pochylonych twarzach młodych i starych widać było cienie i na każdej twarzy malowała się niewypowiedziana bezsilność. Nowy akolita, który w ciągu dnia pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej, nosił okulary krótkowidza, które ciągle ześlizgiwały się z jego płaskiego nosa.

Tylko ja czułem wewnętrzną siłę. Przynajmniej tak mi się wydawało. Opat otworzył książkę i powiódł wzrokiem po wszystkich. Wodziłem oczami za oczami opata. Próbowałem mu pokazać, że nie unikam jego wzroku. Jednak jego otoczone pulchnymi zmarszczkami oczy prześlizgnęły się po mnie, nie okazując żadnego zainteresowania.

Rozpoczął się wykład. Czekałem tylko, kiedy wykład nagle zmieni tok i zacznie dotyczyć mnie. Nadstawiałem uszu. Ciągle rozlegał się wysoki głos opata, wydobywający się z jego gardła, jednak żaden głos nie dochodził z jego serca.

Tej nocy nie mogąc zasnąć, pogardałem opatem, wyśmiewałem jego hipokryzję, stopniowo jednak poczułem żal, który nie pozwolił mi na dalsze zdenerwowanie. Pogarda dla hipokryzji opata jakimś dziwnym sposobem połączyła się ze słabością mojego serca i ponieważ w końcu zrozumiałem, że jest on przeciwnikiem niewartym mojej uwagi, zacząłem nawet myśleć, że nawet jeśli go przeproszę, nie będzie to oz-

naczało mojej przegranej. Moje serce teraz szybko zbiegało z tej stromej góry, na której szczyt przedtem się wdrapało.

Postanowiłem nazajutrz rano pójść i przeprosić opata. Rano jednak postanowiłem, że przeproszę w ciągu dnia. Na twarzy opata nie było żadnej zmiany. Był to wietrzny dzień. Wróciłem ze szkoły i gdy niczego nie podejrzewając otworzyłem szufladę biurka, znalazłem tam coś owiniętego w biały papier. W środku było tamto zdjęcie. Na papierze nic nie było napisane.

Najwyraźniej tym sposobem opat zamierzał położyć kres całej sprawie. Nie znaczyło to, że przymknął na wszystko oczy, ale zawiadomił mnie, jak bezcelowy był mój postępek. Jednak ten dziwny sposób zwrócenia zdjęcia nagle zappełnił moją głowę wyobrażeniami. A więc i opat niewątpliwie cierpiał – pomyślałem. – Na pewno bardzo się dręczył, aż w końcu wymyślił taki sposób. Teraz opat musi mnie nienawidzić. I nie nienawidzi mnie za samo zdjęcie, ale za to, że przeze mnie musiał ukrywać się przed innymi, poczekać na moment, kiedy nikogo nie będzie i ukradkiem przejść korytarzem do pokoju ucznia, w którym nigdy wcześniej nie był, otworzyć jego szufladę, jakby popełniał jakieś przestępstwo. Ma teraz wystarczający powód, by mnie nienawidzić za to, że zmusiłem go do takiego poniżającego zachowania.

Gdy o tym pomyślałem, nagle moje serce wypełniło się tajemniczą radością i zabrałem się do bardzo przyjemnej pracy. Nożyczkami pociąłem zdjęcie kobiety na kawałki, zawiązałem skrawki w dwie warstwy grubego papieru z notatnika i ściskając ten pakiet w ręku poszedłem do Złotej Pagody.

Złota Pagoda wznosiła się pod wypełnionym szumem wiatru księżycowym niebem, pełna swej niezmiennej, melancholijnej równowagi. Kiedy blask księżycyca oświetla rząd wąskich kolumnienek, wyglądają czasem jak struny harfy koto, a cała budowla jak jakiś dziwny, gigantyczny instrument. Wygląda tak w zależności od położenia księżycyca, lecz tej nocy naprawdę tak wyglądała. Wiatr bez celu przewiewał między strunami tej harfy, która nigdy nie wyda dźwięku.

Podniosłem z ziemi mały kamyk. Włożyłem go do mojego pakieciku i razem mocno obwiązałem. Potem wrzuciłem pociętą na kawałki twarz kobiety wraz z tym ciężarkiem w sam środek stawu Kyōkochi. Kręgi, które swobodnie rozeszły się po powierzchni stawu, wkrótce dotarły do moich stóp na brzegu.

* * *

Moja ucieczka w listopadzie tego roku była rezultatem nagromadzenia się tych wszystkich okoliczności. Gdy później o tym myślałem, doszedłem do wniosku, że mimo iż ucieczka ta wyglądała na nagłą, poprzedził ją okres dojrzałego zastanowienia i wahania, lecz wolę o niej myśleć jako o czymś, co zrobiłem pod wpływem nieoczekiwanego impulsu. Ponieważ zupełnie brakowało mi impulsywności, szczególnie lubiłem udawać impulsywnego. Czy na przykład mężczyznę, który miał iść na grób ojca i planował to od poprzedniego wieczora, lecz tego dnia wychodzi z domu i gdy dochodzi do stacji, nagle zmienia zdanie i postanawia odwiedzić koleżkę, z którym zwykle się upija – czy takiego mężczyznę można uznać za kierującego się czystym impulsem? Czy ta nagła zmiana nastroju nie jest bardziej świadoma niż jego zwykle długie przygotowania do odwiedzenia grobu? Czyż nie jest czymś w rodzaju rewanzu na własnej woli?

Bezpośrednim motywem mojej ucieczki było oświadczenie opata, wygłoszone zdecydowanym tonem poprzedniego dnia: „Był czas, że miałem zamiar kiedyś uczynić cię moim następcą, ale uprzedzam cię, że teraz nie mam już takiego zamiaru”. Po raz pierwszy wtedy usłyszałem wyrok, ale spodziewałem się go już wcześniej i byłem na niego przygotowany. Nie byłem nim zaskoczony. Nie byłem zdziwiony i przestraszony, ale i tak wolę myśleć o mojej ucieczce jako o czymś, co wybuchło wywołane słowami opata i impulsem.

Po tym, jak dzięki mojej sztuczce ze zdjęciem upewniłem się co do nienawiści opata, zacząłem zaniedbywać studia. W

czasie pierwszego roku kursu wstępnego z klasycznego chińskiego i historii dostałem osiemdziesiąt cztery punkty na sto, co było najlepszym wynikiem na roku, i zdobyłem razem siedemset czterdzieści osiem punktów, dzięki czemu znalazłem się na dwudziestym czwartym miejscu z osiemdziesięciu czterech studentów. Z czterystu sześćdziesięciu czterech godzin zajęć opuściłem tylko czternaście. Na drugim roku zebrałem razem sześćset dziewięćdziesiąt trzy punkty i spadłem na trzydziestą piątą pozycję wśród siedemdziesięciu siedmiu studentów. Nie miałem pieniędzy, żeby przyjemnie spędzać wolny czas, opuszczałem zajęcia jedynie dla samej przyjemności leniuchowania. Pierwszy semestr trzeciego roku rozpoczął się akurat po owym incydencie ze zdjęciem.

Po zakończeniu pierwszego semestru uniwersytet wysłał zawiadomienie do świątyni i opat dał mi reprimendę. Złajał mnie za złe stopnie i liczne nieobecności, ale najbardziej zdenerwowało go, że opuściłem specjalne zajęcia w praktyce medytacji zen, które odbywały się jedynie przez trzy dni. Zajęcia te organizowano przed rozpoczęciem letnich, zimowych i wiosennych wakacji, za każdym razem przez trzy dni, i odbywały się one w takiej samej formie jak w specjalnych ośrodkach nauki medytacji w świątyniach zen.

Ta reprimenda stała się jedną z nielicznych okazji, gdy opat specjalnie zawołał mnie do swojego pokoju. Stałem tylko w milczeniu ze spuszczoną głową. Wbrew moim cichym nadziejom, opat nie wspominał ani słowem o sprawie zdjęcia ani o wcześniejszym szantażu prostytutki.

Od tego czasu zachowanie opata w stosunku do mnie stało się wyraźnie oziębłe. Można powiedzieć, że właśnie tego sobie życzyłem, właśnie takiego dowodu pragnąłem i było to coś w rodzaju mojego zwycięstwa, jednak do jego osiągnięcia wystarczyło być leniwym.

W czasie pierwszego semestru trzeciego roku moje nieobecności doszły do sześćdziesięciu godzin, co było liczbą prawie pięciokrotnie wyższą od moich nieobecności w ciągu trzech semestrów pierwszego roku. Przez ten cały czas ani

nie czytałem książek, ani nie zabawiałem się tracąc pieniądze, czasem tylko rozmawiałem z Kashiwagim, a poza tym po prostu nic nie robiłem. Moje wspomnienia z Uniwersytetu Ōtani to głównie wspomnienia bezczynności, gdy spędzałem czas samotnie i w milczeniu, nic nie robiąc. Ta bezczynność była może swoistym rodzajem praktyki zenistycznej. W każdym razie nigdy nie czułem nudy.

Raz przez kilka godzin siedziałem na trawie przyglądając się, jak mrówki pracują, nosząc do mrowiska grudki czerwonej ziemi, ale to nie mrówki przyciągnęły moją uwagę. Kiedy indziej przez długi czas gapiłem się na wąski pasek dymu unoszący się z komina fabryki znajdującej się za Uniwersytetem. Jednak to nie dym mnie zainteresował... Wydawało mi się, że jestem po szyję zanurzony w swoim własnym istnieniu. Świat zewnętrzny gdzieś stygł, a potem znów się nagrzewał. Jak by to powiedzieć? Świat zewnętrzny tworzył plamki, to znowu paski. Moje wnętrze i świat zewnętrzny leniwie, nieregularnie zamieniały się miejscami, pozbawiony znaczenia krajobraz wokół odbijał się w moich oczach, wdzierał się do mego wnętrza, a jednocześnie część, która się nie wdierała, żywo błyszczała w dali. Te błyszczące elementy mogły być flagą na dachu jakiejś fabryki, jakąś plamą na ogrodzeniu, starym chodakiem porzuconym na trawie. Wszystko ożywało we mnie na moment raz po raz i znowu umierało. Czy też może powinienem był powiedzieć: wszystkie pozbawione kształtu myśli?... Ważne rzeczy podały rękę trywialnym i polityczne wydarzenia w Europie, o których przeczytałem w dzisiejszej gazecie, miały nierozwalny związek z tym starym chodakiem leżącym przede mną.

Kiedyś myślałem też długo o ostrym kącie na końcu źdźbła trawy. A właściwie słowo „myślałem” nie jest odpowiednie. Ta zadziwiająca drobna myśl wcale nie trwała, lecz tylko jak jakiś refren uparcie pojawiała się raz po raz w moich zmysłach, które nie wiadomo, czy żyły, czy były martwe. Dlatego to źdźbło trawy musi być zakończone

takim ostrym kątem? Czy jeśli kąt byłby rozwartym, utraciłoby ono charakterystyczną cechę trawy i natura wpadłaby w chaos z powodu tego jednego kąta? Czy można usunąć najmniejsze z zębatych kółek natury i wprowadzić całość w ruch? I w ten sposób bez celu rozmyślałem to o tym, to o owym.

Natychmiast rozeszła się pogłoska o reprimendzie, jakiej udzielił mi opat, i wszyscy w świątyni stali się z dnia na dzień oziębli w stosunku do mnie. Akolita, który zazdrościł mi pójścia na uniwersytet, teraz ciągle przyglądał mi się z krzywym uśmiechem, pełnym zwycięskiej dumy. Całe lato i jesień spędziłem w świątyni, prawie do nikogo się nie odzywając. Rano, w dzień poprzedzający moją ucieczkę, opat kazał diakonowi mnie zawołać.

Było to dziewiątego listopada. Ponieważ wybierałem się na uczelnię, zjawiłem się przed opatem w moim studenckim mundurze. Twarz opata, z natury krągła i pogodna, miała teraz, z powodu nieprzyjemnej konieczności spotkania i rozmowy ze mną, dziwnie stężały wyraz. Mnie natomiast było przyjemnie, że opat patrzy na mnie jak na trędowatego. Teraz właśnie jego oczy wypełnione były ludzkim uczuciem, które chciałem zobaczyć.

Opat szybko odwrócił wzrok i przemówił pocierając ręce nad grzejnikiem. Ten dźwięk pocierającego o siebie ciała jego miękkich dłoni był cichy, ale w powietrzu zimowego poranka zadzwonił mi w uszach. To dotykanie się ciała opata stworzyło uczucie niepotrzebnej bliskości.

– Jakżeż twój zmarły ojciec by się martwił! Spójrz na ten list. Znowu napisali ze skargą z Uniwersytetu. Pomyśl, jak to się wszystko skończy. – I dalej szybko powiedział tamte słowa: – Był czas, że miałem zamiar kiedyś uczynić cię moim następcą. Teraz jednak uprzedzam cię, że wcale nie mam już takiego zamiaru.

Milczałem przez dłuższą chwilę, a potem powiedziałem:

– To znaczy, że nie będę już otrzymywał pomocy?

Opat nie odpowiedział od razu. Po chwili jednak spytał:

– Po tym, co zrobiłeś, jeszcze spodziewasz się pomocy?

Nie odpowiedziałem. Potem jednak mimo woli zacząłem, jękając się, mówić na inny temat.

– Mistrz zna mnie na wylot. Ja myślę, że też Mistrza znam.

– I co z tego, że znasz? – oczy opata pociemniały. – Nic z tego nie wynika. Na nic ci się to nie przyda.

Nigdy jeszcze nie widziałem oczu człowieka tak obojętnych wobec doczesnego świata. Nigdy nie widziałem twarzy kogoś, kto nawet ubrudziwszy sobie ręce szczegółami życia, pieniędzmi, kobietami, patrzy na świat z taką pogardą... Poczuję wstręt – jakbym dotknął trupa, jeszcze ciepłego.

Wtedy nagle wypełniła mnie bolesna chęć oddalenia się choć na pewien czas od wszystkiego, co mnie otaczało. Po wyjściu z pokoju opata nadal bez przerwy o tym myślałem i ta chęć stawała się coraz bardziej gwałtowna. Zawinałem w chustę słownik buddyjski i flet, który dostałem od Kashiwagiego. Gdy śpieszyłem do szkoły zarzuciwszy na ramię torbę i ten węzełek, myślałem tylko o wyjeździe.

Wszedłem na teren Uniwersytetu i zobaczyłem, że przede mną idzie Kashiwagi. Złapałem go za rękę, pociągnąłem na bok i poprosiłem o pożyczenie mi trzech tysięcy jenów. Poprosiłem też, by wziął słownik i flet, i zrobił z nimi, co zechce.

Z twarzy Kashiwagiego zniknęło coś, co można by nazwać filozoficzną wesołością, która zawsze pojawiała się na niej, gdy wygłaszał jakieś paradoksalne uwagi. Patrzył na mnie zwięzonymi, zachmurzonymi źrenicami.

– Pamiętasz, jaką radę dał ojciec Laertesowi w *Hamlecie*? „Nie pożyczaj drugim. Ani od drugich; bo pożyczkę daną tracimy najczęściej razem z przyjacielem”^{*}.

– Ja już nie mam ojca – powiedziałem. – Jak nie, to nie.

– Nie mówię, że nie. Naradźmy się spokojnie. Nie wiem, czy wyskrobałbym teraz razem trzy tysiące.

Chciałem wspomnieć coś o sposobach Kashiwagiego na wyłudzenie pieniędzy od kobiet, o których słyszałem od nauczycielki ikebany, ale powstrzymałem się.

* Przekład Józefa Paszkowskiego.

– Najpierw zastanówmy się, co zrobić z tym słownikiem i fletem – powiedział Kashiwagi i natychmiast odwrócił się na pięcie, ruszając w kierunku bramy.

Ja też zawróciłem i zwoleń, dostosowując się do kroków Kashiwagiego, ruszyłem obok niego. Kashiwagi zaczął mówić o studencie, który był prezesem klubu Hikari*. Został aresztowany, gdyż podejrzewano go o udział w jakichś czarnorynkowych operacjach finansowych. We wrześniu go wypuszczono, lecz ludzie stracili do niego zaufanie i podobno miał kłopoty. Od wiosny ten prezes klubu Hikari bardzo interesował Kashiwagiego i często o nim rozmawialiśmy. Obaj wierzyliśmy, że był wpływowym człowiekiem, i nie spodziewaliśmy się, że zaledwie po dwóch tygodniach od wypuszczenia popełni samobójstwo.

– Na co ci te pieniądze? – zapytał nagle Kashiwagi.

Pomyślałem, że to nie było pytanie w jego stylu.

– Mam ochotę gdzieś sobie wyjechać.

– Zamierzasz wrócić?

– Pewnie tak...

– Od czego chcesz uciec?

– Od wszystkiego, co mnie otacza. Wszystko wokół mnie wydziela silny zapach bezsilności... Opat też jest bezsilny. Strasznie bezsilny. Zrozumiałem to teraz.

– Uciekasz też od Złotej Pagody?

– Tak. Od Złotej Pagody też.

– Złota Pagoda też jest bezsilna?

– Nie, Złota Pagoda nie jest bezsilna. Wcale nie jest bezsilna. Ale jest przyczyną bezsilności wszystkiego innego.

– Tak, tylko ty mógłbyś coś takiego wymyślić – powiedział Kashiwagi, cmokając bardzo rozweselony. I szedł tym swoim przesadzonym, tańczącym krokiem.

* Klub Hikari – lichwiarska firma pożyczkowa, którą założył student Uniwersytetu Tokijskiego Yamazaki; po bankructwie otruł się. Był to głośny temat w mediach w okresie powojennym; Mishima wykozystał go w powieści *Ao-no jidai* (Zielona epoka).

Zaprowadził mnie do małego, wypełnionego chłodem sklepu z antykami, gdzie sprzedaliśmy flet. Dostaliśmy za niego tylko czterysta jenów. Potem wstąpiliśmy do antykwariatu i wytargowaliśmy sto jenów za słownik. By pożyczyc mi pozostałe dwa i pół tysiąca, Kashiwagi zaprowadził mnie na swoją stację.

I wtedy właśnie zaproponował coś dziwnego. Flet był pożyczony od niego i teraz mu go zwracałem, słownik zaś można było uznać za prezent. W związku z tym oba te przedmioty należą do Kashiwagiego, a więc i pięćset jenów, za które je sprzedaliśmy, należało się Kashiwagiemu. Jeśli dodać to do dwóch i pół tysiąca, które mi pożyczał, to pożyczona suma wyniesie trzy tysiące jenów. Pożycz mi je na dziesięć procent miesięcznie. W porównaniu z trzydziestoma czterema procentami zdzieranymi przez klub Hikari, Kashiwagi uważał swój niski procent praktycznie za przysługę.

Przyniósł kartkę papieru i pudełko z tuszem. Z powagą zapisał powyższe warunki i jako podpisu pod tym weksem zażądał odcisku mojego palca. Nie miałem ochoty myśleć o przyszłości, więc szybko umoczyłem palec w tuszu i odcisnąłem na kartce.

Byłem pełen niecierpliwości. Włożyłem trzy tysiące za pazuchę wyszedłem z pokoju Kashiwagiego. Wsiadłem w tramwaj i dojechałem do parku Funaoka. Tam wysiadłem i wbiegłem po krętych kamiennych schodach prowadzących do chramu Takeisao*. Miałem zamiar kupić tam przepowiednię i w ten sposób zdecydować, dokąd pojechać.

U dołu schodów po prawej zobaczyłem jaskrawoczerwony chram Yoshiteru Inari** i parę kamiennych lisów, owiniętych metalową siatką. Lisy miały w pyskach zwoje, a ich sterzące uszy były wewnątrz pomalowane na czerwono.

* Takeisao-jinja – świątynia zbudowana w 1868 r. na szczycie góry Funaokayama, poświęcona rycerzowi Oda Nobunaga i jego synowi Nobutadzie (znana również jako Kenkun-jinja).

** Yoshiteru-inari-jinja – niewielka świątynia sinto poświęcona lisom na terenie Takeisao-jinja.

Dzień był słoneczny, lecz chwilami powiewał chłodny wiatr. W słabych promieniach słońca kamienne schody wyglądały jak posypane drobnym popiołem. Światło było słabe, przesiane między drzewami, więc te popiołowe promienie wydawały się brudne. Na jednym oddechu wbiegłem po schodach, więc kiedy wyszedłem na rozległy dziedziniec chramu Takeisao, byłem zlany potem. Przede mną po drugiej stronie brukowanego dziedzińca ciągnęły się schody prowadzące do samej świątyni. Wzdłuż drogi pochylały się niewielkie sosny. Po prawej stał stary drewniany budynek kancelarii świątyni; na drzwiach był napis „Przepowiadanie Losu”. Dalej w stronę świątyni znajdował się biały składzik, gdzieś rosnęły cedry, a pod pełnym nieładem niebem, wypełnionym smutnym światłem zimnych chmur w kolorze białka, widać było góry po zachodniej stronie Kioto.

W chramie Takeisao jako główne bóstwo czczono Ode Nobunagę* i jego najstarszego syna – Nobudatę**. Barwny akcent tej skromnej świątyni stanowiła prosta czerwona balustrada, otaczająca Dom Modlitwy***.

Wszedłem po kamiennych schodach, zmówiłem modlitwę. Następnie podniosłem z półki stare, drewniane sześciokątne pudełko, leżące obok skrzynki na ofiary. Potrząsnąłem nim. Z otworu wypadł wąski, wystrugany kawałek bambusa. Na nim czarnym tuszem napisane było jedynie „czternaście”. Zawróciłem. Schodziłem po schodach szepcząc „czternaście, czternaście”. Zdawało się, że dźwięk tego słowa utkwiał mi na języku i stopniowo nabierał znaczeń.

* Oda Nobunaga (1534–82) – wojownik okresów Sengoku, Azuchi-Momoyama, faktyczny władca Japonii, który po wieloletnich krwawych walkach podporządkował sobie znaczną część kraju. Zdradzony przez Akechi Mitsuhide, popełnił samobójstwo w świątyni Honnōji.

** Oda Nobudata (1558–82) – wojownik okresu Azuchi-Momoyama, trzeci syn Nobunagi; popełnił samobójstwo wraz z ojcem.

*** Dom Modlitwy (jap. haiden) – budynek do odprawiania modłów, który znajduje się przed głównym budynkiem świątyni sintoistycznych.

Poszedłem do kancelarii świątynnej i zapytałem, gdzie się mogę dowiedzieć o przepowiednię. Pojawiła się kobieta w średnim wieku, która najwyraźniej robiła coś w wodzie i teraz uparcie wycierała ręce o fartuch, który zdjęła. Nie zmieniając wyrazu twarzy, wzięła dziesięć jenów ustalonej opłaty, które jej wręczyłem.

– Jaki numer?

– Czternaście.

– Proszę poczekać przy tej werandzie.

Usiadłem na otwartej werandzie i czekałem. Gdy tak czekałem, wydało mi się jakoś pozbawione znaczenia, że mój los zdecyduje się tymi popękkanymi, wilgotnymi dłońmi kobiety, ale przyszedłem tutaj, ryzykując właśnie taki brak znaczenia, więc mi to nie przeszkadzało. Za zamkniętymi papierowymi drzwiami posłyszałem dźwięk metalowego kółka na trudno otwierającej się starej szufladzie i odgłos przewracanych kartek. Wkrótce papierowe drzwi otworzyły się trochę, usłyszałem „Proszę”, zza drzwi wysunął się wąski kawałek papieru i drzwi ponownie się zamknęły. Jeden rozek papieru był mokry od palców kobiety. Przeczytałem: „Numer czternaście – nieszczęśliwy. Jeśli tu pozostaniesz, bogowie zniszczą cię. Bóg Ōkuni* przecierpiawszy palące kamienie, strzały z łuku i inne tortury, odszedł stąd zgodnie z zaleceniami bogów przodków. Znak sekretnej ucieczki”. Wyjaśnienia mówiły o wszelkich rodzajach niepomyślnych wydarzeń i niepokoju czekającym w przyszłości. Nie przeląknęłem się. Spojrzałem na liczne informacje na dole i znalazłem jedną, dotyczącą podróży. Napisane było tam: „Podróż – nieszczęście. Szczególnie północny zachód jest niepomyślny”. Postanowiłem wybrać się na północny zachód.

* Ōkuni – jeden z bogów opisanych w *Kronice dawnych wydarzeń* z roku 712, potomek boga Susanoo, czczony w chrámie Izumo-taisha w prowincji Izumo.

Pociąg do Tsurugi odjeżdżał z dworca Kioto o szóstej pięćdziesiąt pięć. Pobudka w świątyni była o pół do szóstej. Dzieśiątego listopada wstałem rano i od razu ubrałem się w studencki mundur, ale nikt niczego nie podejrzewał. Wszyscy przywykli do udawania, że mnie nie widzą.

O świcie w świątyni wszyscy biegali tu i tam, sprząając i odkurzając. Do szóstej był czas porządków. Ja zamiatałem frontowy dziedziniec. Nie miałem przy sobie żadnej torby. Zaplanowałem, że wybiorę się w podróż tak, jakbym po prostu rozplął się w powietrzu. Na zwirowanej ścieżce w białym świetle poranka poruszamy się – ja i miotła. Nagle miotła się przewraca, ja znikam i w porannym półmroku pozostaje jedynie biała ścieżka. Wyobrażałem sobie, że tak właśnie musi rozpocząć się moja podróż.

Dlatego też nie pożegnałem się ze Złotą Pagodą. Ważne było, bym z całego mojego otoczenia zawierającego Złotą Pagodę, został wyrwany tylko ja sam. Zamiatałem, stopniowo kierując się w stronę bramy. Pomiędzy wierzchołkami sosen widać było gwiazdy na jaśniejącym niebie. Serce waliło mi w piersi jak młotem. Muszę wyjechać. Można powiedzieć, że te słowa były skrzydłami. Muszę wyjechać i oddalić się od mojego otoczenia, od pojęcia piękna, które mnie wiąże, od tego życia z dala od świata, od mojego jąkania się, od warunków ograniczających moje istnienie.

Miotła wypadła mi z ręki i jak owoc spadający z drzewa uderzyła o ciemną w świetle poranka trawę. W cieniu drzew szedłem ukradkiem w stronę bramy. Kiedy byłem za bramą, zacząłem biec. Nadjechał pierwszy ranny tramwaj. Siedziałem w rażącym, jasnym świetle żarówki wśród nielicznych pasażerów wyglądających na robotników. Wydawało mi się, że nigdy przedtem nie byłem w takim jasnym miejscu.

Jeszcze ciągle wyraźnie pamiętam szczegóły tej podróży. Wcale nie uciekałem, nie znając celu mojej wyprawy. Postanowiłem pojechać do miejsca, które odwiedziłem w czasie

szkolnej wycieczki w czasach gimnazjalnych. Jednak gdy powoli się tam zbliżałem, myślałem ciągle o wyjeździe i wyzwoleniu i zdawało mi się, że przede mną rozpościera się jedynie nieznane.

Dobrze znałem trasę tego pociągu. Prowadziła do mojej rodzinnej wsi, lecz nigdy przedtem ten okopcony stary pociąg nie wydawał mi się równie świeży i zadziwiający. Stacje, gwizd lokomotywy, echo chrapliwego głosu z głośnika rozchodzącego się w świetle poranka rozpościerały przede mną oślepiającą, liryczną panoramę, powtarzając to samo uczucie i wzmacniając je. Poranne słońce cięło olbrzymi peron na fragmenty. Odgłos przebiegających butów, stukot drewnianych chodaków, monotony odgłos dzwonka, kolor mandarynek wyjmowanych z kosza przekupnia na stacji... wszystko to wydawało mi się wskazówką, symptomem przepowiadającym nadejście czegoś wielkiego, czemu się poddawałem.

Nawet najmniejsze fragmenty stacji były jakby pełne napięcia, połączone uczuciem oddalenia i wyjazdu. Peron zniknął za mną posłusznie i miarowo. Czułem, jak ta pozbawiona wyrazu betonowa powierzchnia porusza się, oddala i jak rozbłyska dzięki temu, co się od niej oddalało.

Ufałem pociągowi. Brzmi to zabawnie, ale nie ma innego sposobu, by uchwycić to niewyobrażalne uczucie powolnego oddalania się mojego ciała od dworca Kioto. Wieczorem w Rokuonji wiele razy słyszałem, jak towarowe pociągi przejeżdżały obok Hanazono, jednak zadziwiająco wydawało mi się, że ja sam jestem teraz wewnątrz jednej z tych rzeczy, pędzących nieuchronnie w dal dniem i nocą. Pociąg przejeżdżał teraz wzdłuż ciemnoniebieskiego przełomu rzeki Hozu, który widziałem dawno temu z chorym ojcem. Tereny położone między tą okolicą a Sonobe, na zachód od gór Atago i Arashiyama, miały zupełnie inny klimat niż Kioto, co prawdopodobnie spowodowane było prądami atmosferycznymi. W październiku, listopadzie i grudniu, dokładnie od jedenastej wieczorem do dziesiątej rano, mgła wznosząca się znad rzeki Hozu szczelnie spowijała całą okolicę. Mgła bez

przerwy się poruszała i bardzo rzadko powstawały w niej prześwity.

Za oknem rozciągały się zamglone pola, rżyska koloru zielonej pleśni. Nieliczne drzewa rosnące na miedzach były to wysokie, to niskie, to małe, to duże. Dolne gałęzie i liście były obcięte i wszystkie cienkie pnie obwiązano słomą. Kiedy tak jedno po drugim ukazywały się spomiędzy mgły, wyglądały jak duchy drzew. Raz przy samym oknie pociągu pojawiła się wyraźnie duża wierzba. Poza nią rozciągały się prawie niewidoczne szare pola. Wierzba spuściła swe ciężkie, wilgotne liście i lekko drżała pośród mgły.

Moje serce, tak pełne werwy, gdy opuszczałem Kioto, teraz pogrążyło się we wspomnieniach o zmarłych. Myśli o Uiko, ojcu i Tsurukawie wypełniły mnie niewypowiedzianą łagodnością i zacząłem się zastanawiać, czy potrafię kochać jedynie zmarłych. Tak czy inaczej, o wiele łatwiej było kochać zmarłych niż żywych.

Trudni do kochania pasażerowie niezbyt zatłoczonego wagonu trzeciej klasy pracowicie wypuszczali dym z papierosów i obierali mandarynki. Obok mnie siedzieli, głośno rozmawiając, starsi pracownicy jakiejś publicznej organizacji. Mieli na sobie stare, bezkształtne garnitury, z rękawa jednego wyglądała podarta podszewka w paski. Po raz kolejny uderzyło mnie, że przeciętność ani trochę nie przemija, nawet gdy człowiek jest coraz starszy. Pomarszczone, spalone słońcem chłopskie twarze i zachrypnięte od nadmiaru alkoholu głosy były pewnego rodzaju kwintesencją przeciętności. Wygłaszali opinie o ludziach, których powinno się namówić do udzielenia finansowego wsparcia ich organizacji. Jeden spokojny, łysiejący starszy człowiek nie brał udziału w rozmowie, tylko ciągle wycierał ręce płócienną chusteczką, która poźółkła od wielokrotnego prania.

– Popatrzcie na te moje czarne ręce. Same się tak ubrudziły od sadzy. To okropne.

Ktoś inny przyłączył się do rozmowy:

– Ty kiedyś napisałeś o tej sadzy do gazety, prawda?

– Nie – zaprzeczył łysy – Ale w każdym razie to okropne.

Nie przysłuchiwałem się specjalnie, ale i tak słyszałem. W ich rozmowie co pewien czas pojawiały się Złota i Srebrna Pagoda. Wszyscy zgadzali się, że trzeba nalegać na świątynie, aby złożyły datki. Srebrna Pagoda miała dochód o połowę mniejszy od Złotej, ale i tak była to pokaźna suma. Na przykład Złota Pagoda miała przypuszczalnie roczny dochód około pięciu milionów jenów, ale życie w świątyni zen nie pochłaniało zwykle wielkich sum i nawet z opłatami za prąd i wodę wydatki świątyni nie przekraczały pewnie dwustu tysięcy jenów rocznie. A co dzieje się z resztą pieniędzy? Opat karmi mnichów zimnym ryżem, a sam co noc idzie do dzielnicy rozrywki Gion i tam wydaje pieniądze. A do tego, ponieważ świątynia nie płaci podatków, jest jakby poza prawem. Właśnie od takich instytucji trzeba się bezlitośnie domagać darowizn. Mówili tak jeden przez drugiego.

Gdy rozmowa utknęła w martwym punkcie, Łysy, który ciągle wycierał ręce chusteczką, powiedział: „To okropne”. I to stało się konkluzją całej rozmowy. Na dokładnie wytartych i wypolerowanych dłoniach starego nie było już śladu sadzy; lśniły jak wypolerowane puzderka netsuke*. Te wygłansowane ręce wyglądały raczej na rękawiczki niż na ręce.

Może się to wydać dziwne, ale był to pierwszy raz, kiedy usłyszałem krytyczne zdanie opinii publicznej. Należeliśmy do świata mnichów, Uniwersytet też był częścią tego świata, nigdy nie krytykowaliśmy swoich świątyń. Jednak ta rozmowa starych urzędników wcale mnie nie zdziwiła. Wszystko wydało mi się oczywiste! My jedliśmy zimny ryż. Opat chodził do Gion... A jednak poczułem niewypowiedzianą niechęć na myśl o tym, że ja mogę być „rozumiany” dzięki takiemu pojmowaniu tych starych urzędników. Nie mogę

* Netsuke – niewielkie rzeźbione puzderka z kości słoniowej, koralu, agatu lub innych materiałów, zwykle bardzo starannie wykonane, zdobione motywami ludzi i zwierząt; służyły do przechowywania pieczęci, tabaki itp., przyczepiane przez mężczyźn do pasa kimona. Rozpowszechniły się w okresie Edo (1603–1886).

znieść tego, że rozumieją mnie „ich słowami”. „Moje słowa” są inne. Proszę pamiętać, że nawet kiedy zobaczyłem opata idącego z gejszą w Gion, wcale nie czułem moralnej niechęci.

Rozmowa starych urzędników znikła z mojego serca, pozostawiając jedynie lekką niechęć wywołaną przelotną wonią przeciętności. Nie chciałem szukać społecznego poparcia dla moich myśli. Nie chciałem też dawać tym myślom ramy, która uczyniłaby je łatwo zrozumiałymi dla społeczeństwa. Jak już wiele razy wspomniałem, bycie nie zrozumianym było sensem mojego istnienia.

Nagle otworzy się drzwi i pojawił się przekupień z koszem na szyi, zachrypniętym głosem zachwalając swój towar. Nagle zdałem sobie sprawę, że jestem głodny. Kupiłem pudełko z zielonym makaronem, w którym zamiast ryżu były chyba wodorosty. Mgła znikła, ale niebo nie było jasne. Za oknem, u stóp gór Tamba, zaczęły się pojawiać domy wyrobników papieru i rosnące na jałowej ziemi drzewa specjalnego gatunku morwy, z których wytwarzano papier.

Zatoka Maizuru. Na myśl o tej nazwie serce zabiło mi jak dawniej. Nie wiem, dlaczego. Ale od czasów dzieciństwa, które spędziłem we wsi Shiraku, była dla mnie nazwą niewidzialnego morza i w końcu stała się przeczuciem morza.

To niewidzialne morze można było dokładnie zobaczyć ze szczytu góry Aoba, wznoszącego się za wsią Shiraku. Dwa razy wszedłem na ten szczyt. Za drugim razem widziałem zjednoczone siły floty japońskiej*, które akurat zawinęły do portu marynarki wojennej w zatoce Maizuru.

Być może okręty zakotwiczone w lśniącej zatoce odbywały jakiś tajemniczy zlot. Wszystko, co dotyczyło tych statków,

* Zjednoczone siły floty japońskiej (Rengō-kantai) – dawniej w japońskiej marynarce wojennej zespół taktyczny okrętów wojennych przeznaczony do prowadzenia działań wojennych. Po raz pierwszy użyte w wojnie japońsko-chińskiej 1894–95, a po raz ostatni w drugiej wojnie światowej.

było tajne i wąpiliśmy nawet, czy naprawdę istniały. Dlatego dalekie okręty wyglądały jak stado majestatycznych czarnych ptaków wodnych, których nazwę znałem, ale które widywałem jedynie na zdjęciach. Ptaki nie wiedziały, że obserwują je ludzie, i pod czujnym okiem starego groźnego ptaka w sekrecie zażywały kąpieli.

Głos konduktora, który przechodził przez pociąg, ogłaszając nazwę następnej stacji: „Zachodnie Maizuru”, przywołał mnie do rzeczywistości. Nie było już wśród pasażerów marynarzy w pośpiechu nakładających plecaki. Prócz mnie do wysiadania zaczęło przygotowywać się tylko kilku mężczyzn, wyglądających na handlarzy czarnorynkowych.

Wszystko się zmieniło. Miasto wyglądało jak zagraniczny port. Na rogach ulic widniały angielskie napisy, jakby komuś groziły. Tu i tam chodziło wielu amerykańskich żołnierzy. Pod zachmurzonym niebem wczesnej zimy lekki wiatr o smaku soli wiał szeroką, przeznaczoną dla wojska ulicą. Pachniało nie morzem, ale czymś nieorganicznym, jakby zardzewiałym żelazem. Morze wąskim, przypominającym kanał pasem dotarło aż do środka miasta, jego martwa powierzchnia, mały amerykański okręt wojenny przy brzegu... niewątpliwie panował tu pokój, ale przesadna higiena odebrała dawnemu portowi wojennemu jego pełną zamieszania fizyczną żywotność i całe miasto przypominało teraz szpital.

Nie miałem zamiaru odbywać tu osobistego spotkania z morzem. Być może nadjedzie jeep i dla zabawy zepchnie mnie do wody. Gdy teraz się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że w tym impulsie, który spowodował mój wyjazd, kryło się morze. Jednak nie było to takie sztuczne, portowe morze, lecz wzburzone morze, nie zmienione od swego narodzenia, takie, z jakim stykałem się w dzieciństwie w mojej rodzinnej wsi na przylądku Nariu. To szorstkie, morze, zawsze gniewne, wzburzone morze u zachodnich brzegów Japonii.

Dlatego wybierałem się do Yury. Plaża, która latem była pełna gwaru kąpiących się, o tej porze roku na pewno była pusta i tylko ciemne siły morza i lądu zmagaly się ze sobą. Z Zachodniego Maizuru do Yura było około dwunastu kilometrów i moje nogi niejasno pamiętały drogę.

Droga prowadziła z Maizuru na zachód wzdłuż zatoki. Pod kątem prostym przecinała linię kolejową Miyazu, wkrótce dochodziła do przełęczy Takijiri i docierała do rzeki Yura. Prowadziła przez most Ōkawa i dalej na północ wzdłuż zachodniego brzegu rzeki Yura wiodła z jej biegiem do ujścia. Wszedłem z miasta i ruszyłem w drogę.

Gdy tak szedłem, poczułem zmęczenie w nogach i zacząłem zadawać sobie pytania: „Cóż takiego jest w Yura? Jaki dowód mam nadzieję tam znaleźć i po co tak się męczę? Przecież tam jest tylko morze i bezludna plaża”.

Jednak moje stopy nie miały zamiaru się zatrzymać. Próbowałem dokąds dotrzeć. Dokądkolwiek. Nazwa miejsca, do którego szedłem, nie miała znaczenia. Zrodziła się we mnie nieomal niemoralna odwaga, by stanąć twarzą w twarz z tym, do czego dotrę, czymkolwiek by było.

Co pewien czas zza chmur wyglądały kapryśne promienie słońca, wielkie drzewa keyaki rosnące przy drodze zapraszały mnie pod swoje korony, przez które przesiewał się blask, lecz ja, sam nie wiedząc dlaczego, czułem, że nie mogę sobie pozwolić na odpoczynek i zwłokę.

Pejzaż wokoło nie przypominał łagodnie opadających zboczy, które zwykle towarzyszą zbliżaniu się do dorzecza dużej rzeki. Rzeka Yura nagle ukazała mi się pomiędzy górami. Woda była niebieska i choć rzeka była dość szeroka, płynęła powoli i bez przekonania ku morzu pod tym zachmurzonym niebem. Kiedy dotarłem do zachodniego brzegu rzeki, nie było tam już ani samochodów, ani ludzi. Przy drodze gdzieś znajdowały się sady z letnią odmianą mandarynek, ale nigdzie nikogo nie zauważyłem. W małej osadzie o nazwie Kazue usłyszałem nagle szelest rozgarnianej trawy, lecz zobaczyłem tylko pysk psa z czarną łatą koło nosa.

Wiedziałem, że ta okolica jest znana z tego, że są tu pozostałości dworu słynnego okrutnika Sanshō Dayū*. Ślady o nieco podejrzanym rodowodzie. Nie miałem ochoty tam wstępować, więc minąłem to miejsce, sam nie wiedząc kiedy. To dlatego, że wpatrywałem się jedynie w rzekę. Pośrodku znajdowała się duża wyspa otoczona gęstymi bambusowymi zaroślami. Mimo że na drodze, którą szedłem, nie było wiatru, na wyspie bambusowe zarośla były wiatrem przyginane do ziemi. Pomiędzy zaroślami, na środku wyspy znajdowało się mniej więcej jednohektarowe pole, nawożone wodą deszczową, lecz nigdzie nie było widać rolników. Widziałem tylko kogoś, kto zwrócony do mnie plecami stał z wędką, łowiąc ryby. Poczulem sympatię do tak dawno nie widzianej ludzkiej istoty. Chyba łowi kielbie. Jeśli tak, to ujście rzeki musi być niedaleko.

Wtedy szelest poruszanych wiatrem bambusów stał się głośniejszy niż szum rzeki i zdało się, że pada tam deszcz, który z drogi wyglądał na unoszącą się nad wyspą mgłę. Krople deszczu zabarwiły wyschnięty brzeg wyspy. Zanim się zorientowałem, krople zaczęły spadać i na mnie. Moknąc przyglądałem się wyspie. Tam deszcz już nie padał. Wędkarz stał tak jak przed chwilą, nawet się nie poruszywszy. Wkrótce deszczyk nade mną też ustał.

Na każdym zakręcie drogi kępy trzciny i kwitnących traw zasłaniały mi widok, jednak wiedziałem, że już niedługo zobaczę ujście, dlatego że do moich nozdrzy doleciał zimny, morski powiew. Gdy zbliżałem się do końca biegu rzeki Yura, ujrzałem jeszcze kilka opuszczonych wysp. Nurt rzeki niewątpliwie zbliżał się do morza i był już atakowany przez słoną morską wodę, ale powierzchnia wody stawała się coraz spokojniejsza i nic w niej nie przepowiadało nadchodzącej zmiany. Jak człowiek, który zemdlął i umiera nie odzyskując przytomności.

* Sanshō Dayū – okrutny bogacz z okolic Tango-Yura, temat wielu opowieści i sztuk teatralnych.

Ujście było nieoczekiwanie wąskie. Rozpościerające się morze niewyraźnie zlewało się z kłębami ciemnych chmur. Rzeka i morze stapiały się ze sobą, a jednocześnie się wzajemnie atakowały. Aby dotknąć morza, musiałem jeszcze kawałek iść ku temu silnemu wiatrowi nadlatującemu z południa i północy. Wiatr rysował swoje wzory na całej północnej stronie morza. To z powodu morza gwałtowny wiatr tak marnował się na tym pustkowiu. Morza pełnego pary, w którą spowita jest zima w tych stronach, rozkazującego, panującego niewidzialnego morza.

Za ujściem rzeki fale nakładały się wiele razy jedna na drugą i stopniowo odsłaniały rozpościerającą się tam szarą powierzchnię morza. Wyspa o kształcie przypominającym kapelusz unosiła się na wodzie naprzeciw ujścia rzeki. Była to wyspa Kanmuri, oddalona o trzydzieści kilka kilometrów. Znajdował się tam naturalny rezerwat chronionych ptaków – burzyków. Wszedłem na pole. Rozejrzałem się dokoła. Było to zupełnie pustkowie.

I wtedy nagle w moim sercu coś zamigotało. Coś, co miało znaczenie. Kiedy się zorientowałem, że tam jest, już zniknęło i przepadło. Stałem przez chwilę, ale zimny, smagający wiatr pozbawił mnie myśli. Znowu ruszyłem pod wiatr.

Nieurodzajne pola zmieniły się w kamieniste pustkowie, trawy były w połowie uschnięte, a jeszcze zielone źdźbła tylko przywierały bezładnie do ziemi jak mech, zwiędłe i poskręcane. Tutaj już wśród grudek ziemi zaczynał się pojawiać piasek.

Słychać było tępy, jakby drżący dźwięk. Usłyszałem ludzkie głosy. Usłyszałem je, gdy odruchowo odwróciłem się plecami do porywistego wiatru i spojrzałem na leżącą za mną górę Yuragatake. Poszukałem wzrokiem ludzi. Na plażę można było zejść ścieżką wykutą w niskiej skale. Zorientowałem się, że buduje się tam po trochu umocnienia, by zapobiec potężnej erozji. Gdzieniedzie walały się słupy betonu, wyglądające jak białe kości. Na tle piasku kolor betonu wydawał się dziwnie żywy. Ten tępy, drżący dźwięk, który

usłyszałem, był dźwiękiem obracającej się betoniarki, mieszającej cement wlewany do formy. Kilku robotników o bardzo czerwonych nosach podejrzliwie przyglądało się mojemu uniwersyteckiemu mundurowi. Spojrzałem na nich przelotnie. Do tego ograniczył się kontakt między ludźmi.

Morze opadało z plaży nagle, jak ściana moździerza. Gdy tak szedłem w stronę wody po piasku wyglądającym na granit, znowu ogarnęła mnie radość na myśl, że nieuchronnie, krok za krokiem zbliżam się ku temu znaczeniu, które przedtem zamigotało w moim sercu. Wiatr był zimny, a ponieważ nie miałem rękawiczek, ręce mi prawie zamarzły, ale nie zwracałem na to uwagi.

To było naprawdę prawdziwe morze zachodnich brzegów Japonii! Źródło wszystkich moich nieszczęść i ciemnych myśli, źródło mojej brzydoty i siły. Morze było wzburzone. Fale napływały bez przerwy jedna za drugą i tylko przez chwilę było widać gładką szarą otchłań pomiędzy tą falą a następną. Warstwy chmur na ciemnym oceanie nieba miały w sobie ciężar i jednocześnie delikatność. To znaczy, że nieograniczone, ciężkie zwały chmur kończyły się poszarpanymi brzegami, które wyglądały jak niezrównanie lekkie, chłodne piórka, a w ich wnętrzu pojawiał się błękit, tak bładny, że to mogło być jedynie złudzenie. Za morzem w kolorze ołowiu znajdowały się fioletowo-czarne góry przyłądka. Wszystko miało w sobie drżenie i bezruch, nieprzerwaną czarną siłę i jednocześnie twardość minerału.

Nagle przypomniałem sobie słowa Kashiwagiego, wypowiedziane przy naszym pierwszym spotkaniu. Kiedy powiedział, że w pogodny wiosenny popołudnie, siedząc na równo przystrzyżonych trawnikach, bezmyślnie przyglądając się, jak promienie słoneczne przesiane między drzewami wesoło kładą się na trawie – stajemy się nagle okrutni; właśnie w takich chwilach.

Teraz stałem przodem do fal i do północnego wiatru. Nie było ani pogodnego, wiosennego popołudnia, ani równo przystrzyżonego trawnika. Jednak ta dzika przyroda bardziej

przemawiała do mojego serca i była bliższa mojemu istnieniu niż trawniki w wiosenne popołudnia. Tutaj byłem samowystarczalny. Nic mi nie groziło.

Czy powinienem tak jak Kashiwagi powiedzieć, że myśl, która przyszła mi teraz do głowy, była okrutna? W każdym razie myśl ta zrodziła się we mnie nagle, odkryła znaczenie tego, co niedawno zamigotało w moim sercu, i jasno rozświetliła moje wnętrze. Jeszcze nie próbowałem się nad nią głęboko zastanowić, tylko czułem się przez nią uderzony, tak jakby uderzył we mnie piorun. Jednak ta myśl, która nigdy wcześniej nie przyszła mi do głowy, zaraz po swoim pojawieniu się zaczęła rosnąć i nabierać siły. To ona mnie spowiliła. A była następująca: „Muszę spalić Złotą Pagodę”.

Rozdział VIII

Potem znowu ruszyłem w drogę i dotarłem do dworca Tango-Yura na linii kolejowej Miyazu. W czasie wycieczki z gimnazjum we Wschodnim Maizuru jechaliśmy tą samą trasą i wracaliśmy z tego dworca. Przed dworcem nie było prawie nikogo i widać było, że miasteczko utrzymuje się tylko z ożywienia turystycznego w czasie krótkiego lata.

Postanowiłem zatrzymać się w małym hoteliku przed dworcem. Nad wejściem wisiał szyld „Yurakan – zajazd-kąpielisko”. Odsunąłem drzwi z matowego szkła, wszedłem do środka i zawołałem „Dzień dobry!”, ale nie było odpowiedzi. Na schodku był kurz, a wewnątrz panowała ciemność, gdyż okiennice były zamknięte i nigdzie nie było żywego ducha.

Poszedłem do tylnego wejścia. Znajdował się tam mały, skromny ogródek z wyschniętymi chryzantemami. Wysoko umieszczono zbiornik na wodę, z którego zwisał prysznic dla gości, powracających latem z plaży, by mogli splukać z siebie piasek.

Trochę dalej był niewielki dom, w którym najprawdopodobniej mieszkała rodzina właściciela. Zza zamkniętych szklanych drzwi dobiegał dźwięk radia. Ten niepotrzebnie głośny dźwięk brzmiał jakoś pusto i przez to jeszcze bardziej wydawało się, że nikogo tam nie ma. I rzeczywiście stojąc tak w przedpokoju wśród rozrzuconych drewnianych chodaków, czekałem na próżno, wołając, gdy tylko radio przestało na chwilę grać. Poczulem, że ktoś się za mną pojawił. Akurat wtedy, gdy zauważyłem, jak od słabego słońca przeświecającego przez zachmurzone niebo, pojaśniało drewno szafki na buty.

Była to tęga kobieta o białym ciele, które wydawało się wypływać ze swoich ram, i o oczach tak wąskich, że człowiek miał wątpliwości, czy naprawdę znajdują się na swoim miejscu. Spytałem o nocleg. Kobieta w milczeniu odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku zajazdu, nie mówiąc nawet, bym szedł za nią.

Dostałem niewielki narożny pokój na pierwszym piętrze, którego okna wychodziły na morze. Mały ogienek w grzejniku, który przyniosła kobieta, napełnił ten od dawna nie używany pokój dymem i uczynił panujący tu zapach pleśni trudnym do wytrzymania. Otworzyłem okno i wystawiłem ciało na północny wiatr. Nad morzem, tak samo jak przedtem, chmury ciągle prowadziły swoją nieśpieszną, poważną grę. Wydawało się, że chmury są odbiciem jakiegoś bezcelowego impulsu natury. Jednak w ich części widać było drobne niebieskie kryształki błyskotliwej inteligencji, skrawki błękitnego nieba. Morza nie było widać.

Stojąc przy oknie znowu zacząłem gonić poprzednie myśli. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego, zanim pomyślałem o spaleniu Złotej Pagody, nie wpadłem najpierw na pomysł zabicia opata. Ta myśl przemknęła mi przez głowę, lecz natychmiast zdałem sobie sprawę, jak bezcelowe byłoby to posunięcie. A to dlatego, że wiedziałem, że nawet jeśli go zabiję, to ta ogolona głowa i bezsilne zło będą bez końca pojawiać się nad ciemnym horyzontem.

Ogólnie mówiąc, żadne stworzenie obdarzone życiem nie posiadało tej dokładnej jednorazowości, którą miała Złota Pagoda. Ludziom dana jedynie była część wszelkich rzeczy należących do natury. Ludzie tylko rozprzestrzeniaли ją niezrównanymi sposobami i pomnażali. Jeśli celem morderstwa było zniszczenie czyjejs jednorazowości, to morderstwo jest wieczną pomyłką w obliczeniach. Myślałem o tym, że coraz wyraźniejszy jest kontrast pomiędzy istnieniem Złotej Pagody i człowieka. Z jednej strony łatwo zniszczalny człowiek przerodził się w wizję wiecznego życia, a z drugiej niszczalna piękność Złotej Pagody objawiła możliwość

zniszczenia. Niemożliwe jest wytępienie śmiertelnej ludzkości, jednak można zniszczyć coś niezniszczalnego, coś takiego jak Złota Pagoda. Dlaczego ludzie tego nie zauważają? Nie można było wątpić w moją oryginalność. Jeśli spalę Złotą Pagodę, którą pod koniec dziewiętnastego wieku uznano za skarb kultury narodowej, będzie to czyste zniszczenie, nieodwracalna ruina, będzie to niewątpliwe zmniejszenie ilości piękna, jakie ludzie stworzyli.

Kiedy tak myślałem, ogarnęła mnie nawet wesołość. Mówiłem sobie: – Jeśli spalę Złotą Pagodę, będzie to miało ogromne znaczenie. Ludzie nauczą się, że niezniszczalność przez analogię nie ma żadnego znaczenia. Zrozumieją, że fakt, iż Złota Pagoda, która tylko po prostu przetrwała, od pięciuset pięćdziesięciu lat stojąc nad brzegiem stawu Kyōkochi, nie stanowi żadnej gwarancji. Poznają niepokój, że nasze istnienie, oczywista przesłanka opierająca się na przetrwaniu Złotej Pagody, może choćby jutro zostać zniszczone.

Tak. Niewątpliwie nasze istnienie było utrzymywane dzięki temu, że przez określony czas otaczał je stężały czas. Weźmy taką szufladkę, którą stolarz buduje, by ułatwić prace domowe. Wraz z upływem lat czas przekracza formę tej szufladki i po kilkudziesięciu czy kilkuset latach wydaje się, jakby to właśnie czas stężał i przybrał jej formę. Pewna określona niewielka przestrzeń była najpierw ograniczona materialnym przedmiotem, ale potem zaczął ją ograniczać stężały czas. Jest to wcielenie pewnego rodzaju ducha. Na początku średniowiecznej bajki pod tytułem „Tsukumogamiki”^{*} jest napisane: „W zapiskach o siłach yin i yang”^{**} jest powiedziane, że przedmioty po stu latach zmieniają się w duchy i omamiają ludzi. Nazywa się to rokiem Tsukumogami, czyli

^{*} *Tsukumogamiki* – zapiski o duchach omamiających, XV w.

^{**} Yin, yang – podstawowa idea chińskiej filozofii metafizycznej, zgodnie z którą wszystko na świecie składa się z dwóch przeciwstawnych i uzupełniających się elementów: yin – żeńskiego, ciemnego, wilgotnego, zimnego i pasywnego, oraz yang – męskiego, jasnego, suchego, gorącego i aktywnego.

duchów omamiających. Dlatego ludzie co rok z początkiem wiosny wyrzucają z domu wszystkie stare przedmioty na ulicę, co nazywa się oczyszczaniem domu. I tak co sto lat dotyka ludzi klęska Tsukumogami”. W ten sposób mój czyn otworzy ludziom oczy na nieszczęście Tsukumogami i uratuje ich od niego. Mój czyn zepchnie świat, w którym istnieje Złota Pagoda, do świata, w którym Złota Pagoda nie będzie istniała. Znaczenie świata niewątpliwie się zmieni...

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej czułem, jak ogarnia mnie wesołość. Bliski był upadek i koniec tego świata, który mnie w tej chwili otaczał, a który widziałem przed sobą. Promienie zachodzącego słońca rozpościerały się wszędzie i świat, w którym Złota Pagoda stała lśniąc, nieuchronnie, chwila za chwilą opadał w tym blasku jak piasek przesypany się między palcami i spadający na ziemię.

* * *

Mój pobyt w zajezdzie Yura zakończył się po trzech dniach dzięki policjantowi, którego sprowadziła właścicielka, uznawszy moje zachowanie za podejrzane, kiedy przez trzy dni nie ruszyłem się z pokoju na krok. Gdy zobaczyłem policjanta w mundurze wchodzącego do pokoju, przestraszyłem się, że moje zamiary zostały odkryte, ale szybko zorientowałem się, że nie było powodu do takich obaw. W odpowiedzi na jego pytania, powiedziałem zgodnie z prawdą, że uciekłem, chcąc trochę odpocząć od życia w świątyni, pokazałem mu legitymację studencką i specjalnie w jego obecności zapłaciłem rachunek za pobyt. W rezultacie policjant stał się opiekuńczy. Od razu zadzwonił do Rokuonji, upewnił się, że moje zeznania nie miały się z prawdą, i powiedział, że odeskortuje mnie do świątyni. I aby nie zrujnować mojej „przyszłości”, specjalnie przebrał się w cywilne ubranie. Kiedy czekaliśmy na pociąg na dworcu Tango-Yura, zaczął kropić deszcz, więc peron, który nie był zadaszony, od razu zrobił się mokry. Policjant zabrał mnie do biura za-

wiadowcy stacji. Z wielką dumą chciał mi pokazać, że on i inni kolejarze to jego koledzy. W dodatku przedstawił mnie jako swojego siostrzeńca, który przyjechał w odwiedziny z Kioto.

Zrozumiałem psychologię rewolucjonistów. Ten prowincjonalny policjant i kolejarze, rozmawiający wesoło siedząc wokół piecyka, w którym buzował jasny ogień, nie mieli pojęcia, że w ich świecie nastąpi niebawem zmiana, że już wkrótce zniszczony zostanie porządek ich życia.

„Jeśli spłonie Złota Pagoda... jeśli spłonie Złota Pagoda, ich świat się przekształci, wszystkie zasady rządzące ich życiem staną na głowie, w rozkładzie jazdy pociągów powstanie zamieszanie, ich prawa stracą moc...”. Bawili mnie, bo tak zupełnie nie zdawali sobie sprawy, że obok nich, z niewinną miną, wyciągając ręce w stronę piecyka, znajduje się przyszedły przestępca. Młody wesoły kolejarz głośno opowiadał wszystkim o filmie, który chce obejrzeć, kiedy będzie miał wolny dzień. Był to ponoć wspaniały, wzruszający film, w którym nie brakowało też scen walki. W następnym wolnym dniu pójdzie do kina! Ten młodzieńczy, żywy chłopak, o wiele bardziej dziarski ode mnie, w następnym wolnym dniu pójdzie do kina, prześpi się z kobietą i potem pójdzie spać. Bez przerwy żartował z zawiadowcy, mitygowany przez kolegów opowiadał dowcipy, a jednocześnie cały czas pracowicie dokładał do ognia i pisał jakieś liczby na tablicy. Znowu czar życia, czy też zazdrość o życie innych, próbowały wziąć mnie w posiadanie. Mogłem też, nie paląc Złotej Pagody, opuścić świątynię, powrócić do świeckiego świata i tak zakopać się w normalnym życiu.

Jednak ciemne siły od razu odżyły i zabrały mnie ze sobą. Muszę spalić Złotą Pagodę. I wtedy prawdopodobnie znacznie się moje nowe życie, o jakim nikt dotychczas nie słyszał, życie przygotowane specjalnie dla mnie.

Zawiadowca odebrał telefon. Wkrótce podszedł do lustra i starannie nałożył czapkę mundurową ze złotym otokiem. Odchrząknął, wypiął pierś i wyszedł na mokry peron, jakby

udawał się na defiladę. Wkrótce usłyszałem, jak mój pociąg nadjeżdża z hukiem po wykutych w skale szynach. Ze świeżym, mokrym hukiem odbijającym się od zmoczonych deszczem skał.

* * *

Dotarłszy do Kioto dziesięć po ósmej, stanąłem przed główną bramą Rokuonji z odprowadzającym mnie policjantem w cywilu. Noc była chłodna. Gdy wyszliśmy spomiędzy ciągu ciemnych pni sosnowego zagajnika i zbliżyła się ku nam nieustępliwa sylwetka głównej bramy, ujrzałem stojącą tam matkę. Matka przypadkiem stanęła obok tamtej tablicy z napisem, że „osoby łamiące powyższe zakazy zostaną ukarane zgodnie z prawem”. W blasku światła przy bramie jej rozczochrane włosy wyglądały tak, jakby każdy siwy włos stał do góry. Włosy matki nie były aż tak siwe, ale wyglądały tak dzięki odbitemu światłu lampy. Jej otoczona włosami drobna twarz zdawała się nieruchoma.

Matka była raczej drobna, ale wydawała mi się dziwnie spuchnięta i olbrzymia. Za jej plecami w otwartej bramie rozciągała się ciemność frontowego dziedzińca. I tak z tą ciemnością w tle jej postać odziana w zniszczone, nędzne kimono przepasane najlepszym, znoszonym pasem obi haftowanym złotą nicią, wyglądała jak martwa.

Wahałem się, czy się do niej zbliżyć. Byłem zaskoczony obecnością matki tutaj. Jak mi później powiedziano, gdy opat usłyszał o mojej ucieczce, próbował dowiedzieć się czegoś od matki. Matka bardzo się zdenerwowała, przyjechała do Rokuonji i została.

Policjant popchnął mnie w plecy. Im bardziej się zbliżałem, tym bardziej malała sylwetka matki. Jej twarz była poniżej mojego wzroku i brzydko wykrzywiona wznosiła ku mnie oczy.

Instykt zwykle mnie nie mylił i teraz, kiedy patrzyłem na małe, głęboko osadzone, chytre oczy matki, ponownie

uświadomiłem sobie, że moja nienawiść do niej była uzasadniona. Irytująca nienawiść, że to ona mnie urodziła, poczucie tego głębokiego upokorzenia... jak na ironię to one oddzieliły mnie od matki, co, jak już wcześniej wspomniałem, nie kazało mi planować zemsty. Jednak więzy pozostały.

Widząc teraz matkę pogrążoną w matczynym żalu, nagle poczułem się wolny. Nie wiem, dlaczego, ale poczułem, że zupełnie nie może już mi zagrozić. Rozległ się głośny, pełen męki płacz. I nagle jej ręka wyciągnęła się ku mnie i wymierzyła mi słaby policzek.

– Ty niedobry synu! Niewdzięczniku!

Policjant przyglądał się, jak matka mnie uderza. Jej palce w locie rozpostarły się, straciły siłę i tylko paznokcie uderzyły o mój policzek jak grad. Zobaczyłem, że nawet gdy mnie biła, jej oczy nie straciły błagalnego wyrazu, i odwróciłem wzrok. Po chwili matka zmieniła ton.

– Tak daleko... tak daleko pojechałeś. Skąd miałeś pieniądze?

– Pieniądze? Pożyczyłem od kolegi.

– Naprawdę? Nie ukradłeś?

– Nie ukradłem.

Jakby to było jej jedyne zmartwienie, odetchnęła z ulgą.

– Ach tak... I nic złego nie zrobiłeś.

– Nie.

– Aa, no to dobrze. Będziesz musiał szczerze przeprosić ojca opata. Ja już go przeproszałam, ale teraz ty musisz iść przeprosić i z całego serca prosić o przebaczenie. Opat ma wielkie serce i myślę, że tak to zostawi, ale jeśli nie odmienisz swojego serca, to zabijesz matkę. Naprawdę. Jak nie chcesz, żeby matka umarła, musisz się zmienić. I zostać ważnym nunichem... no, ale najpierw musisz przeprosić.

W milczeniu poszliśmy za matką, ja i policjant. Matka zapomniała nawet przywitać się z policjantem.

Przyglądając się pokrytym wymiętym pasem plecom idącej drobnymi kroczkami, płaczącej matki, zastanawiałem się, co czyni ją tak brzydką. Brzydką czyniła ją... nadzieja.

Nadzieja wilgotna, lekko czerwona, bez przerwy śwędząca, nigdy się nie poddająca, nadzieja jak uparty świerzb, który zagnieździł się w brudnej skórze, nieuleczalna nadzieja.

* * *

Nadeszła zima. Coraz bardziej utwierdzałem się w moim postanowieniu. Ciągłe odkładałem jego realizację, ale to odkładanie wcale mi się nie znudziło. Poza tym przez pół roku martwiło mnie teraz co innego. Pod koniec każdego miesiąca Kashiwagi domagał się zwrotu długu, zawiadamiał mnie, o ile wzrasta suma powiększona o procenty, i naciskał wymyślając mi. Jednak ja nie miałem już ochoty zwracać mu pieniędzy. Aby nie spotykać się z Kashiwagim, wystarczyło nie iść na Uniwersytet. Proszę się nie dziwić, że nie opowiadam o tym, jak raz podjąwszy decyzję, potem zacząłem mieć wątpliwości i zmieniałem zdanie w tę i z powrotem. Nie mówię o tym dlatego, że ta moja skłonność do wahania się należała do przeszłości. Przez te pół roku moje oczy ani drgnęły wpatrzony w jeden punkt w przyszłości. W tym czasie prawdopodobnie zrozumiałem znaczenie szczęścia.

Po pierwsze moje życie w świątyni stało się łatwiejsze. Kiedy myślałem, że Złota Pagoda i tak spłonie, nawet rzeczy trudne stawały się łatwe do zniesienia. Czuję sympatię w stosunku do wszystkich w świątyni, jak człowiek, który przeczuwa śmierć. Stałem się uprzejmiejszy i starałem się być zgodny w każdej sprawie. Żyłem nawet w zgodzie z naturą. Bliskie były mi piórka na brzuszkach ptaszków, które w zimowe poranki skubały owoce pozostałe na ostrokrzewie.

Zapomniałem nawet o mojej nienawiści do opata! Uwolniłem się od matki, od kolegów, od wszystkiego. Nie byłem jednak na tyle głupi, by mieć złudzenie, że to nowe codzienne poczucie zadowolenia jest wynikiem przeobrażenia świata, którego udało mi się dokonać, nie kiwnąwszy nawet palcem. Wszystko jest wybacalne, jeśli spojrzeć na to od strony zakończenia. Wyrobić sobie oczy, które będą umiały

spojrzeć na wszystko od strony zakończenia, i wyrobić poczucie, że decyzja, by nastąpiło to zakończenie, leży w mojej mocy – oto co znajdowało się u podstaw mojej wolności.

Choć zrodzona tak nagle, myśl, by spalić Złotą Pagodę, przylgnęła do mnie całkowicie i dokładnie jak ubranie szyte na miarę. Tak jakbym planował to od urodzenia. Wydawało mi się, że ta myśl rozwijała się w moim ciele od dnia, kiedy pierwszy raz ujrzałem Złotą Pagodę będąc tu z ojcem, i tylko czekała, by rozkwitnąć. W samym fakcie, że Złota Pagoda wydawała się młodemu chłopcu niezwykle piękna, kryły się różne przyczyny, dla których został on podpalaczem.

Siedemnastego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku ukończyłem kurs przygotowawczy na Uniwersytecie Ōtani. W dwa dni później, dziewiętnastego były moje urodziny i skończyłem dwadzieścia jeden lat. Moje wyniki po trzech latach studiów były imponujące. W nieobecnościach zająłem siedemdziesiąte dziewięte miejsce wśród siedemdziesięciu dziewięciu studentów. Spośród przedmiotów najgorszy byłem z języka ojczystego – czterdzieści dwa punkty na sto. Z sześciuset szesnastu godzin zajęć opuściłem dwieście osiemnaście, czyli ponad jedną trzecią. Jednak z powodu buddyjskiej idei miłosierdzia w Uniwersytecie Ōtani nie można było nie zdać na następny rok, tak więc promowano mnie na kurs główny. Opat przyjął to do wiadomości w milczeniu.

Zaniedbywałem zajęcia i spędziłem piękne dni późnej wiosny i początki lata na nie wymagającym pieniędzy zwiedzaniu świątyń buddyjskich i chramów shintoistycznych. Chodziłem tak daleko, jak mogłem. Pamiętam pewne wydarzenie, które miało miejsce jednego z tych dni.

Szedłem drogą prowadzącą przed świątynią Myōshinji*. Nagle zauważyłem przed sobą studenta idącego w tym sa-

* Myōshinji – główna świątynia szkoły Myōshinji sekty rinzai w Kioto, zwana też Górą (= Świątynią) Prawdziwego Prawa (Shōbōzan), założona przez cesarza Hanazono (XIV w.); odbudowana przez Hideyoshiego (XVI w.); jest skarbnicą zabytków.

mym tempie co ja. Kiedy wstąpił do sklepiku, ozdobionego niskim starym okapem, by kupić papierosy, zauważyłem jego profil pod studencką czapkę. Był to ostry, biały profil ze zrosniętymi brwiami i zauważyłem, że czapka jest z Uniwersytetu Kioto. Kątem oka zerknął na mnie. Jego spojrzenie przypłynęło do mnie jak gęsty cień. I wtedy instynktownie poczułem, że na pewno jest podpalaczem.

Była trzecia po południu. Czas zupełnie nieodpowiedni na podpalanie. Motyl, zagubiony na tej asfaltowej ulicy, którą kursowały autobusy, krążył wokół samotnego kwiatu kamelii przed sklepikiem z papierosami. Zwiędła część białej kamelii wyglądała jak spalona brązowym ogniem. Autobus nie nadjeżdżał i wydawało się, że czas się na tej ulicy zatrzymał.

Nie wiem, dlaczego czułem, że ten student posuwa się krok za krokiem ku podpaleniu. On po prostu wyraźnie wyglądał na podpalacza. Specjalnie wybrałszy biały dzień, porę najtrudniejszą dla podpalacza, powoli szedł, by dokonać tego, co twardo zaplanował. U jego celu był ogień i zniszczenie, za sobą miał porządek, który odrzucił. Czułem to w jego jakże surowych plecach okrytych mundurem. Być może już wcześniej wyobrażałem sobie, że tak właśnie powinny wyglądać plecy młodego podpalacza. Te pokryte czarną serżą, oświetlone słońcem plecy były pełne złowieszczych gniewu.

Zwolniłem i postanowiłem go śledzić. I gdy tak szedłem, zaczęło mi się zdawać, że jego widziana z tyłu sylwetka z lekko opuszczonym lewym ramieniem jest moją własną, widzianą z tyłu, sylwetką. Był o wiele bardziej urodziwy ode mnie, lecz nie miałem wątpliwości, że ta sama samotność, to samo nieszczęście, te same pomieszane myśli na temat piękna popychały go do takiego samego czynu. I gdy tak za nim szedłem, sam nie wiem, kiedy zaczęło mi się wydawać, że z wyprzedzeniem będę świadkiem mojego własnego czynu.

Takie rzeczy mogą się zdarzyć w wiosenne popołudnia od nadmiaru światła i rozleniwienia unoszącego się w powietrzu. Rozdzieliłem się – moje drugie ja teraz imitowało mój przyszły czyn i pokazywało mi wyraźnie, jak będę wyglądał,

gdy zdecyduję się go popelnić, gdyż wtedy sam nie będę mógł siebie zobaczyć.

Autobusy nie jeździły, na ulicy nie było nikogo. Wielka Południowa Brama świątyni Myōshinji zbliżała się, rosła... Szeroko otwarta brama wyglądała, jakby pochłonęła wszystkie zjawiska. Stąd w tej wspaniałej ramie bramy widziałem nakładające się na siebie kolumny Bramy Cesarskich Posłańców i Głównej Bramy, dachówki buddyjskiego sanktuarium, liczne sosny, do tego wyraźnie wycięty fragment nieba, a także blade skrawki chmur. Im bardziej zbliżałem się do bramy, tym więcej pojawiało się w jej ramie: bruk na rozległym dziedzińcu świątyni biegnący wzdłuż i w poprzek, liczne mury pagody i inne rzeczy. A kiedy przejdzie się przez bramę, rozumie się, że ta tajemnicza brama zawiera w sobie całe niebo i wszystkie chmury. Wielkie świątynie mają to do siebie.

Student przeszedł przez bramę. Obszedł Bramę Cesarskich Posłańców dookoła i zatrzymał się nad brzegiem stawu lotosowego przed Główną Bramą. Później stanął na kamiennym chińskim mostku biegnącym ponad stawem i spojrzął na wznoszącą się bramę. Zamierza ją podpalić – pomyślałem. Była to imponująca brama i bardzo dobrze wyglądałaby spowita płomieniami. W takie jasne popołudnie prawdopodobnie nie będzie widać ognia. Owinie ją wielki słup dymu i choć niewidoczne płomienie będą lizaly niebo, będzie to można poznać po tym, jak niebo lekko się wygnie i zacznie drżeć.

Ponieważ student zbliżył się do bramy, ja obszedłem ją od wschodu i obserwowałem go stamtąd, nie chcąc, by mnie zauważył. Był to czas powrotu do świątyni mnichów zbierających ofiary. Właśnie trzech z nich wracało. Szli obok siebie brukowaną ścieżką w słomianych sandałach i z miseczkami w rękach. Nieśli słomiane kapelusze. Zgodnie z regułą mnichów zbierających ofiary, aż do czasu powrotu do celi patrzyli tylko o kilka kroków przed siebie i nie rozmawiali ze sobą. W ciszy przeszli przede mną, skręcili w prawo i zniknęli.

Student ciągle jeszcze się wahał, sięstojąc koło bramy. W końcu oparłszy się o kolumnę, wyjął z kieszeni kupione przed

chwila papierosy. Niespokojnie rozejrzal sie dookol. Zapewne podlozy ogien pod pretekstem zapalania papierosa, pomyslam. I rzeczywiscie, wlozyl papierosa do ust, pochylil glowe i zapalil zapalkę. Płomyk na chwile zablysnal malym, przezroczystym swiatelkiem. Pomyslalem, ze nie mogl widziec tego plomyczka, a to dlatego, ze popoludniowe slonce akurat spowilo brame z trzech stron i tylko strona, po ktorej ja sie ukrywalem, byla zacieniona. Ogienek w poblizu twarzy studenta, opierajacego sie o kolumnę bramy nad stawem lotosowym, przez krótką chwile ukazal sie jak babelek ognia. Potem zniknal, zgaszony gwałtownym potrzásnięciem ręki.

Student nie wygladal na usatysfakcjonowanego samym tylko zgaszeniem zapalki. Rzucil ja na kamienna podmurówkę i starannie rozdeptal podeszwa. Z widoczną przyjemnością palac papierosa, niepomny na moje rozczarowanie przeszedl przez mostek obok Bramy Cesarskich Poslanców. Szedl powoli az do Poludniowej Bramy, przez ktora bylo widać rząd domów przy duzej ulicy rzucajacych wydłużone cienie.

Nie byl wcale podpalaczem, tylko studentem, ktory wyszedl sobie na spacer. Prawdopodobnie troche znudzonym, dosyc biednym mlodym chłopakiem.

Mnie, ktory ogladalem to wszystko dokladnie, ten jego lek, kiedy tak niespokojnie rozgladal sie dookol, chcac jedynie zapalic papierosa, a nie podpalic brame, ta mala studencka radość z robienia czegos niedozwolonego, sposob, w jaki starannie rozdeptywal i tak juz zgaszona zapalkę, a szczegolnie jego „kulturalne wychowanie”, to wszystko mi sie nie podobalo. Dzieki takiemu niewydarzonemu wychowaniu ten malý ogienek byl pod nadzorem. Student byl prawdopodobnie dumny z tego, ze jest strózem tej zapalki, czujnym strózem ognia dla społeczeństwa.

Dobrodziejstwem wynikajacym z takiego wychowania bylo to, ze od Restauracji Meiji* swiatynie w Kioto i jego

* Restauracja Meiji – w zasadzie pokojowa rewolucja; w 1868 r. przywrócila władzę cesarzowi i zapocztkowala modernizację Japonii.

okolicach prawie wcale nie ginęły w pożarach. Jeśli nawet czasem zdarzał się pożar, ogień zostawał natychmiast podzielony i opanowany. Przedtem nigdy tak nie bywało. Świątynia Chion'in spłonęła w roku tysiąc czterysta trzydziestym pierwszym, a potem wiele jeszcze razy ucierpiała od ognia. Główny budynek świątyni Nanzenji, Pawilon Rytualny, Pawilon Diamentowy, Pustelnia Wielkich Chmur i inne budynki spłonęły w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym trzecim. Świątynia Enryakuji obróciła się w popiół w tysiąc pięćset siedemdziesiątym pierwszym. Świątynia Kenninji dotknięta została ogniem wojny w tysiąc pięćset pięćdziesiątym drugim. Sanjūsangendō zginęło w płomieniach w tysiąc dwieście czterdziestym dziewiątym. Świątynia Honnōji zginęła w pożodze wojennej w roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym drugim*.

W tamtych czasach pożary były sobie bliskie. Nie były dzielone na kawałki i pogardzane. Ogień zawsze wyciągał dłoń ku kolejnemu ogniewi i niezliczone ognie mogły się zreszać. W wypadku ludzi prawdopodobnie było tak samo. Ogień mógł zewsząd zawołać inny ogień i jego głos od razu docierał na miejsce. Dawniej wszystkie pożary uważano za

* Chion'in – główna świątynia sekty jōdoshū (Czystej Ziemi) w Higashiyama-ku w Kioto; założona w 1175 r. przez Hōnena; budowę ukończył jego uczeń Genchi w 1234. Nanzenji – główna świątynia szkoły Nanzenji sekty rinzai w Sakyō-ku, jedna z pięciu wielkich świątyń zen w Kioto; początkowo rezydencja byłego cesarza Kameyamy, w 1291 r. przekształcona w świątynię. Enryakuji – główna świątynia i klasztor sekty tendai na górze Hiezan w Kioto; założona przez Saichō w 788 r.; tę nazwę nadał jej cesarz Saga po śmierci Saichō w 823; miała własne oddziały zbrojne, jej mnisi brali udział w wojnach domowych; w 1571 spalona przez Odę Nobunagę. Kenninji – główna świątynia szkoły Kenninji sekty rinzai w Higashiyama-ku, jedna z pięciu wielkich świątyń zen w Kioto; wzniesiona przez Minamoto Yorie w 1202. Sanjūsangendō – popularna nazwa świątyni Rengeōin sekty tendai w Higashiyama-ku w Kioto; zbudowana w 1164 r. przez Tairę Kiyomoriego dla byłego cesarza Goshirakawa; mieści się w niej 1001 posągów sturękiej bogini Kannon. Honnōji – główna świątynia sekty hokke honmon w Nakagyō-ku w Kioto; założona w 1415 r. przez Nichiryū.

spowodowane nieuwagą, rozprzestrzenieniem się ognia lub pożogą wojenną, a dlatego nie ma żadnych historycznych zapisków dowodzących podpalenia, że nawet jeśli w dawnych czasach był ktoś taki jak ja, to wystarczyło, by wstrzymał oddech, ukrył się i cierpliwie poczekał. Prędzej czy później wszystkie świątynie płonęły. Ogień był obfity i niepowstrzymany. Trzeba było tylko zaczekać, aż ogień, który tylko czyhał na okazję, zerwie się, połączy dłonie z innymi ogniami i osiągnie to, co trzeba. Złota Pagoda jedynie cudem uniknęła ognia. Ognie wybuchały naturalnie, zniszczenie i negacja były normalną rzeczą, wielkie świątynie buddyjskie musiały się spalić, buddyjskie zasady i prawa surowo rządziły na ziemi. Nawet jeśli zdarzyło się podpalenie, za bardzo przemawiało do wszelkich sił ognia, by historycy nawet pomyśleli o podpaleniu.

W tamtych czasach świat był pełen niepokoju. Lecz teraz, w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, niepokój na ziemi nie ustępował tamtemu. Jeśli więc wtedy świątynie płonęły w wyniku niepokoju, dlaczego teraz nie miałyby spłonąć Złota Pagoda?

* * *

Choć unikałem wykładów, czasami chodziłem do biblioteki i pewnego dnia w maju spotkałem Kashiwagię, którego starałem się unikać. Widząc, że próbuję go unikać, dogonił mnie z zainteresowaniem na twarzy. Pomyślałem, że jeśli pobiegnę, on nie będzie mnie mógł dogonić na tych swoich koślawych stopach, i ta myśl powstrzymała mnie.

Kashiwagi próbował złapać oddech, trzymając mnie za ramię. Było chyba koło pół do szóstej. Zajęcia już się skończyły. Aby nie spotkać się z nim po wyjściu z biblioteki, szedłem dróżką na tyłach budynku uniwersytetu, która dalej wiodła między barakami z salami wykładowymi po zachodniej stronie a wysokim kamiennym murem. Rosły tu dzikie chryzantemy, a wśród nich walały się papiery i puste butelki. Dzieci,

które się tu wślizgnęły, grały w piłkę. Ich hałaśliwe głosy podkreślały, jak puste były klasy po zajęciach, z rzędami pokrytych kurzem ławek, widocznymi przez wybite szyby.

Przeszedłem tamtędy, wyszedłem na zachodnią stronę głównego budynku i zatrzymałem się przed małym budynkiem z napisem „Pracownia”, używanym przez klub ikebany. Rząd drzew kamforowych, górujących nad kamiennym murem, przepuszczał promienie zachodzącego słońca na dach budynekczku i drobne cienie liści padały na ścianę z czerwonej cegły. Cegła, oblewana zachodzącym słońcem, lśniła.

Próbując złapać oddech, Kashiwagi oparł się o tę ścianę. Opadające na jego wychudłą twarz cienie szeleszczących liści zabarwiły ją i wypełniły dziwnym ruchem. A być może to tylko nie pasująca do niego czerwona cegła sprawiała takie wrażenie.

– Pięć tysięcy sto jenów – powiedział. – Na koniec maja to będzie pięć tysięcy sto jenów. Z twojej własnej winy, będzie ci coraz trudniej zwrócić.

Wyjął mój weksel z kieszeni na piersi, gdzie zawsze go nosił, rozwinął i pokazał mi. Ale potem, jakby bojąc się, że wyciągnę rękę i podrę weksel, pośpiesznie złożył go i znowu wsadził do kieszeni, a w moich oczach pozostało tylko wrażenie jaskrawoczerwonego odcisku palca. Odcisk mojego palca wyglądał strasznie ponuro.

– Zwróć mi szybko pieniądze. Tak będzie lepiej dla ciebie. Możesz użyć na to pieniędzy na chesne albo coś takiego.

Milczałem. Czyżbym miał obowiązek zwrócić pieniądze, nawet jeśli zbliża się zagłada świata? Nęciła mnie myśl, by choć trochę zasugerować to Kashiwagiemu, ale powstrzymałem się.

– Niczego się nie dowiem, jeżeli będziesz tak milczał. Wstydzisz się jąkania? Ciągle jeszcze? Nawet ona wie, że jesteś jąkałą, nawet ona – uderzył pięścią w oświetloną zachodzącym słońcem ścianę z czerwonej cegły. Jego pięść zabarwiła się brązową czerwienią. – Nawet ta ściana wie. W całej szkole nie ma nikogo, kto by nie wiedział.

Dalej jednak przeciwstawiałem mu się milcząco. Akurat wtedy piłka, w którą grały dzieci, rzucona krzywo upadła między nami. Kashiwagi schylił się, chcąc ją podnieść i odrzucić. Wtedy ogarnęła mnie złośliwa ciekawość. Chciałem zobaczyć, jak jego koślawe stopy poruszają leżącą trzydzieści centymetrów przed nim piłkę, aby mógł ją schwycić w dłonie. Nieświadomie moje oczy skierowały się ku jego stopom. Kashiwagi zauważył to nieprawdopodobnie szybko. Wyprostował się w momencie, gdy jeszcze nie można nawet było powiedzieć, że się schylił, a w oczach miał nienawiść pozbawioną zwykłego chłodu. Dziecko zbliżyło się bojaźliwie, zabrało leżącą między nami piłkę i uciekło. W końcu Kashiwagi odezwał się:

– Dobra. Jeśli ty tak postępujesz, to i ja sobie poradzę. Zanim pojedę do domu w przyszłym miesiącu, odbiorę od ciebie tyle, ile się da. Przygotuj się na to.

* * *

Gdy nadszedł czerwiec, coraz mniej było ważnych wykładów i studenci przygotowywali się do powrotu do domu na wakacje. Zdarzyło się to dziesiątego czerwca. Nigdy nie zapomnę tej daty.

Deszcz, który padał bez przerwy, pod wieczór zmienił się w ulewę. Po wieczery czytałem książkę w swoim pokoju. Koło ósmej usłyszałem kroki zbliżające się do Wielkiej Biblioteki od strony Sali Przyjęć. Opat, który wyjątkowo nigdzie tego wieczora nie wyszedł, najwyraźniej miał gościa. Jednak odgłos tych kroków był dziwny, przypominał odgłos deszczu nierównomiernie uderzającego o deski podłogi. Kroki prowadzącego gościa akolity były ciche i regularne, lecz kroki gościa, choć zmuszały stare deski korytarza do dziwnego skrzypienia, były dość powolne.

Dźwięk deszczu wypełniał ciemne dachy Rokuonji. Deszcz lał się strumieniami na starą wielką świątynię i wypełniał sobą noc w niezliczonych, pustych, pachnących ple-

śnia pomieszczeniach. I w kuchni, i w pokoju diakona, i w Sali Przyjęć słychać było jedynie deszcz. Pomyślałem o deszczu, który wziął w posiadanie Złotą Pagodę. Lekko otworzyłem papierowe okno mojego pokoju. Niewielki, wypełniony kamieniami dziedziniec był pełen wody i widać było czarny, lśniący kręgosłup wody biegnący od kamienia do kamienia. Nowy akolita przyszedł z pokoju opata i wsadzwszy tylko głowę do mojego pokoju, powiedział:

– Student, który nazywa się Kashiwagi, przyszedł do Mistrza. Czy to nie twój kolega?

Nagle ogarnął mnie niepokój. I gdy ten akolita, który w dzień był nauczycielem w szkole podstawowej i nosił okulary krótkowidza, chciał wyjść, zacząłem go zatrzymywać i zaprosiłem do środka. Wyobrażałem sobie najróżniejsze rzeczy na temat rozmowy przebiegającej w Wielkiej Bibliotece i nie mogłem znieść myśli, że będę sam w pokoju.

Upłynęło kilka minut. Usłyszałem głos dzwonka z pokoju opata. Mimo deszczu dzwonek odezwał się przenikliwie i dumnie, a potem nagle ucichł. Patrzyliśmy na siebie.

– Ciebie wzywa – powiedział nowy akolita. Podniosłem się z wielkim trudem.

Na biurku opata leżał rozłożony weksel z odciskiem mojego palca. Klęczałem na korytarzu. Opat podniósł weksel za jeden róg i pokazał mi.

– To jest na pewno twój odcisk palca, tak?

– Tak – odpowiedziałem.

– Więc narobiłeś sobie kłopotu. Pamiętaj, że jeżeli jeszcze raz zrobisz coś takiego, nie będę mógł cię zatrzymać w świątyni. Wiele innych... – zaczął i przerwał ze względu na obecność Kashiwagiego. – Ja zwrócę te pieniądze. Możesz odejść.

Gdy to mówił, udało mi się zerknąć na Kashiwagiego. Siedział ze skromną, poważną miną. Tak jak się spodziewałem, unikał mojego wzroku. Kiedy postępował źle, miał wyraz wielkiej czystości, jakby bez jego wiedzy wyrwano sedno jego charakteru. Tylko ja o tym wiedziałem.

Wróciłem do swojego pokoju i nagle poczułem się uwolniony, wśród tego gwałtownego szumu deszczu, w tej samotności. „Nie będę mógł cię zatrzymać w świątyni”, powiedział opat. Po raz pierwszy usłyszałem z ust opata takie słowa. Jakby złożył mi obietnicę. Nagle sytuacja stała się jasna. Opat już planował wyrzucenie mnie. Muszę się pospieszyć z wykonaniem mojego zamiaru.

Gdyby Kashiwagi nie postąpił tak dzisiaj wieczorem, nie miałbym okazji usłyszeć tych słów od opata i być może moja decyzja znowu zostałaby odłożona. Gdy pomyślałem, że to właśnie Kashiwagi dał mi siłę do przekroczenia tej bariery, poczułem dziwną wdzięczność w stosunku do niego.

Nie wyglądało na to, żeby deszcz miał przestać padać. Choć był to czerwiec, było chłodno i otoczony drewnianymi przesuwanymi drzwiami pięciomatowy składzik w świetle słabej żarówki wyglądał posępnie. To moje mieszkanie, z którego być może niebawem zostaną wyrzucony. Nie było tu żadnicy ozdób, a słomiane maty zmieniły kolor ze starości. Ich czarne obszycia były podarte, powykręcane i spod spodu wystawały sztywne nici. Kiedy wchodząc do ciemnego pokoju zapalałem światło, moje stopy często zaczęły o matę, ale nie próbowałem jej naprawić. Mój zapal życiowy nie miał związku z takimi rzeczami jak słomiane maty.

Wraz ze zbliżaniem się lata ta pięciomatowa przestrzeń wypełniała się cierpkim zapachem mojego ciała. To zabawne, że choć byłem mnichem, moje ciało miało zapach ciała młodzieńca. Ten zapach przeniknął do wnętrza szerokich, czworokątnych kolumn błyszczących starą czernią, do wnętrza drewnianych drzwi i one teraz wydzielaly z powierzchni drewna pokrytego patyną lat nieprzyjemny zapach młodego, żywego stworzenia. Te kolumny i drzwi zmieniły się w nieruchome, żywe stworzenia wydzielające surowy rybi zapach.

Wtedy te same dziwne kroki zbliżyły się. Wstałem i wyszedłem na korytarz. Stał tam Kashiwagi, mając za plecami sosnę-okręt oświetloną blaskiem padającym z dalekiego

pokoju opata, która wysoko wznosiła swój dziób w mokrym, ciemnym ogrodzie. Stał wrośnięty w ziemię jak jakiś mechanizm, który nagle się zatrzymał. Uśmiechnąłem się. Ku mojej satysfakcji, na ten widok na twarzy Kashiwagiego po raz pierwszy odmalowało się uczucie podobne do strachu.

– Nie wstąpisz do mnie? – zapytałem.

– To ty! Przestraszyłeś mnie. Dziwny z ciebie człowiek.

Kashiwagi jakby się kulił tym swoim powolnym sposobem, usiadł w końcu bokiem na cienkiej poduszce, którą mu podsunąłem. Podniósł głowę i rozejrzał się po pokoju. Na dworze dźwięk deszczu osłaniał wszystko grubą kurtyną. Wśród plusku w mokrym ogrodzie, co pewien czas było słyhać krople tu i tam uderzające o pokryte papierem okna.

– No, nie gniewaj się. To w końcu twoja własna wina, że musiałem się uciec do takiego sposobu. No i na tym koniec – Kashiwagi wyciągnął z kieszeni kopertę z pieczęcią Rokuonji i policzył znajdujące się w niej banknoty. Były tam tylko trzy tysiące w nowiutkich banknotach, które drukowano dopiero od początku tego roku.

– Ładne banknoty, prawda? Opat bardzo dba o czystość i diakon co trzy dni chodzi do banku wymieniać drobne na banknoty – powiedziałem.

– Popatrz! Tylko trzy. Twój opat jest powściągliwy. Mówi, że nie uznaje pożyczania na procent między studentami. A sam tyle zarabia.

To nieoczekiwane rozczarowanie Kashiwagiego sprawiło mi wielką przyjemność. Roześmiałem się serdecznie i Kashiwagi mi zawtórował. Jednak po tej krótkiej chwili porozumienia Kashiwagi przestał się śmiać i patrząc gdzieś na moje czoło powiedział, jakby odpychając mnie:

– Ja wiem, co się dzieje. Jakoś ostatnio masz destrukcyjne pomysły.

Z trudem wytrzymałem jego ciężki wzrok. Jednak pomyślałem, że słowo „destrukcyjny” w jego rozumieniu było bardzo dalekie od tego, co ja planowałem, i udało mi się znowu uspokoić. Wcale się nie zająknąłem odpowiadając.

– Nie... wcale nie.

– Ach tak. Dziwny z ciebie facet. Jesteś najdziwniejszym facetem, jakiego znam.

Zrozumiałem, że te słowa były odpowiedzią na niewielki, przyjazny uśmiezek, który nie znikał z moich warg, a teraz naturalnie się poszerzył, gdy poczułem pewność, że Kashiwagi nie zrozumie znaczenia tej wdzięczności, którą w sobie czułem. I następnie zadałem zwykłe pytanie, jakie mogłoby paść między przyjaciółmi.

– Już niedługo wracasz do domu na wakacje?

– Mhm. Mam zamiar jutro wyjechać. Lato w Sannomiya. Tam też jest nudno.

– To teraz się przez dłuższy czas nie zobaczymy w szkole.

– Jak to? Przecież ty i tak wcale nie chodzisz.

Kashiwagi w pośpiechu odpiął guzik munduru i poszukał czegoś w wewnętrznej kieszonce na piersi.

– Zanim wyjadę, chciałem ci zrobić przyjemność i przyniosłem ci to. Ty go uważałeś za Bóg wie co.

Na moim biurku leżało kilka rozsypanych listów. Zdziwiłem się, gdy zobaczyłem nazwisko nadawcy, ale Kashiwagi jak gdyby nigdy nic powiedział:

– Przeczytaj sobie. To pamiętki po Tsurukawie.

– Ty byłeś zaprzyjaźniony z Tsurukawą?

– No cóż, zaprzyjaźniony, jak to ja się zaprzyjaźniam. Co prawda on nie cierpiał, żeby ludzie uważali go za mojego przyjaciela. Ale i tak tylko mnie się zwierzał. Ponieważ umarł już trzy lata temu, to chyba mogę je komuś pokazać. Zwłaszcza że ty byłeś z nim zaprzyjaźniony, miałem zamiar tylko tobie kiedyś je pokazać.

Wszystkie listy były datowane niedługo przed śmiercią Tsurukawy. Wszystkie były wysyłane praktycznie dzień po dniu z Tokio na adres Kashiwagiego w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Do mnie nie napisał ani razu, ale do Kashiwagiego najwyraźniej pisał co dzień od wyjazdu z Kioto. Pismo było na pewno pismem Tsurukawy. Jego kwadratowe, niezdarne litery. Poczułem ukłucie za-

zdrości. Tsurukawa, który jak się wydawało, nigdy nie ukrywał przede mną swych przejrzystych uczuć i czasami mówił źle o Kashiwagim, a nawet potępiał moją z nim znajomość, otóż ten sam Tsurukawa ukrywał swoje bardzo bliskie stosunki z Kashiwagim.

Zacząłem po kolei czytać te listy napisane drobnymi literami na cienkim papierze. Styl był wyjątkowo niezręczny, myśl gubiła się i trudno było się połapać, o co chodzi, jednak z tych zdań przebijało niewyraźnie cierpienie, a kiedy czytałem listy później datowane, cierpienie Tsurukawy widoczne już było jak na dłoni. Czytając dalej, zacząłem płakać. Ale płacząc, jednocześnie byłem zaskoczony banalnością jego zmartwień.

Była to jedynie zwyczajna, przeciętna historia miłosna. Jedynie nieszczęśliwa miłość niedoświadczonego chłopaka do dziewczyny, na którą nie zgadzali się rodzice. Jednak w liście był fragment, który mnie zadziwił, choć może Tsurukawa bezwiednie przesadził opisując swoje uczucia. „Kiedy teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że może ta nieszczęśliwa miłość była efektem mojej nieszczęśliwej natury. Od urodzenia jestem ponury. Wydaje się, że moje serce nigdy nie zaznało pogodnej jasności”.

Ostatni list, który czytałem, urywał się gwałtownie i po raz pierwszy ogarnęły mnie podejrzenia, o których wcześniej nawet mi się nie śniło.

– Czyżby on... – zacząłem, a Kashiwagi przytaknęła.

– Tak. To było samobójstwo. Ja uważam, że nie ma innego wytłumaczenia. Jego rodzina prawdopodobnie wymyśliła tę ciężarówkę ze względu na opinię publiczną.

Jakając się ze złości, domagałem się odpowiedzi.

– Ty mu pewnie odpisałeś.

– Odpisałem. Ale podobno list doszedł po jego śmierci.

– Co napisałeś?

– Napisałem, żeby nie umierał. Tylko to.

Milczałem. Moje przekonanie, że wyczucie mnie nie myliło, było na nic.

Kashiwagi zadał ostatni cios:

– Co się stało? Po przeczytaniu zmienił ci się światopogląd? Wszystkie twoje plany rozpadły się w proch, prawda?

Teraz jasny był plan Kashiwagiego, by pokazać mi te listy po trzech latach. Chociaż byłem w stanie szoku, obraz porannego słońca przesianego przez liście i rysującego plamki na białej koszuli chłopaka leżącego w gąszczu letniej trawy nie zniknął z mojej pamięci. Tsurukawa umarł i po trzech latach tak się przeobraził. I chociaż myślałem, że to, co mu zawierzyłem, zniknęło wraz z jego śmiercią, to w tej chwili wręcz przeciwnie – odrodziło się w jakiejś innej rzeczywistości. Zacząłem wierzyć raczej w materię wspomnień niż w ich znaczenie. A wierzyłem dlatego, że gdybym nie wierzył, wtedy życie jako takie by się zawaliło. Kashiwagi patrzył na mnie z góry; był pełen satysfakcji ze zmasakrowania moich uczuć.

– No co? Coś się w tobie załamało, nie? Nie mogę patrzeć, jak mój przyjaciel żyje trzymając się czegoś, co może się łatwo załamać. Moja życzliwość polega właśnie na niszczeniu takich rzeczy.

– A co zrobisz, jeśli to jeszcze nie jest zniszczone?

– Przestań się zachowywać jak dziecko, które jest niezadowolone z przegranej – zaśmiał się drwiąco Kashiwagi. – Chciałem, żebyś wiedział. To poznanie przeobraża ten świat. Rozumiesz? Nic innego nie może go przeobrazić. Tylko poznanie przeobraża świat, jednocześnie pozostawiając go nie zmienionym, w tym samym stanie. Patrząc z punktu widzenia poznania, świat jest wiecznie niezmienny i wiecznie się przeobraża. Ty pewnie zapytasz, po co to jest potrzebne. Powiedzmy, że człowiek jest wyposażony w broń w postaci poznania, aby mógł znieść życie. Zwierzęta tego nie potrzebują. To dlatego, że nie mają świadomości znoszenia życia. Poznanie jest więc tym trudnym do zniesienia życiem, które stało się bronią człowieka, jednak życie nie staje się przez to łatwiejsze do zniesienia. I to wszystko.

– Nie uważasz, że są inne sposoby znoszenia życia?

– Nie ma. Poza tym jest tylko szaleństwo albo śmierć.

– To na pewno nie; poznanie przeobraża świat – odpowiedziałem niewiele myśląc, będąc niebezpiecznie blisko wyznania wszystkiego. – To działanie przeobraża świat. Tylko i wyłącznie.

Tak jak się spodziewałem, Kashiwagi powstrzymał mnie zimnym, jakby przyklejonym uśmiechem.

– No proszę! Działanie, mówisz? A nie sądzisz, że twoje ulubione piękno marzy o śnie pod opieką poznania? Jak ten kot z przypowieści o Nansenie, o którym kiedyś rozmawialiśmy. Ten niezrównanie piękny kot. Mnisi z dwóch skrzydeł klasztoru klócili się, bo jedni i drudzy chcieli ochronić kota przy pomocy poznania, wychować go, utulić do snu. A ponieważ opat Nansen był człowiekiem czynu, pięknie kota zabił i wyrzucił. Chōshū, który potem przyszedł, położył sobie buty na głowie. A chciał przez to powiedzieć rzecz następującą: piękno powinno spać pod opieką poznania. Ale nie chodzi o indywidualne poznanie, poznanie każdego człowieka. Poznanie jest morzem ludzkości, łąką ludzkości, sposobem życia całej ludzkości. Myślę, że właśnie to chciał powiedzieć. Teraz ty masz zamiar zabawić się w Nansena?... Piękno, twoje ulubione piękno, to tylko złudzenie nadwyżki, nadwyżki pozostałej po tym, co zostało powierzone poznaniu we wnętrzu ludzkiej duszy. Złudzenie tego „innego sposobu znoszenia życia”, o którym wspominałeś. Można powiedzieć, że piękna nie ma, a także nigdy nie było. Można tak powiedzieć, ale to poznanie wypełnia złudzenie siłą i nadaje mu tyle realności, ile tylko może. Dla poznania piękno nie jest wcale pocieszeniem. Jest kobietą, może nawet żoną, ale na pewno nie jest pocieszeniem. Jednak z tego małżeństwa piękna, które wcale nie jest pocieszeniem, i poznania coś się rodzi. Coś przelotnego, podobnego do piany i beznadziejnego, ale jednak coś się rodzi. To jest właśnie to, co świat nazywa sztuką.

– Piękno... – zacząłem i przerwałem z powodu gwałtownego napadu jąkania. Być może to nie miało sensu, ale

przemknęła mi przez głowę myśl, że moje jękanie bierze się z mojego pojęcia piękna. – Piękno... piękne rzeczy są już moimi śmiertelnymi wrogami.

– Piękno jest twoim śmiertelnym wrogiem? – Kashiwagi wytrzeszczył oczy. Na jego zarumienioną twarz powrócił zwykły wyraz filozoficznego ożywienia. – Cóż za zmiana! Usłyszeć takie słowa z twoich ust! Będę musiał podregulować ostrość w obiektywie mojego poznania.

Potem jeszcze długo ciągnęliśmy naszą przyjazną dyskusję, po raz pierwszy od dawna. Deszcz ciągle padał. Przed wyjściem Kashiwagi opowiedział mi o mieście Sannomiya i porcie Kobe, w których nigdy nie byłem. Mówił o ogromnych statkach, które latem wypływają z portu. Odżyły moje wspomnienia z Maizuru. I po raz pierwszy nasze opinie, opinie biednych studentów, były zgodne – ani poznanie, ani działanie nie mogły się równać z przyjemnością wypływania z portu.

Rozdział IX

Chociaż tym razem rzeczywiście zasługiwałem na nagany, prawdopodobnie to nie był przypadek, że opat zamiast nagany okazał mi łaskawość. W pięć dni po tym, jak Kashiwagi przyszedł po swoje pieniądze, opat wezwał mnie i własnoręcznie dał mi pieniądze: trzy tysiące czterysta jenów na chesne za pierwszy semestr, trzysta pięćdziesiąt jenów na bilety tramwajowe na dojazdy do szkoły i pięćset pięćdziesiąt jenów na zakup materiałów piśmiennych. Przepisy uniwersyteckie wymagały zapłacenia chesnego przed wakacjami letnimi, ale nie przypuszczałem, by po tym, co się wydarzyło, opat dał mi te pieniądze. Nawet jeżeli miał zamiar mi je dać, wyobrażałem sobie, że ponieważ teraz wiedział, że nie można mi ufać, wyśle pieniądze bezpośrednio na Uniwersytet.

Jednak ja wiedziałem nawet lepiej niż opat, że jego zaufanie do mnie nie jest prawdziwe, mimo że dał mi pieniądze do ręki. W tej milczącej łaskawości było coś, co przypominało miękkie, różowe ciało opata. Ciało pełne kłamstwa, ciało, które ufa temu, co powinno być zdradzone, i zdradza to, co godne zaufania, ciało nie dotknięte rozkładem, cicho mnożące się w ciepłe i różowości...

Tak jak wtedy, gdy w zajeździe Yura przesłuchiwał mnie policjant i bałem się, że odkryje moje zamiary, tak teraz opanowywał mnie obsesyjny lęk, że być może opat przejrzał mnie na wylot i dał mi pieniądze, bym przegapił tę okazję do zdecydowanego działania. Wydawało mi się, że tak długo, jak będę miał te pieniądze, nie starczy mi odwagi do zdecydowanego działania. Musiałem jak najszybciej znaleźć spo-

sób na ich wydanie. Biednym ludziom nie przychodzi do głowy, na co wydać pieniądze. Musiałem wymyślić coś takiego, żeby opat się wściekł, gdy się dowie, i żeby musiał mnie natychmiast wypędzić ze świątyni.

Tego dnia miałem dyżur w kuchni. Po wieczerzy, płucząc talerze i miseczki, spojrzałem akurat w kierunku refektarza, który był już pogrążony w ciszy. Na lśniącej od sadzy kolumnie przy wyjściu z kuchni wisiała prawie całkiem szerniała od sadzy tabliczka z napisem: „Amulet ze świątyni A tago – Strzeż się ognia”.

Oczami duszy widziałem bladą sylwetkę ognia schwytanego i ukrytego w tym amulecie. Widziałem jak coś, co niegdyś było w pełnym rozkwicie, teraz białawe, słabo widoczne, ukryte za tym starym amuletem, wyglądało na słabe i schorowane. Czy ktoś mi uwierzy, jeżeli powiem, że w tamtym okresie wizje ognia napełniały mnie cielesnym pożądaniem? Skoro cała moja wola życia wypływała z ognia, czyż to nie naturalne, że i moje pożądanie zwróciło się w jego stronę? Moje pożądanie kształtowało giętką sylwetkę ognia i wydawało mi się, że płomień, przenikający przez kolumny lśniące czarnym blaskiem, jest świadom tego, że na niego patrzę, i przystraja się specjalnie dla mnie. Jego dłonie, jego ręce, jego pierś były słabe i bezbronne.

Wieczorem osiemnastego czerwca, z pieniędzmi za pazuchą, ukradkiem wyszedłem ze świątyni i udałem się do Kitashinchi, zwykle zwanego Gobanchō. Słyszałem, że tam życzliwie i tanio przyjmują młodych mnichów. Gobanchō znajdowało się o jakieś trzydzieści, czterdzieści minut od świątyni.

Powietrze było przepelnione wilgocią, księżyc świecił niewyraźnie na lekko zachmurzonym niebie. Miałem na sobie spodnie w kolorze khaki, kurtkę i drewniane chodaki. Prawdopodobnie za kilka godzin będę wracał w tym samym ubraniu. Ale jak udało mi się pojąć moje przewidywania, że chociaż odziany w to samo ubranie, będę już wtedy innym człowiekiem?

Niewątpliwie miałem zamiar spalić Złotą Pagodę, żeby móc dalej żyć, ale to, co robiłem, przypominało raczej przygotowywanie się na śmierć. Tak jak mężczyzna-dziewica, który postanowił popełnić samobójstwo, udaje się przedtem do dzielnicy rozpusty, tak i ja szedłem do dzielnicy rozpusty. Nie muszę się martwić. Taki postępek mężczyzny przypomina złożenie podpisu pod jakimś dokumentem i nawet jeżeli straci się dziewictwo, wcale nie staje się „innym człowiekiem”. Teraz nie muszę się już bać niepowodzenia, jak w czasie tych wielokrotnych niepowodzeń, kiedy to Złota Pagoda stawała pomiędzy mną a kobietą. A to dlatego, że o niczym nie marzyłem i nie próbowałem uczestniczyć w życiu za pośrednictwem kobiety. Moje życie było już gdzieś w dali zdecydowanie ustalone, a moje dotychczasowe działanie przypominało jedynie jakieś ponure formalności. Tak właśnie do siebie mówiłem, gdy przypominały mi się słowa Kashiwagiego. „Prostytutki nie biorą klientów dlatego, że ich kochają. Staruszek, żebrak, jednooki, przystojniak, jeśli nie wiedzą, to nawet trędowaty, każdy klient jest dobry. Przeciężny człowiek, pewnie nawet uspokojony tym egalitarnym podejściem, kupuje sobie pierwszą kobietę. Ale mnie ta równość nie przypadła do gustu. Nie mogłem znieść myśli, że kobieta tak samo by przyjęła i potraktowała zupełnie zdrowego mężczyznę i mnie. Wydawało mi się, że byłaby to przerażająca samoprofanacja”. Te słowa wydały mi się teraz nieprzyjemne. Chociaż jakałem się, poza tym byłem jednak zupełnie zdrowy i w odróżnieniu od Kashiwagiego mogłem wierzyć, że moja brzydota jest zupełnie przeciętna. Ale nawet jeśli to prawda, to czy kobieta jakoś intuicyjnie nie dojrzy na moim brzydkim czole piętna genialnego przestępcy? – ta myśl znowu wypełniła mnie głupim, nieokreślonym niepokojem. Zwolniłem kroku. Zmęczony myśleniem, sam już nie wiedziałem, czy chcę się pozbyć dziewictwa, aby spalić Złotą Pagodę, czy też może chcę spalić Złotą Pagodę, żeby pozbyć się dziewictwa. Wtedy ni stąd, ni z owąd przyszły mi do głowy szlachetne słowa

„igraszki losu”^{*} i szedłem dalej, szepcząc do siebie: „naturalny bieg rzeczy, naturalny bieg rzeczy...”

I tak dotarłem do miejsca, gdzie za światłami i wrzawą salonów pachinko i barów ukazały się równe rzędy domów stojących w ciemności, którą rozświetlały tylko jarzeniówki i blade papierowe lampiony.

Od czasu wyjścia ze świątyni wyobrażałem sobie, że Uiko jeszcze żyje i że mieszka w tej dzielnicy. Te wyobrażenia dodawały mi sił. Podjąwszy decyzję o spaleniu Złotej Pagody, powróciłem znów do stanu świeżej czystości, jak w okresie chłopcym, i dlatego wydawało mi się, że ponownie mógłbym zetknąć się z ludźmi i wypadkami, z którymi spotkałem się we wczesnym okresie życia. I tak właśnie sobie rozmyślałem.

Chociaż teraz powinienem żyć, o dziwo, z dnia na dzień, ogarniały mnie coraz bardziej złowróźbne myśli, wydawało mi się, że śmierć może przyjść choćby jutro, i modliłem się tylko, by przeoczyła mnie do czasu, kiedy uda mi się spalić Złotą Pagodę. Na pewno nie byłem chory, nie miałem żadnych objawów choroby. Jednak z dnia na dzień coraz bardziej czułem ciężar dostosowywania warunków mojego życia i odpowiedzialności za nie, który spoczywał całkowicie na moich barkach.

Wczoraj podczas zamiatania wbitem sobie w palec wskaźujący drzazgę z trzonka miotły. Nawet taka mała ranka stała się dla mnie źródłem niepokoju. Przypomniałem sobie historię poety^{**}, który umarł od kolca róży wbitego w palec. Zwyczajli ludzie nie umierają od takich rzeczy. Ale ponieważ stałem się teraz kimś ważnym i cennym, nie wiadomo, jaką śmierć los mi zgotuje. Rana na palcu na szczęście nie ropiała i kiedy dziś ją naciskałem, czułem tylko niewielki ból.

^{*} Igraszki losu (tenpo-kannan) – słowa pochodzące z *Szy-kingu* (Księga pieśni, jap. *Shikyō*) – najstarszej antologii poezji chińskiej, zawierającej utwory z X–VI wieku p.n.e.

^{**} Aluzja do anegdoty związanej z R. M. Rilke.

Nie muszę mówić, że wybierając się do Gobanchō, nie zaniedbałem sanitarnej strony zagadnienia. Poprzedniego dnia poszedłem do oddalonej apteki, gdzie nikt mnie nie znał, i kupiłem prezerwatywy. Cienkie matowe błonki miały naprawdę bezsilny, niezdrowy kolor. Poprzedniego wieczoru wypróbowałem jedną z nich. Obraz Buddy, który dla zabawy namalowałem czerwonym pastelem, kalendarz Towarzystwa Turystycznego Kioto, księga zadań codziennych dla świątyni zen otwarta właśnie na stronie zakłęt Buttchō-sonshō*, czyli Szacownego i Zwycięskiego Buddy, brudne skarpetki, podarta mata... W tej scenerii mój gładki, szary członek wznosił się jak jakaś złowieszcza rzeźba Buddy, pozbawiona oczu i nosa. Ten jego nieprzyjemny wygląd przywiódł mi na myśl brutalny akt rasetsu – obcięcia członka w celu pozbycia się żądzy, który dziś znamy jedynie z dawnych opowieści.

Wszedłem w wąską uliczkę oświetloną rzędem lampionów. Sto kilkadziesiąt domów miało dokładnie ten sam kształt. Mówiono, że jeśli człowiek poszukiwany przez policję zwróci się do szefa zawiadującego tą dzielnicą, może tu zostać łatwo ukryty. Podobno gdy szef naciśnie dzwonek, jego dźwięk rozlega się we wszystkich domach dzielnicy rozrywki i uciekinier ostrzegany jest o niebezpieczeństwie.

Każdy dom był piętrowy i przy wejściu miał okno z drewnianymi listewkami. Ciężkie stare dachy pokryte dachówką były tej samej wysokości i tłoczyły się, stojąc rzędem w świetle wilgotnego księżycy. Nad drzwiami wisiały krótkie granatowe zasłony z białymi napisami „Nishijin”**, a za nimi siedziały kobiety w fartuchach. Nachylały się i spod zasłony wyglądały na ulicę.

* Buttchō-sonshō – sutra o cnotach Buttchō, ukazująca postać Buddy jednoczącego świat i wypędzającego diabły, często czytana w zen i sektach ezoterycznych.

** Nishijin – dzielnica Kioto położona w Kamigyō-ku, znana z przemysłu tkackiego, który rozwijał się tam od okresu Heian (IX–XII w.).

Zupełnie nie myślałem o rozrywce. Zdawało mi się, że jakoś odebrano mi porządek, samotnie wyszedłem z rzędu i pociągając zmęczonymi nogami, idę przez opuszczone okolicę. Pożądanie siedziało wewnątrz mnie skulone, obejmując kolana, pokazując mi niezadowolone plecy. Tak czy inaczej, wydanie tych pieniędzy to mój obowiązek. Tak czy inaczej, muszę wydać te pieniądze przeznaczone na chesne. W ten sposób dam opatowi doskonały pretekst do wyrzucenia mnie – myślałem. Nie dostrzegałem w tym żadnej dziwnej sprzeczności, jednak jeśli naprawdę tak myślałem, to musiałem kochać opata.

Chyba było jeszcze za wcześnie, by dzielnica ta wypełniła się ludźmi, ale i tak było tu zadziwiająco pusto. Stukot moich chodaków odbijał się echem. Monotonne nawoływania kobiet siedzących przed bramami brzmiały jakby rozpełzały się w nisko wiszącym, wilgotnym powietrzu pory deszczowej. Palcami nóg mocno ścisnąłem obłuzowane paski chodaków. Myślałem, że gdy po zakończeniu wojny patrzyłem ze szczytu góry Fudōsan na niezliczone światła Kioto, światła tej dzielnicy też były między nimi.

W miejscu, do którego wiodą mnie moje własne nogi, powinna być Uiko. Na jednym z rogów przy skrzyżowaniu dwóch uliczek był dom o nazwie Ōtaki. Na chybił trafił wszedłem tam, schylając się pod zasłoną. Zaraz na wprost znajdował się sześciomiatowy pokój z terakotą na podłodze. W głębi siedziały trzy dziewczyny, wyglądające tak, jakby były wykończone czekaniem na pociąg. Jedna z nich miała na sobie kimono, a jej szyję owijał bandaż. Druga, ubrana po europejsku, siedziała schylona z opuszczoną skarpetką i mocno drapała się w łydkę. Uiko była nieobecna, co mnie uspokoiło.

Dziewczyna, która drapała się w nogę, podniosła głowę jak pies, którego ktoś zawołał. Jej okrągła, lekko obrzmiała twarz była pokryta pudrem i różem, które wyglądały świeżo, jak na dziecinnych rysunkach. I choć może dziwnie to zabrzmiało, gdy podniosła na mnie oczy, jej spojrzenie pełne było do-

brej woli. Patrzyła na mnie jak na kogoś nieznanego, na kogo wpadnie się przypadkiem na ulicy. Jej oczy nie rozpoznawały pożądanego, które miałem w sobie.

Skoro nie ma Uiko, to wszystko mi jedno, którą dziewczynę wybiorę. Wierzyłem jeszcze ciągle w przesąd, że jeśli będę przebierał i spodziewał się różnych rzeczy, to mi się nie uda. Dziewczyny nie mogły wybierać sobie klientów, więc lepiej żebym i ja nie wybierał. Muszę tak postąpić, aby to przerażające pojęcie piękna, które czyni ludzi bezsilnymi, ani trochę się w to nie włączyło.

– Na którą dziewczynę się pan decyduje? – spytała kobieta w fartuchu.

Wskazałem dziewczynę, która drapała się w nogę. To drobne swędzenie, które przekazała mi jej noga, prawdopodobnie rezultat ucięcia przez komara, których wiele roiło się na kafelkach podłogi, to swędzenie nas połączyło. Dzięki temu swędzeniu ona nabierze prawa, by być później moim świadkiem.

Dziewczyna wstała, podeszła do mnie, zaśmiała się jakby odwijając wargi i lekko dotknęła rękawa mojej kurtki.

Wchodząc na piętro po starych, ciemnych schodach, znowu myślałem o Uiko. Myślałem, że jest nieobecna w tym czasie, w świecie położonym w tym czasie. Nie tylko nie ma jej teraz tutaj, ale na pewno nigdzie nie można by jej znaleźć. Wydawało się, że wyskoczyła tylko na chwilę do łaźni, znajdującej się na zewnątrz naszego świata. Myślałem, że Uiko od początku mogła swobodnie poruszać się pomiędzy tymi dwoma światami. Także w czasie tamtego tragicznego wypadku wydawało się, że odrzucała ten świat, ale zaraz potem znowu go przyjęła. Być może śmierć była też dla Uiko tylko czymś przejściowym. Być może krew, którą pozostawiła w krużganku świątyni Kongōin, była tylko jak pyłek opadający ze skrzydeł motyla, który przysiadł na parapecie i zrywa się do lotu, gdy rano otwieramy okno.

Na piętrze znajdowała się otoczona balustradą galeria, wychodząca na wewnętrzny ogródek. Był tam między oka-

pami pręt do suszenia białizny, na którym wisały czerwone pasy służące do owijania bioder, majtki i bawełniane szlafroki. Było dość ciemno i niewyraźnie majaczące szlafroki wyglądały jak ludzkie postaci. W jakimś pokoju kobieta śpiewała piosenkę. Piosenka ciągnęła się łagodnie i czasami dołączał się fałszujący męski głos. Piosenka urwała się, na chwilę zapanowała cisza i potem nagle kobieta roześmiała się.

– To znowu ona – powiedziała moja dziewczyna do kobiety w fartuchu.

– Ona tak zawsze. Zawsze – kobieta siedziała sztywno, tyłem do kierunku, z którego dobiegał śmiech. Trzymatowy pokój, do którego mnie wprowadzono, był urządony bez gustu. Zamiast alkowy tokonoma ktoś postawił tu stojak na wodę, a na nim byle jak ustawił figury kota zapraszającego uniesioną łapką i Hoteia*. Do ściany przyklejono cennik i reg lamin, wisiał tam też kalendarz. Z sufitu zwisała ciemna, trzydziesto- lub czterdziestowatowa żarówka. Zza otwartego okna co pewien czas dobiegały z ulicy kroki klientów.

Kobieta zapytała, czy zostanę na noc, czy tylko na „odpoczynek”. „Odpoczynek” kosztował czterysta jenów. Poprosiłem o sake i zakąski. Kobieta zeszła na dół, by to przynieść, ale dziewczyna i tak się do mnie nie zbliżyła. Zbliżyła się dopiero na polecenie kobiety, która wróciła, przyniósłszy sake. Z bliska zauważyłem, że dziewczyna pod nosem miała zaczerwienione miejsce, jakby od tarcia. Wyglądało na to, że miała zwyczaj drapać się i pocierać różne części ciała, nie tylko nogę, dla zabicia czasu, ale być może lekkie zaczerwienienie pod nosem było tylko rozsmazaną szminką.

Proszę się nie dziwić, że obserwowałem wszystko tak dokładnie podczas tej pierwszej wizyty w burdelu. Próbowałem doszukać się dowodów przyjemności wśród tego, co

* Hotei – legendarny mnich zen z chińskiej dynastii Tang (VII–X w.), zwykle przedstawiany jako pogodny i otyły, z odsłoniętym brzuchem; z workiem, do którego zbierał ofiary. W Japonii uważany za jednego z siedmiu bogów szczęścia (Shichifukujin).

mnie otaczało. Przyglądałem się wszystkiemu dokładnie, patrzyłem na miedzioryt i wszystko, choć dokładnie widoczne, wydawało się oddalone o pewną odległość i tam gdzieś płasko przyklejone.

– Ja już pana kiedyś widziałam – rzekła dziewczyna, powiedziawszy mi najpierw, że na imię ma Mariko.

– To mój pierwszy raz.

– Naprawdę jest pan pierwszy raz w takim miejscu?

– Tak, pierwszy raz.

– Może i tak, bo drżą panu ręce.

Gdy to powiedziała, sam zauważyłem, że moje dłonie trzymające czarkę z sake drżą.

– Jeśli to prawda, to Mariko ma dziś szczęście – powiedziała kobieta.

– Zaraz się dowiemy, czy to prawda, czy nie – powiedziała Mariko niedbale.

Jednak w tych słowach nie było nic zmysłowego. Było widać, że serce Mariko jest w jakimś miejscu nie mającym nic wspólnego z moim ciałem, ani z jej ciałem. Jak dziecko, które zagubiło się gdzieś w ferworze zabawy. Mariko miała na sobie jasnozieloną bluzkę i żółtą spódnicę. Zauważyłem, że paznokcie na kciukach jej obu rąk były pomalowane na czerwono. Być może zrobiła to tylko dla zabawy, pożyczwszy lakier od jednej z koleżanek.

Wkrótce weszliśmy do ośmiomatowej sypialni. Mariko oparła stopę na materacu leżącym na macie i pociągnęła za długi sznurek zwisający z abażura lampy. W świetle pojawiła się kolorowa kołdra barwiona w stylu yūzen. W pokoju znajdowała się też wspaniała dekoracyjna alkowa, w której umieszczono lalkę w stroju francuskim.

Niezdarnie zdjąłem ubranie. Mariko narzuciła na ramiona jasnoróżowy, frotowy szlafrok i pod jego osłoną zręcznie się rozebrała. Wypiłem całą wodę stojącą obok materaca.

– Ależ musisz lubić wodę – roześmiała się ciągle odwrócona plecami Mariko, gdy usłyszała dźwięk wypijanej wody. Potem weszła do łóżka, odwróciła się do mnie twarzą i lekko

dotykając palcem mego nosa, zaśmiała się. – Naprawdę pierwszy raz to robisz?

Nie zapomniałem o przyglądaniu się w ciemnym świetle lampki nocnej. Patrzenie było dowodem mojego istnienia. Po raz pierwszy widziałem czyjeś oczy tak blisko moich. Perspektywa mojego świata załamała się. Ktoś obcy nieustraszenie zaatakował moje istnienie. Ciepło tego ciała pomieszanego z zapachem tanich perfum powoli wypełniało wszystko wodą, zanurzało mnie, aż zatopiło. Po raz pierwszy widziałem, że świat innych ludzi może się tak rozplątać.

Byłem traktowany jak jeden z mężczyzn należących do jakiejś uniwersalnej kategorii. Nie wyobrażałem sobie, że ktoś może mnie tak potraktować. Zostało ze mnie zdjęte jękanie się, potem brzydota i bieda, tak jakby po zdjęciu ubrania zdjęto jeszcze ze mnie niezliczone warstwy. Niewątpliwie osiągnąłem przyjemność, ale nie mogłem uwierzyć, że to naprawdę mi dane jest zasmakowanie tej przyjemności. Gdzieś daleko zmysły, które mnie odtrącały, zawrzały i wkrótce opadły... natychmiast odsunąłem się od dziewczyny, przyłożyłem czoło do poduszki, lekko postukałem pięścią w chłodną i zdrętwiałą część głowy. A potem ogarnęło mnie uczucie, że zostałem przez wszystko pozostawiony samemu sobie, lecz to uczucie nie wywołało łez.

Po fakcie słyszałem jak przez mgłę, jak dziewczyna opowiada mi na dobranoc o tym, jak znalazła się tu, choć pochodzi z Nagoya, jednak ja cały czas myślałem tylko o Złotej Pagodzie. Były to tylko abstrakcyjne medytacje, a nie te zwykle myśli wypełnione ciężką cielesnością.

– Przyjdź znowu, dobrze? – słysząc te słowa, odniosłem wrażenie, że Mariko jest ode mnie rok lub dwa starsza. Tak, na pewno była ode mnie starsza. Jej piersi znajdowały się przed moim nosem. Pokryte potem. Były zwykłym ciałem, które na pewno nie przeobrazi się w Złotą Pagodę. Niepewnie dotknąłem ich czubkiem palca.

– Wydają ci się dziwne? – zapytała Mariko i uniósłszy się na łokciu, przyjrzała się dokładnie swoim piersiom i lekko ni-

mi potrzęsnęła, jakby bawiąc się z małymi zwierzątkami. To drżenie przywiodło mi na myśl zachód słońca w Maizuru. Myślę, że przemijalność zachodzącego słońca i przemijalność ciała zlały się w moim sercu w jedno. Doznałem ulgi, wyobrażając sobie, że to ciało przede mną jak zachodzące słońce wkrótce pokryje się wieloma warstwami wieczornych chmur i legnie w głębokiej mogile nocy.

* * *

Następnego dnia poszedłem do tego samego zakładu i poprosiłem o tę samą dziewczynę. Nie tylko dlatego, że miałem jeszcze dużo pieniędzy. Za pierwszym razem przyjemność była niepozorna w porównaniu z tym, jak ją sobie wyobrażałem, i dlatego musiałem spróbować raz jeszcze, by zbliżyć się choć trochę do tej przyjemności z moich wyobrażeń. W odróżnieniu od innych ludzi, moje poczynania w realnym życiu zawsze miały tendencję to tego, by pozostać jedynie wierną imitacją wyobrażeń. Słowo „wyobrażenia” nie jest odpowiednie. Raczej powinienem powiedzieć „wspomnienia moich źródeł”. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że wszelkich doświadczeń, jakich miałem zaznać w życiu, doświadczałem już wcześniej w bardziej olśniewającej formie. Wydawało mi się, że nawet przyjemności cielesnych zaznałem już wcześniej w jakimś czasie i miejscu, których nie pamiętałem (prawdopodobnie z Uiko), i były one gwałtowniejsze – zmysłowa rozkosz, która ogarniała całe ciało. Tworzyła źródło wszelkich przyjemności i rzeczywista przyjemność mogła zaczerpnąć stamtąd tylko garść wody naraz.

Niewątpliwie wydawało mi się, że kiedyś, w dalekiej przeszłości widziałem już zachód słońca o niezwyklej świetności. Czyż to moja wina, że potem wszystkie zachody wyglądają na mniej lub bardziej spłowiałe?

Ponieważ wczoraj kobieta potraktowała mnie jak zwyyczajnego faceta, dzisiaj poszedłem tam z kieszonkowym wydaniem starej książki, którą kupiłem parę dni wcześniej w

antykwarjacie. Była to *Zbrodnia i kara* Bequarii. Ta książka autorstwa osiemnastowiecznego włoskiego kryminologa okazała się typowym tanim zestawem obiadowym, składającym się z oświecenia i racjonalizmu, i odłożyłem ją po przeczytaniu kilku stron, pomyślałem jednak, że kobieta może zainteresować się tytułem.

Mariko powitała mnie tym samym lekkim uśmiechem co wczoraj. Był to ten sam uśmiech, ale „wczoraj” nie pozostawiło na jej twarzy żadnych śladów. Jej przyjazny stosunek do mnie był przyjaznym stosunkiem, jaki mamy do osoby przypadkiem spotkanej na rogu ulicy, ale to chyba dlatego, że jej ciało też było jakby rogiem jakiejś ulicy.

Ceremonialne picie sake w saloniku nie było takie sztywne jak wczoraj.

– Odwraca pan czarkę tak jak trzeba, przed podaniem drugiej osobie. Taki młody, a zna się pan na etykietce – powiedziała kobieta.

– Czy opat pana nie łaja za przychodzenie tu dzień po dniu? – zapytała Mariko i widząc moją zaskoczoną twarz złapanego na gorącym uczynku, ciągnęła dalej: – To od razu wiadomo. Wszyscy teraz noszą dłuższe włosy zaczesane do tyłu, więc jak ktoś jest króciutko ostrzyżony, to wiadomo, że ze świątyni. Do nas przychodziło za młodu wielu panów, którzy teraz są ważnymi mnichami w świątyniach... Może zaśpiewać piosenkę?

Mariko zaczęła ni stąd, ni zowąd śpiewać popularną piosenkę o jakiejś kobiecie z portu.

Drugi raz przebiegł gładko i lekko w znanym mi już otoczeniu. Tym razem wydało mi się, że i mnie udało się zasmakować nieco przyjemności, nie była to jednak przyjemność z rodzaju tych, które sobie kiedyś wyobrażałem, lecz jedynie zdeprawowana satysfakcja z tego, że dostosowuję się do sytuacji.

Po fakcie Mariko wygłosiła sentymentalny wykład, jak przystało na kogoś starszego, co zniszczyło moje i tak krótkotrwałe uczucie przyjemności.

– Myślę, że lepiej nie przychodzić często do takich miejsc – powiedziała. – Jesteś poważnym człowiekiem. Ja tak myślę. Lepiej się w nic nie wplątywać, tylko całą energię włożyć w pracę. Ja oczywiście chcę, żebyś przychodził, ale chciałabym, żebyś rozumiał, o co mi chodzi. Bo ja myślę o tobie jak o moim młodszym bracie.

Mariko prawdopodobnie przeczytała podobną rozmowę w jakiejś brukowej powieści. Nie powiedziała tego z głębokim uczuciem, a tylko ułożyła sobie historyjkę ze mną jako bohaterem i spodziewała się, że okażę emocje, które dla mnie obmyśliła. A najlepiej by było, gdybym jeszcze do tego się rozplakał.

Jednak ja tego nie zrobiłem. Wyjąłem niespodziewanie spod poduszki *Zbrodnię i karę* i podsunąłem jej pod nos. Mariko posłusznie przewróciła kilka kartek, a potem nie mówiąc ani słowa odłożyła książkę na miejsce. Już o niej nie pamiętała.

Pragnałem, by ta kobieta miała jakieś przeczucie w związku z tym, że los zetknął ją ze mną. Chciałem, by choć trochę zbliżyła się do świadomości, że pomaga w zrujnowaniu świata. Myślałem, że nie powinno być tak, że jest jej wszystko jedno, i w rezultacie tej niecierpliwości powiedziałem coś, czego nie powinienem był powiedzieć.

– Myślę, że za miesiąc... tak, przed upływem miesiąca będą dużo o mnie pisać w gazetach. Wtedy przypomnij mnie sobie – gdy skończyłem mówić, serce waliło mi jak młotem, jednak Mariko się roześmiała. Jej piersi trzęsły się, gdy się śmiała. Zerknęła na mnie i zatykając usta rękawem, starała się powstrzymać śmiech, który jednak znów ją ogarniał, tak że całe jej ciało drżało. Pewnie nawet nie umiałyby wytłumaczyć, co było takie zabawne. Zdała sobie z tego sprawę i przestała się śmiać.

– Co w tym śmiesznego? – zapytałem głupio.

– Przecież z ciebie łgarz. Ach, jakie to śmieszne! Straszny z ciebie łgarz.

– Wcale nie kłamię.

– Och, przestań! Ach, jakie to śmieszne! Chyba umrę ze śmiechu! Z poważną miną tak kłamiesz! – Mariko znowu się roześmiała. Być może prostą przyczyną jej śmiechu było tylko to, że tak dziwnie się jąkałem, gdy wyrzucałem z siebie tamte słowa. Tak czy inaczej, Mariko wcale mi nie uwierzyła.

Nie uwierzyła mi. Nawet gdyby przed samym jej nosem zdarzyło się trzęsienie ziemi, też na pewno by nie uwierzyła. Nawet jeśli świat popadnie w ruinę, być może ta jedna kobieta zostanie oszczędzona. A to dlatego, że Mariko wierzyła tylko w to, co zdarzało się zgodnie z jej logiką. Zgodnie z ową logiką świat nie mógł popaść w ruinę, a Mariko nie miała też wcale okazji, by myśleć o podobnych rzeczach. W tym była podobna do Kashiwagiego. Mariko była Kashiwagim płci żeńskiej, który nie myślał.

Rozmowa się urwała, więc siedząca z odkrytymi piersiami Mariko zanuciła piosenkę. Piosenkę zakłócił szum skrzydełek muchy. Mucha latała wokół Mariko, aż przypadkiem przysiadła na jej piersi.

– Och, to łaskocze – powiedziała Mariko, ale nie odgoniła muchy. Zdawało się, że mucha ściśle przywarła do jej piersi. Ku mojemu zdziwieniu, te pieszczoty nie wydawały się Mariko nieprzyjemne.

Słyszałem deszcz na okapach dachów. Brzmiało to tak, jakby deszcz padał tylko tam. Jakby deszcz stracił swoje rozpostarcie, zabłądził w ten zakątek miasta i zatrzymał się przestraszony. I ten dźwięk deszczu, tak jak i moje miejsce pobytu, znajdował się w ograniczonym świecie, jak świat pod słabym światłem lampy, oddzielonym od ogromnej nocy.

Jeśli muchy lubią gnicie, czy to znaczy, że Mariko już zaczęła gnić? Czy to, że w nic nie wierzy, jest objawem gnicia? Czy mucha nawiedziła ją dlatego, że Mariko żyje w swoim absolutnym świecie? Nie wiedziałem. Jednak na piersi kobiety, która nagle zapadła w drzemkę, oświetlonej kręgiem światła padającego z nocnej lampki, mucha też nagle przestała się poruszać, jakby zapadła w sen.

Nie poszedłem już więcej do Ōtaki. Zrobiłem to, co należało. Teraz pozostało tylko czekać, aż opat zorientuje się, że straciłem pieniądze przeznaczone na chesne, i wypędzi mnie.

Jednak nie robiłem nic, co mogłoby naprowadzić opata na ślad tego, jak wydałem pieniądze. Nie musiałem się przyznawać, gdyż nawet jeśli się nie przyznam, opat i tak powinien wszystko wywąchać.

Nie umiałbym wytłumaczyć, dlaczego nawet teraz jeszcze w pewnym sensie polegałem na sile opata i próbowałem się nią posłużyć. Nie wiedziałem, czy uzależniam moją ostateczną decyzję od wypędzenia mnie przez opata. Już wcześniej wspominałem, że od dawna dostrzegałem jego bezsilność.

W kilka dni po mojej drugiej wizycie w burdelu widziałem opata w następującej sytuacji. Tego dnia wcześnie rano, jeszcze przed otwarciem świątyni dla zwiedzających, opat udał się na spacer w okolicę Złotej Pagody – było to coś, czego zazwyczaj nie robił. Pochwalił nas zamiatających i odziany w lekki biały habit zaczął wchodzić po kamiennych schodkach prowadzących do pawilonu Sekkatei. Wydawało się, że może zaparzy tam samotnie herbatę i w ten sposób oczyści umysł.

Na porannym niebie pozostało jeszcze wiele silnego blasku jutrzeńki. Po błękitnym niebie tu i tam płynęły chmury ciągle oblane czerwonym światłem. Wyglądały tak, jakby nie mogły zgasić rumieńca wstydu.

Skończyliśmy zamiatanie i zaczęliśmy oddzielnie wracać do świątyni. Ja poszedłem dróżką wiodącą obok pawilonu Sekkatei i za Wielką Biblioteką, ponieważ trzeba było jeszcze tam pozamiatać. Z miotłą w dłoni wszedłem po kamiennych schodach otoczonych płotkiem i znalazłem się obok pawilonu Sekkatei. Drzewa były wilgotne od deszczu, który padał poprzedniej nocy. Niezliczone krople rosy na liściach krzewów odbijały czerwone światło poranka i wyglądały zupełnie jak owoce, które zawiązały się o nieodpowiedniej

porze roku. Pajęczyna rozpostarta wśród liści też była czerwona i lekko drżała.

Patrzyłem, do pewnego stopnia poruszony, że przedmioty na ziemi z taką wrażliwością odbijają kolory nieba. Nawet wilgoć po deszczu zbierająca się na werandzie świątyni też była czymś otrzymanym z nieba. Wszystko ociekało wodą, jakby otrzymało jakąś łaskę, i wydzielalo zapach, w którym wilgoć mieszała się z rozkładem. A to dlatego, że przedmioty nie wiedziały, jak odrzucać cokolwiek.

Jak wiadomo, do pawilonu Sekkatei przylega Kyōhokurō, Wieża Gwiazdy Polarnej, która opisana jest następującym zdaniem: „Tutaj zamieszkuje Gwiazda Północy, a służą jej tysiące gwiazd”. Jednak dzisiejsza Wieża Gwiazdy Polarnej różni się od tamtej z czasów, gdy Yoshimitsu był u władzy. Sto kilkadziesiąt lat temu została odbudowana i nabrała okrągłego kształtu, jaki uważano za odpowiedni dla pawilonów herbacianych. Nie widziałem opata w pawilonie Sekkatei, więc musiał być w Wieży.

Nie chciałem się z nim spotkać sam na sam. Jeśli pochylę się, idąc wzdłuż żywopłotu, nie powinien mnie zauważyć. Szedłem więc skulony, cicho stawiając stopy. Drzwi do wieży stały otworem. W alkowie jak zwykle widniał zwój autorstwa Maruyamy Ōkyo*. Stał tam również model świątyni wyrzeźbiony z niezwykle starannością z sandałowego drewna, poczerniały w czasie wielu lat i podróży z dalekich Indii. Po lewej widać było półkę z drewna morwowego w stylu Rikyū**. Zauważyłem też malowidło na przesuwanych drzwiach. Nie widać było jednak opata, więc bez namysłu wystawiłem głowę ponad żywopłot i rozejrzałem się dokoła.

Obok kolumny w ciemnym świetle ujrzałem coś, co wyglądało jak biały pakunek. Przyjrzałem się i zrozumiałem,

* Maruyama Ōkyo (1733–95) – słynny malarz z Kioto; uczył się u mistrzów szkoły Kanō, uległ wpływom zachodnim.

** Sen-no Rikyū (1522–91) – mistrz ceremonii herbacianej, nauczyciel możnowładcy Hideyoshiego.

że to opat. Zgiął się jak tylko mógł najdalej, głowę ukrył między kolanami, zakrył twarz rękawami habitu i tak siedział skulony. Nie ruszał się. W ogóle się nie poruszał. Za to mną miotaly różne uczucia. Najpierw pomyślałem, że opat nagle zachorował i przewrócił się w jakimś ataku. W takim wypadku powinienem od razu mu pomóc. Jednak powstrzymywała mnie jakaś siła. W żadnym sensie nie kochałem opata i utwierdzałem się w mojej decyzji podłożenia ognia choćby jutro, więc pomoc opatowi byłaby czystą hipokryzją. Poza tym czułem obawę, że gdybym pomógł opatowi, on potem okazałby mi za to wdzięczność czy miłość i być może straciłbym odwagę do mojego przedsięwzięcia.

Gdy dokładnie się przyjrzałem, doszedłem do wniosku, że opat nie wyglądał na chorego. Nie wiedziałem, co mu się stało, lecz jego pozycja pozbawiona była jakiegokolwiek dumy czy godności. Było w niej coś żalosego, przypominającego śpiące zwierzę. Zobaczyłem, że jego rękawy lekko drżały i wyglądał tak, jakby plecy przygniatał mu jakiś niewidoczny ciężar. Zastanawiałem się, co może być tym ciężarem. Czyżby zmartwienia? Czy też może ta bezsilność, której sam opat nie może znieść? Gdy wytężyłem słuch, usłyszałem, że opat bardzo cicho szepcze jakąś sutrę, ale nie wiedziałem, co to za sutra. Nagle pewna myśl ugodziła moją dumę – być może opat posiada jakieś ciemne, ponure życie wewnętrzne, o którym innym nic nie wiadomo, i w porównaniu z nim wszelkie moje małe zła, grzeszki i zaniedbania, których dopuszczałem się tak starannie, są niczym.

Wiem! Nagle się zorientowałem. Ta skulona postawa opata przypominała postawę wędrownego mnicha, którego prosba o przyjęcie do świątyni została odrzucona i który przez cały dzień siedzi skulony przy bramie z głową opartą o swoje zawiniątko. Jeśli kapłan tak wysoko postawiony jak opat naśladuje ascetyczne zachowanie młodego wędrownego mnicha, jego pokora musi być zadziwiająca. Nie wiedziałem, komu lub czemu opat okazuje taką pokorę. Tak jak rosa na trawie w ogrodzie, na liściach i na pajęczynie składa hołd

potędze światła jutrzeńki na niebie, być może opat skulony jak zwierzę okazywał skromność, by odbiły się na nim pierworodne zło i grzechy świata, choć on sam ich nie popełnił.

„Chce mi to pokazać!” – pomyślałem nagle. Na pewno tak było. Wiedział, że będę tędy przechodził, i chce mi to pokazać. Opat, który dobrze zrozumiał swoją bezsilność, wpadł na pomysł, jak milcząc otworzyć moje serce, wzbudzić we mnie litość, w końcu ugiąć moje kolana i udzielić mi tej niezwykłej, ironicznej nagany!

Faktem jest, że patrząc na skuloną postać opata, wahałem się i zaczynało mnie ogarniać niebezpieczne wzruszenie. Chociaż zaprzeczałem temu z całej siły, nie było wątpliwości, że jestem o krok od prawdziwego przywiązania się do opata. Jednak dzięki myśli, że „opat chce mi to pokazać”, wszystko się odwróciło i moje serce stało się jeszcze twardsze niż przedtem.

To właśnie wtedy postanowiłem nie uzależniać mojej decyzji o podpaleniu od wypędzenia mnie przez opata. Opat i ja żyliśmy teraz w innych światach, które nie miały na siebie wpływu. Nic mnie już nie powstrzymywało. Już nie liczyłem na pomoc z zewnątrz. Mogłem działać tak, jak chciałem, wtedy, kiedy chciałem.

Światło poranka zbladło, na niebie pojawiło się więcej chmur i jasne promienie słońca zniknęły z otwartej werandy Wieży Gwiazdy Polarnej. Opat nadal siedział skulony. Szybkim krokiem oddaliłem się stamtąd.

Dwudziestego piątego czerwca wybuchły rozruchy w Korei. Moje przecucie, że świat niewątpliwie zmierza do upadku i ruiny, okazały się prawdą. Musiałem się pospieszyć.

Rozdział X

W dzień po mojej pierwszej wyprawie do Gobanchō dokonałem już właściwie pierwszej próby. Wyciągnąłem dwa dwucalowe gwoździe z drewnianych drzwiczek po północnej stronie Złotej Pagody.

Dolna kondygnacja Złotej Pagody, Hosuiin, miała dwa wejścia, jedno od wschodniej, jedno od zachodniej strony. Były to dwuskrzydłowe, składające się drzwi. Stary przewodnik wieczorem szedł do Złotej Pagody i zamykał na klucz zachodnie drzwi od środka, a wschodnie drzwi od zewnątrz. Jednak wiedziałem, jak dostać się do Złotej Pagody nie mając klucza. Gdy od wschodnich drzwi przeszło się na tyły Pagody, po stronie północnej znajdowały się drewniane drzwiczki, umieszczone tam jakby po to, by ochronić model Złotej Pagody znajdujący się wewnątrz. Drzwi były stare i zniszczone i wystarczyło wyciągnąć z nich pół tuzina gwoździ na górze i dole, by łatwo wyjąć je z ramy. Wszystkie gwoździe były obluźowane i bez trudu można je było wyciągnąć palcami. I to właśnie stamtąd wyjąłem na próbę dwa gwoździe. Zawinałem je w papier i trzymałem głęboko w głębi szuflady. Minęło kilka dni. Wyglądało na to, że nikt nie zauważył. Minął tydzień. Wydawało się, że nadal nikt nie zauważył. Wieczorem dwudziestego ósmego czerwca ukradkiem wsunąłem gwoździe z powrotem na miejsce.

Tego dnia, gdy zobaczyłem skuloną postać opata i postanowiłem w końcu podjąć decyzję nie licząc na niczyją pomoc, poszedłem do apteki w pobliżu komisariatu policji Nishijin w Senbon-Imadegawa i kupiłem calmotin, środek na uspokojenie. Sprzedawca pomyślał, że chodzi mi o małe opako-

wanie i podał mi buteleczkę z trzydziestoma pastylkami, ale ja poprosiłem o większą i za sto jenów kupiłem opakowanie, w którym było sto pastylek. Ponadto w sklepie żelaznym, także znajdującym się niedaleko komisariatu, za dziewięćdziesiąt jenów kupiłem nóż z dziesięciocentymetrowym ostrzem i pochwę.

Chodziłem w tę i z powrotem przed komisariatem Nishijin. Kilka okien było jasno oświetlonych i zobaczyłem policjanta w koszuli z wykładanym kołnierzykiem i z teczką pod pachą, jak w pośpiechu wchodził do budynku. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Nikt nie zwracał na mnie uwagi przez ostatnie dwadzieścia lat i teraz też się to nie zmieniło. Jeszcze nie jestem nikim ważnym. W Japonii są miliony, dziesiątki milionów ludzi nieważnych, pozostających w tle, na których nikt nie zwraca uwagi. Ja też jeszcze należałem do tej grupy. Nikogo nie obchodzi, czy taki człowiek żyje, czy umarł, ale ludzie tego rodzaju mają w sobie coś naprawdę uspokajającego. Dlatego ten policjant, też uspokojony, nawet nie spojrział w moją stronę. W znajdującym się nad bramą czerwonym, jakby przydymionym świetle widać było kamienne litery „Komisariat Policji Nishijin”. Druga połowa słowa „Policja” odpadła.

Wracając do świątyni, myślałem o zakupach, jakich dokonałem tego wieczoru. Radowało się od nich serce. Nóż i pastylki kupiłem na wszelki wypadek, gdyby zaszła konieczność samobójstwa, lecz byłem z nich tak zadowolony, że myślałem, że tak właśnie musi czuć się mężczyzna, który założywszy rodzinę, kupuje coś nowego, starannie zaplanowawszy budżet domowy. Nawet po powrocie do świątyni jeszcze ciągle nie znudziło mi się przyglądanie się tym dwóm przedmiotom. Wyciągnąłem nóż z pochwy i polizałem ostrze. Od razu pokryło się mgiełką, a na języku na krańcu wyraźnego chłodu poczułem daleką słodycz. Ta słodycz lekko przekazała mojemu językowi słodycz z głębi tej cienkiej warstwy stali, z prawdziwej natury stali, do której nie można dotrzeć. Ten wyraźny kształt, ten błysk podobny do głę-

bokiego granatu morza... to one miały w sobie przezroczyście słodycz, która owinęła się wokół czubka mojego języka, by tam pozostać razem ze śliną. Wkrótce jednak słodycz się oddaliła. Z radością myślałem o dniu, w którym moje ciało upije się tą tryskającą słodyczą. Niebo śmierci było jasne i przywodziło na myśl niebo życia. Zapomniałem o czarnych myślach. Na tym świecie nie istnieje cierpienie.

Po wojnie w Złotej Pagodzie zainstalowano najnowszy alarm przeciwpożarowy. Był tak skonstruowany, że gdy wewnątrz Złotej Pagody osiągnie pewną temperaturę, alarm miał włączyć się na korytarzu obok kancelarii Rokuonji. Dwudziestego dziewiątego czerwca wieczorem alarm się zepsuł. Awarię odkrył stary przewodnik. Przypadkiem byłem wtedy w kuchni i usłyszałem, jak przewodnik zawiadamiał o tym w biurze diakona. Wydawało mi się, że usłyszałem zachęte z nieba.

Jednak następnego ranka, trzydziestego czerwca, diakon zadzwonił do fabryki, która założyła alarm, i poprosił o naprawienie go. Życzliwy przewodnik specjalnie przyszedł, żeby mi o tym powiedzieć. Zagryzłem wargi. Wczoraj był odpowiedni czas na podjęcie decyzji, a ja przegapiłem tę niepowtarzalną okazję.

Wieczorem przyszedł ktoś do naprawy alarmu. Wszyscy przyglądaliśmy się w zaciekawieniu. Naprawa trwała długo, majster kręcił tylko głową i obserwatorzy znikali jeden po drugim. W końcu ja także odszedłem. Teraz wystarczyło tylko poczekać, by naprawa była skończona i by świątynia wypełniła się dźwiękiem alarmu, który majster włączy na próbę i który w moich uszach zabrzmiał jak sygnał rozpacz. Czekałem. W Złotej Pagodzie, wypełniającej się nocą jak falą przypiływu, pełgało małe światełko używane w czasie naprawy. Alarm się nie odzywał. Majster poddał się, powiedział, że przyjdzie znowu następnego dnia i poszedł. Nie dotrzymał obietnicy i nie przyszedł pierwszego lipca. Jednak w świątyni uznano, że nie ma potrzeby, by tak bardzo śpieszyć się z naprawą.

Trzydziestego czerwca znowu poszedłem do Senbon-Imadegawa i kupiłem słodkie bułki i ciastka wypełnione słodką pastą z czerwonej fasoli. W świątyni nie dostawaliśmy nic do jedzenia między posiłkami i dlatego czasem kupowałem tu słodczyce z mojego skromnego kieszonkowego. Jednak ciastka kupione trzydziestego nie miały zaspokoić mojego głodu. Nie kupiłem ich też, by ułatwić sobie wzięcie calmotinu. To już raczej niepokój kazał mi je kupić.

Związek między pękatą papierową torbą w mojej dłoni a mną. Związek między zupełnie samotnym uczynkiem, którego próbuję się dopuścić, a tymi nędznymi słodkimi bułkami... Słońce przeciekające spomiędzy chmur jak duszna mgła spowijało stare domy. Pot popłynął nagle cicho zimną strużką wzdłuż moich pleców. Czulem się bardzo ocieżyła.

Związek pomiędzy słodkimi bułkami a mną. Cóż to może być? Spodziewałem się, że gdy stanę twarzą w twarz z moim uczynkiem, choć będę pełen napięcia i koncentracji, mój pozostawiony sam sobie żołądek będzie prawdopodobnie domagał się dowodu tej samotności. Czulem, że moje narządy wewnętrzne są jak nędzny, nie dający się oswoić pies. Wiedziałem, że choćby moje serce nie wiem jak się ożywiło, żołądek i jelita, te nieczule narządy, będą sobie niezależnie snuły jakieś codzienne, nudne marzenia.

Wiedziałem, że mój żołądek marzy. Marzy o słodkich bułkach i ciastkach z pastą fasolową. Podczas gdy moje serce marzyło o klejnotach, żołądek uparcie marzył o słodkich bułkach i ciastkach z pastą fasolową... Przynajmniej słodkie bułki dostarczą wskazówki, gdy ludzie będą na próżno próbowali zrozumieć motywy, które popchnęły mnie do przestępstwa. Będą mówili: „On był głodny! Jakie to ludzkie!”.

* * *

Nadszedł tamten dzień. Pierwszy lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. Jak już wcześniej powiedziałem, nie wyglądało na to, że alarm zostanie dziś naprawiony. O szó-

stej wieczorem stało się to pewne. Stary przewodnik jeszcze raz zadzwonił do fabryki z przynagleniem. Odpowiedziano mu, że bardzo im przykro, ale dziś byli bardzo zajęci i nie mogli przyjść, ale jutro na pewno przyjdą.

Tego dnia do Złotej Pagody przysłała aż setka zwiedzających, ale o szóstej zamknięto świątynię i fale turystów cofały się. Stary przewodnik odłożył słuchawkę. Jego praca na dzisiaj dobiegła końca, więc stał przy wejściu do kuchni i patrzył nieobecny wzrokiem na niewielkie poletko.

Mżyło. Od rana wiele razy deszcz zaczynał padać i potem ustawał. Wiał też lekki wiatr i nie było zbyt duszno. Na polu w deszczu widać było gdzieś tam kwiaty dyni. Z jednej strony w lśniących, czarnych rzędach ziemi kiełkowała soja zasiana w zeszłym miesiącu.

Kiedy przewodnik się zamyślał, czasem poruszał brodą, próbując zmienić położenie źle dopasowanej sztucznej szczęki. Szczeka wydawała przy tym odgłos. Codziennie wygłaszał te same objaśnienia, które z dnia na dzień było coraz trudniej zrozumieć. Powodem była sztuczna szczeka. Jednak mimo że wszyscy go namawiali, nie próbował jej naprawić. Patrzył na pole i coś do siebie mamrotał. Mamrotał, potem zakłapał szczęką, przestał i znów mamrotał. Pewnie narzekał, że nie posuwa się naprawa alarmu przeciwpożarowego.

Słuchając tego niezrozumiałego mamrotania, miałem wrażenie, że mówi o tym, iż jakkolwiek naprawa jego szczęki czy alarmu jest już niemożliwa.

Tego wieczora do opata przybył rzadki gość. Był to opat Kuwai Zenkai ze świątyni Ryūhōji w prefekturze Fukui, który znał opata z czasów studiów buddyjskich. Skoro był kolegą opata, to znaczyło, że znał mojego ojca.

Opat nie było. Zadzwoniono po niego i okazało się, że opat wróci w ciągu godziny. Opat Zenkai przybył do Kioto z zamiarem pozostania dzień lub dwa w Rokuonji.

Ojciec zawsze wesoło o nim opowiadał i wiedziałem, że darzył go szacunkiem i przywiązaniem. Charakter i wygląd opata Zenkaia były bardzo męskie. Był typowym, grubo cio-

sanym mnichem zen. Miał prawie sześć stóp wzrostu, ciemną karnacją i krzaczaste brwi. Jego głos był jak grom.

Zawahałem się, gdy jeden z akolitów przyszedł powiedzieć, że czekając na opata opat Zenkai pragnie ze mną porozmawiać. Obawiałem się, czy jego szczere, czyste oczy nie odgadną mego planu, który tej nocy zamierzałem wprowadzić w życie.

Siedział po turecku w dwudziestomatowej sali gościnnej w głównym budynku świątyni, popijając sake i jedząc jakieś wegetariańskie potrawy, o których przyniesienie zadbał diakon. Zmieniłem akolitę, który do tej pory dolewał mu sake, usiadłem przed opatem Zenkaiem w formalnej postawie na piętach i dolałem mu sake. Siedziałem plecami do ciemności pełnej bezszelestnego deszczu. Opat nie miał wyboru i musiał patrzeć na dwie ponure rzeczy – moją twarz i nocny ogród w czasie pory deszczowej. Jednak on nie przejmował się takimi rzeczami. Choć widział mnie po raz pierwszy, zaczęła pogodnie mówić to o tym, to o tamtym.

– Jesteś podobny do ojca. Ależ urosłeś! Bardzo mi przykro, że twój ojciec zmarł.

Miał w sobie prostotę, której brakowało opatowi, i siłę, której brakowało memu ojcu. Jego twarz była opalona, nozdrza się rozdymały, a gdy skóra wokół gęstych brwi marszczyła się i unosiła, jego twarz wyglądała, jakby zrobiono ją na wzór maski Obeshimi – złego ducha w teatrze no. Jego rysy nie były regularne. Miał za wiele wewnętrznej siły, która wydobywała się na powierzchnię, kiedy jej się spodobało, i psuła harmonię jego twarzy. Wystające kości policzkowe przypominały strome góry na obrazach Szkoły Południowej.

Ale i tak w gromkim, donośnym głosie opata Zenkaia słychać było łagodność, która przemówiła do mojego serca. Nie zwykłą łagodność, ale łagodność przypominającą sękatę korzenie wielkiego drzewa rosnącego na skraju wsi, które daje w swym cieniu odpocząć wędrowcy. Bardzo szorstką łagodność. Im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej musiałem

uważać, by właśnie tego wieczoru moja decyzja nie została osłabiona w zetknięciu z taką łagodnością. Ogarnęły mnie wątpliwości, czy to przypadkiem nie z mojego powodu opat zaprosił tu opata Zenkaia, ale pomyślałem, że to niemożliwe, aby specjalnie dla mnie prosił go o przyjazd do Kioto aż z Fukui. Opat Zenkai był jedynie przypadkowym gościem, przysłym świadkiem niezrównanej katastrofy.

Duża, mieszcząca prawie dwie szklaneczki biała ceramiczna butelka na sake była pusta, więc przeprosiłem i poszedłem do kuchni, żeby przynieść więcej. Kiedy wracałem z butelką pełną podgrzanej sake w dłoni, ogarnęło mnie uczucie, którego nigdy wcześniej nie doznałem. Mimo że nigdy dotąd nie czułem potrzeby bycia zrozumianym, to teraz pragnąłem, by zrozumiał mnie opat Zenkai. Opat powinien zauważyć, kiedy wróciłem z kuchni i dolewałem mu sake, jak inaczej niż przedtem moje oczy świeciły blaskiem szczerości.

– Co ojciec o mnie myśli? – zapytałem.

– Hm, wyglądasz na poważnego, dobrego studenta. Nie wiem, jakim rozrywkom oddajesz się po kryjomu. Ale nie tak jak my dawniej, ty niestety pewnie nie masz pieniędzy na rozrywki. Twój ojciec, ja i tutejszy opat też za młodu nie byliśmy święci.

– Czy ja wyglądam na zwyczajnego studenta?

– Najlepiej jest wyglądać zwyczajnie. Dobrze być zwyczajnym, wtedy ludzie cię o nic nie podejrzewają.

Opat Zenkai nie miał w sobie próżności. Jest to zła skłonność, w jaką mają tendencję popadać wysoko postawieni mnisi – ponieważ ludzie ciągle proszą ich o ocenę wszelkiego rodzaju rzeczy, malarstwa, kaligrafii, a nawet antyków, starają się nie mówić nic definitywnego, żeby potem ich nie wyśmiano na wypadek omyłki w ocenie. Oczywiście, jak przystało na mnicha zen, natychmiast wyrażają swoją opinię, ale robią to specjalnie tak, by można ją było zrozumieć dwójako. Opat Zenkai nie był taki. Wiedziałem, że mówi wszystko tak, jak widzi i czuje. Nie doszukiwał się specjalnych

znaczeń w rzeczach, które odbijały się w jego szczerych, pełnych siły oczach. Jeśli miały znaczenie, to dobrze, a jeśli nie, to też dobrze. Ale najbardziej zaimponowało mi w nim to, że gdy patrzył na coś lub na kogoś, na przykład na mnie, nie starał się zobaczyć tam czegoś, co mogły dostrzec tylko jego oczy, i w ten sposób zaznaczyć swoją odrębność, lecz patrzył tak, jak patrzyliby inni ludzie. Świat subiektywny nie miał dla niego znaczenia. Zrozumiałem, co chciał mi powiedzieć, i stopniowo ogarnął mnie spokój. Tak długo, jak wyglądam zwyczajnie dla innych ludzi, tak długo jestem zwyczajny i gdybym nawet odważył się popełnić jakiś niezwykły czyn, moja zwyczajność pozostanie jak ziarenka ryżu po odsianiu plew.

Sam nie wiedząc kiedy, wyobraziłem sobie siebie jako niewielkie, ciche, pełne liści drzewko stojące przed opatem Zenkaiem.

– Czy wystarczy żyć tak, jak ludzie nas widzą?

– To nie jest możliwe. Ale jeśli zrobi się coś dziwnego, ludzie zaczną patrzeć na nas w nowy sposób i to nowe uznają za normalne. Ludzie łatwo zapominają.

– Które z moich ja przetrwa? Czy moje ja, tak jak widzą mnie ludzie, czy też moje ja, tak jak ja o sobie myślę?

– Oba szybko dobiegną końca. Nawet jeżeli się uprzesz i będziesz próbował zmusić je do przetrwania, i tak kiedyś znów dobiegną końca. W czasie jazdy pociągu pasażerowie się nie poruszają. Ale gdy pociąg staje, pasażerowie muszą zacząć iść. I jazda dobiega końca, i odpoczynek dobiega końca. Śmierć jest pewnie ostatnim odpoczynkiem, lecz i tak nie wiemy, jak długo on potrwa.

– Proszę mi zwrócić w duszę – powiedziałem w końcu. – Nie jestem taki, jaki się wydaje. Proszę dostrzec moje prawdziwe zamiary.

Opat Zenkai przyłożył czarkę z sake do ust i bacznie mi się przyglądał. Zawisnął nade mną ciężar ciszy jak wielki, ciemny, pokryty dachówką i mokry od deszczu dach Rokuonji. Drżałem. Nagle opat Zenkai wybuchnął wesołym śmiechem.

– Nie potrzebuję ci zaglądać w duszę. Wszystko jest wypisane na twojej twarzy – powiedział.

Czułem, że zostałem całkowicie, kompletnie zrozumiany. Po raz pierwszy miałem w sobie pustkę. Odwaga do wypełnienia czynu na nowo zagotowała się we mnie jak woda i szybko zaczęła wypełniać ową pustkę.

Opat wrócił. Była dziewiąta wieczorem. Jak zwykle czterech strażników wyszło na obchód. Nic nie odbiegało od normy.

Opat napił się sake z gościem i o pół do pierwszej w nocy jeden z akolitów poprowadził gościa do jego pokoju. Potem opat wziął kąpiel, czyli – jak tu mówiono – „zażył wód”, i o pierwszej w nocy drugiego lipca odezwał się głos kołatki, obwieszczający koniec nocnej warty, i w świątyni zapadła cisza. Deszcz nadal padał bezgłośnie.

Siedziałem samotnie na rozłożonej pościeli. Rozmyślałem nad nocą, która osiadała nad Rokuonji. Stopniowo rósł jej ciężar i gęstość, kolumny i drewniane drzwi podtrzymujące tę wiekową noc w moim pięciomatowym składziku wygładzały dostojnie.

Spróbowałem się zająknąć, nie wydając głosu. Jedno słowo pojawiło się w końcu na moich wargach, najpierw zirytowawszy mnie bardzo, tak jak gdy szukając czegoś sięgamy do torby i nie możemy tego wyciągnąć, bo przedmiot zaczepił się o coś po drodze. Ciężar i gęstość mojego wewnętrznego świata przypominały ciężar i gęstość tej nocy i słowa wydobywały się jak skrzypiące wiadro z głębokiej studni nocy.

Już niedługo. Jeszcze trochę cierpliwości – myślałem. Ten zardzewiały zamek pomiędzy moim światem a światem zewnętrznym otworzy się gładko. Świat wewnętrzny i zewnętrzny staną się przewiewne, gdy wiatr będzie swobodnie hulał tam i z powrotem. Wiadro uniesie się lekko, jak ptak uderzając skrzydłami, wszystko rozpostrze się przede mną jak olbrzymia łąka i tajemnicza komnata zniknie... Mam to już przed oczami. Moje ręce już prawie tego dosięgają...

Wypełniony szczęściem siedziałem tak przez godzinę w ciemności. Wydawało mi się, że nigdy przedtem nie byłem taki szczęśliwy... nagle wstałem pośród ciemności. Ukradkiem przemknąłem się za Wielką Biblioteką, nałożyłem uprzednio przygotowane słomiane sandały i poszedłem wśród mżawki wzdłuż rowu ciągnącego się za świątynią w kierunku warsztatu. W warsztacie nie było drewna i wokół błdził zapach zmoczonych deszczem rozrzuconych wiórów. Przechowywano tu słomę. Naraz kupuje się po czterdzieści wiązek, tej nocy pozostały tu już jedynie trzy, bo większość słomy już zużyto.

Wziąłem te trzy wiązki pod pachę i zawróciłem, idąc brzegiem pola. Za kuchnią panowała cisza. Skręciłem za róg i doszedłem do pokoju diakona, gdy w oknie wychodka po tamtej stronie nagle zapaliło się światło. Zatrzymałem się i przycupnąłem. Z wychodka dobiegł odgłos chrząkania. Brzmiało jak głos diakona. Potem usłyszałem dźwięk oddawanego moczu, który ciągnął się w nieskończoność.

Bąłem się, że słoma zamoknie na deszczu, pochylony okrywałem ją piersią. Wśród paproci chwiejących się od lekkiego wiatru rozeszła się woń wychodka, ostra z powodu deszczu. Ustał plusk strumienia moczu. Usłyszałem odgłos niepewnie poruszającego się ciała, uderzającego o drewnianą ścianę. Diakon pewnie nie całkiem się obudził. Zgasło światło w oknie. Znowu wziąłem pod pachę trzy wiązki słomy i ruszyłem na tyły Wielkiej Biblioteki.

Cały mój majątek składał się z wiklinowego pudła, w którym trzymałem rzeczy osobiste, i małego starego kuferka. Miałem zamiar to wszystko spalić. Wieczorem zapakowałem już moje książki, ubrania, mnisie szaty i inne drobiazgi. Chciałbym, aby doceniono moją staranność. Rzeczy, które mogły wydać odgłos przy wynoszeniu, takie jak na przykład pręt do rozpinania moskitiery, rzeczy, które nie spaliłyby się i pozostały jako dowody, jak na przykład popielniczka, szklanka czy butelka atramentu, owinąłem w poduszkę, potem w chustkę, robiąc w ten sposób oddzielny tobolek.

Do tego musiałem jeszcze spalić materac i dwie koldry. Po trochu wynosiłem te bagaże i układałem obok wyjścia na tyłach Wielkiej Biblioteki. Następnie poszedłem wyjąć z ram północne drzwiczki w Złotej Pagodzie.

Gwoździe wychodziły łatwo jeden po drugim, jakby były wbite w miękką ziemię. Oparłem się na pochylonych drzwiach całym ciałem i powierzchnia mokrego, spróchniałego drzewa przylgnęła do mojego policzka. Drzwi były lżejsze niż myślałem. Po wyjęciu położyłem je z boku na ziemi. We wnętrzu Złotej Pagody, które stało się teraz widoczne, rozpościerała się ciemność.

Drzwi były tak wąskie, że można było wejść do środka ustawivszy się bokiem. Zanurzyłem się w ciemności Złotej Pagody. Przede mną pojawiła się tajemnicza twarz; przebiegł mnie dreszcz. W znajdującej się przy drzwiach szklanej gablocie, zawierającej model Złotej Pagody, odbiła się moja własna twarz, oświetlona ogniem zapalki.

Nie miałem teraz czasu do stracenia, ale i tak dokładnie przyjrzałem się modelowi Złotej Pagody w gablocie. Ta mała Pagoda oświetlona księżycem zapalki z cieniami pełgającymi po ścianie, skuliła się, wypełniwszy swą delikatną drewnianą konstrukcję niepokojem. Natychmiast jednak pochłonęła ją ciemność. Zapalka wypaliła się.

Dziwne było, jak przejmując się czerwonawym punkikiem żarzącej się zgaszonej zapalki, zdeptałem ją starannie, jak ów student, którego widziałem wtedy w świątyni Myōshinji. Zapaliłem nową zapalkę. Przeszedłem obok sześciokątnej Komnaty Sutr i posągów buddyjskiej triady* i poszedłem do skrzynki na ofiary. Obita była rzędem listewek,

* Triada buddyjska – zazwyczaj posąg Amidy z mniejszymi posągami bodhisattwów Karunon i Seishi po obu stronach. Amida – główny Budda w buddyzmie mahajana; Budda Wiecznego Życia i Nieskończonej Światłości, panuje w Raju Zachodnim Czystej Ziemi. Kannon – bodhisattwa towarzyszący Amidzie, uosobienie miłosierdzia. Seishi – bodhisattwa towarzyszący Amidzie, uosobienie potęgi, czczony głównie jako jedno z bóstw triady.

których cienie w drżącym świetle zapalki poruszyły się jak fale. W głębi znajdowała się słynna drewniana rzeźba sioguna Ashikagi Yoshimitsu, zwana Rokuon'inden Michiyoshi i uznana za jeden ze skarbów kultury narodowej. Yoshimitsu siedział odziany w mnisie szaty o długich rękawach opadających po obu stronach, w dłoniach trzymał drewniane, ceremonialne berło. Szeroko otwarte oczy, niewielka ogolona głowa, szyja tonąca w kołnierzu mnisiej szaty. Oczy zabłysły w świetle zapalki, ale nie przestraszyłem się. Ta niewielka rzeźba wyglądała bardzo ponuro, i choć czczono ją tu, w części tego budynku, który sam zbudował, Yoshimitsu wyglądał, jakby zrezygnował już ze swojej dawnej władzy.

Otworzyłem zachodnie drzwi prowadzące na ganek Sōsei. Jak już wcześniej wspomniałem, były to dwuskrzydłowe składane drzwi otwierające się od wewnątrz. Nocne deszczowe niebo było jaśniejsze niż wewnątrz Złotej Pagody. Wilgotne drzwi otworzyły się z cichym skrzypieniem i wpuściły do środka granatowe powietrze nocy, pełne lekkiego wiatru.

Oczy Yoshimitsu, te oczy Yoshimitsu – myślałem, wyskoczywszy na dwór i biegnąc z powrotem do Wielkiej Biblioteki. – Wszystko odbędzie się na jego oczach. Na tych niewidzących oczach martwego świadka.

Gdy tak biegłem, coś grzechotało w kieszeni moich spodni. Było to pudełko zapalek. Zatrzymałem się i wepchnąwszy do pudełka papierową chusteczkę, uciszyłem to grzechotanie. Żaden dźwięk nie dobiegał z drugiej kieszeni, w której miałem zawinięte w chustkę do nosa fiolkę calmotinu i nóż. No i oczywiście nic nie dźwięczało w kieszeni kurtki, do której włożyłem słodkie bułki, ciastka z pastą fasolową i papierosy.

Potem rozpocząłem pracę mechaniczną. Zrobiłem cztery kursy i przeniósłem bagaż pozostawiony uprzednio przy wejściu do Wielkiej Biblioteki, i ułożyłem go przed posągiem Yoshimitsu. Najpierw przeniósłem materac i moskitierę bez podtrzymującego ją pręta. Potem dwie kołdry. Następnie kufer i wiklinowe pudło. A potem trzy wiązki słomy. Uło-

żyłem to wszystko byle jak, jedno na drugim, a słomę wepchnąłem pomiędzy kołdry i moskitierę. Ponieważ wydawało mi się, że moskitiera łatwo się zajmie, połowę jej rozciągnąłem na inne bagaże.

Na koniec wróciłem za Wielką Bibliotekę i wziąwszy tobolek zawierający tamte trudne do spalenia rzeczy, zaniósłem je na brzeg stawu na wschodnim krańcu Złotej Pagody. Pośrodku stawu widniał kamień zwany Yohakuseki. Stałem pod kilkoma sosenkami i ledwo udawało mi się ochronić od deszczu.

W stawie odbijało się nocne niebo i jego powierzchnia była biaława. Gęsta rzęsa wyglądała jakby dalej jeszcze ciągnął się po stawie ląd i gdzieś tam tylko widać było wodę. Deszcz nie był zbyt silny i nie rysował wzorów na powierzchni wody. Od deszczu nad stawem unosiła się mgła, w powietrzu była wilgoć i zdawało się, że staw ciągnie się w nieskończoność.

Wrzuciłem do wody kamyk. Woda plusnęła przesadnie głośno, jakby powietrze wokół mnie się rozerwało. Skuliłem się i trwałem bez ruchu. Pomyślałem, że przy pomocy ciszy uda mi się przytłumić ten dźwięk, który niechcący wydałem.

Włożyłem rękę do wody, ale przyczepiła się do niej letnia rzęsa. Najpierw wypuściłem z mokrej ręki do wody pręt do moskitiery. Następnie zanurzyłem popielniczkę i wypuściłem ją z ręki. Szklankę i butelkę atramentu zatopiłem tym samym sposobem. To było wszystko, co musiałem zatopić. Została poduszka i chusta, w które to wszystko było zawinięte. Teraz musiałem już tylko zanieść te rzeczy przed posąg Yoshimitsu i w końcu wreszcie podłożyć ogień.

Dokładnie tak jak przewidywałem, akurat wtedy nagle poczułem głód, ale mimo to wydawało mi się, że zostałem zdradzony. W kieszeni miałem słodkie bułki i ciastka z fasolową pastą, które zostały mi od wczoraj. Wytarłem mokrą rękę o brzeg kurtki i zacząłem jeść, jak głodne zwierzę. Nie czułem smaku. Mój żołądek głośno domagał się jedzenia i nie zależało mu na smaku. Wystarczyło szybko wpychać ciastka

do ust. Serce waliło mi jak młotem. Gdy w końcu wszystko przełknąłem, zacerpnąłem wody ze stawu i napiłem się.

Znajdowałem się o krok od czynu. Ukończyłem wszystkie przygotowania, stałem już po drugiej stronie i pozostało tylko rzucić się do działania. Powinno mi się udać łatwo przejść do czynu, trzeba tylko uczynić maleńki wysiłek.

Nie wyobrażałem sobie nawet, że między skończonymi przygotowaniami a moim czynem rozciągała się przepaść tak wielka, że otworzywszy usta, mogłaby pochłonąć całe moje życie. Patrzyłem wtedy na Złotą Pagodę, chcąc się z nią pożegnać po raz ostatni.

Złota Pagoda majaczyła w ciemnościach deszczowej nocy, jej kontur był niewyraźny. Stała czarna, zupełnie jakby noc się w niej skryztałizowała. Kiedy wytrzymałem wzrok, mogłem dostrzec trzecią kondygnację Kukyōchō, gdy budowla nagle się zwężyła, oraz las wąskich kolumieniek na poziomach Hosuiin i Chōondō. Jednak te szczegóły, które niegdyś tak mnie wzruszały, teraz roztopiły się w jednobarwnej ciemności.

Lecz gdy moje wspomnienia piękna nasilały się, ta ciemność na moje życzenie stawała się tłem, na którym mogłem do woli malować swoje wizje. W tym ciemnym, skulonym kształcie kryła się cała postać tego, co uważałem za piękno. Dzięki sile wspomnień cząsteczki piękna zaczęły jedna po drugiej połyskiwać w ciemności, ten połysk się rozprzestrzeniał i w końcu w tym dziwnym świetle czasu, które nie było ani dniem, ani nocą, wyraźnie ukazała się przede mną Złota Pagoda. Jeszcze nigdy przedtem Złota Pagoda nie ukazała mi się w takiej doskonałej postaci, pełna blasku w każdym szczególe. Czulem się tak, jakbym posiadał umiejętność widzenia ślepeca. Złota Pagoda stała się przezroczysta od światła, które sama wydzielała. I nawet stojąc na zewnątrz wyraźnie widziałem malowidła przedstawiające muzykujące anioły na suficie Chōondō i odpadającą starą pozłotę na ścianach Kukyōchō. Delikatna zewnętrzna konstrukcja Pagody zlała się z jej wnętrzem. Moje oczy patrzyły na całość

i widziały konstrukcję i jasny kontur motywu, dekoracje i starannie powtórzone szczegóły, które czyniły ten motyw konkretnym, efekty kontrastów i symetrii. Kondygnacje Hosuiin i Chōondō miały tę samą szerokość i mimo że była pomiędzy nimi niewielka różnica, spoczywały jedna na drugiej pokryte cieniem wystających okapów i wyglądały jak para podobnych do siebie snów, jak para wspomnień o podobnych przyjemnościach. I aby jedna z nich nie oddała się zapomnieniu, upewniały się wzajemnie i dlatego sen stawał się rzeczywistością, a przyjemność stała się konstrukcją. Wieńczył je lekko zwężający się kształt trzeciej kondygnacji – Kukyōchō. Wcześniej potwierdzona rzeczywistość teraz rozpadała się, była uogólniana przez szlachetną filozofię tych wspaniałych, ciemnych czasów i podporządkowywała się jej. A wysoko, na szczycie pokrytego dachówką dachu, brązowy feniks dotykał długiej, pozbawionej światła nocy.

Jednak to jeszcze nie zadowoliło architekta. Po zachodniej stronie Hosuiin dodał maleńki Sōsei, ganeczek na wodzie podobny do altanki wędkarza. Wydawało się, że na to zachwianie symetrii postawił całą siłę piękna, w konstrukcji zaś wyraził metafizyczny opór. Mimo że Sōsei wcale nie sięgał daleko w głąb stawu, wyglądał jakby uciekał w nieskończoność od centrum Pagody. Jak ptak, który odleciał od głównego budynku, Sōsei z rozłożonymi skrzydłami uciekał w głąb stawu ku wszystkim rzeczom doczesnym. Był prawdopodobnie mostem przerzuconym od ustalonego porządku świata ku rzeczom niepewnym, ku światu zmysłów. Tak, dusza Złotej Pagody rozpoczynała się od Sōsei, przypominającego przerwany w połowie most, kryła się w trzech kondygnacjach i znów uciekała przez ten most. A to dlatego, że drżąca na powierzchni stawu wielka siła zmysłów była źródłem ukrytej siły, która zbudowała Złotą Pagodę, i że ta siła, po tym jak nadano jej porządek i stworzyła piękną, trzypiętrową konstrukcję, nie mogła już dłużej tam mieszkać i nie pozostawało jej nic innego poza ucieczką po ganku Sōsei ku powierzchni stawu, ku drzeniu nieograniczonej

zmysłowości, ku rodzinnej ziemi. Patrząc na poranną i wieczorną mgłę błędzącą po stawie Kyōkochi, zawsze myślałem, że to właśnie tu musi mieszkać ta ogromna zmysłowa siła, która zbudowała Złotą Pagodę.

Piękno uogólniało niezgodę i sprzeczności wszystkich części budowli, wszelką dysharmonię i do tego panowało nad nimi! Jak sutra pracowicie skopiowana, litera po literze zapisana złotym proszkiem na ciemnogrnatowym papierze, tak ta budowla powstała narysowana złotym proszkiem w pozbawionej światła długiej nocy. Nie wiedziałem jednak, czy piękno było Złotą Pagodą, czy też może było jak nicość nocy spowijającej ją. Prawdopodobnie nie było ani jednym, ani drugim. Było szczególnie i całością, Złotą Pagodą i spowijającą ją nocą. Wydawało mi się, że tajemnica piękna Złotej Pagody, która tak mnie niegdyś męczyła, była w połowie rozwiązana. A to dlatego, że gdy spojrzałem kolejno na piękno wszystkich szczegółów: kolumnienek, balustrad, okiennic, drzwiczek w chińskim stylu, łukowatych okien, opadającego łukiem dachu... na Hosuiin, Chōondō, Kukyōchō, na Sōsei... na ich odbicie w stawie, na niewielkie wysepki, sosny, na przystań, zrozumiałem, że piękno wcale nie kończy się na szczegółach, nie jest kompletne dzięki szczegółom, ale że w każdym szczególe kryje się zapowiedź kolejnego piękna. Piękno szczegółu było pełne niepokoju. Marzyło o pełni, ale nie znało kompletności, uwodziło następne piękno, nieznanne piękno. I tak jedna zapowiedź piękna łączyła się z drugą, zapowiedź piękna, które nie istniało w poszczególnych rzeczach, stała się po prostu motywem przewodnim Złotej Pagody. Te zapowiedzi były znakiem nicości. To właśnie nicość była strukturą tego piękna. W tej niekompletności szczegółów piękna naturalnie kryła się zapowiedź nicości, a tak starannie wyrzeźbiony z drewna delikatny budynek drżał w przeczuciu nicości, jak drży na wietrze ozdobny budyjski naszyjnik yōraku.

A mimo to piękno Złotej Pagody nigdy nie przemijało! Zawsze odbijało się echem. Jak ktoś, kto cierpi na chroniczne dzwonięcie w uszach, zawsze i wszędzie słyszałem echo

piękna Złotej Pagody i przywykłem do niego. Gdyby chciał przyrównać ten dźwięk do czegoś, to można by powiedzieć, że brzmiał jak złoty dzwoneczek dzwoniący od pięciu i pół wieku lub jak niewielka harfa koto. Gdyby ten dźwięk miał ustać...

Ogarnęło mnie straszliwe zmęczenie. Moja wizja Złotej Pagody była nadal wyraźnie widoczna ponad tą prawdziwą, okrytą ciemnością Pagodą. Nie przestała połyskiwać. Balustrada Hosuiin nad samą wodą skromnie się wycofała, a balustrada Chōondō, podtrzymywana przez wsporniki w stylu indyjskim przy okapach Hosuiin, wypinała pierś w stronę stawu. Okapy jaśniały w świetle odbitym od stawu, drzenie wody niepewnie odbijało się w nich i poruszało. To właśnie to światło wody powodowało, że Złota Pagoda oświetlona zachodzącym słońcem lub blaskiem księżyca wyglądała, jakby tajemniczo płynęła, jakby poruszała skrzydłami. Dzięki odbiciu w drżącej wodzie rozluźniały się wiązania tej solidnej farby i w takich chwilach Złota Pagoda wyglądała, jakby była zrobiona z wiecznie poruszających się substancji, takich jak wiatr, woda i ogień.

Piękność Złotej Pagody nie miała sobie równych. Zrozumiałem, skąd się wzięło moje ogromne zmęczenie. Piękno, korzystając z ostatniej szansy, jeszcze raz ukazywało swoją siłę i próbowało mnie powstrzymać tą niemocą, która ogarniała mnie już tyle razy wcześniej. Moje ręce i nogi były jak sparaliżowane. Ja, który jeszcze przed chwilą byłem o krok od czynu, teraz znów cofnąłem się daleko.

– Wszystko przygotowałem tak, że byłem o krok od czynu – wyszeptalem. – Dokładnie ujrzałem swój czyn w marzeniach, przeżyłem go w marzeniach... czy jest jeszcze potrzeba popełniania samego czynu? Czyż nie byłoby to zbędne? Kashiwagi prawdopodobnie miał rację. Powiedział, że to nie czyny, lecz poznanie zmienia świat. Jest też poznanie, które próbuje dokładnie naśladować czyn. Moje należy do tego gatunku. I to dzięki niemu czyny stają się naprawdę nieważne. Gdy się tak zastanowić, to czy moje skrupulatne

przygotowania nie były właśnie po to, by zdobyć ostateczne poznanie i nie musieć popępniać tego czynu?

Popatrzcie. Teraz czyn stał się dla mnie tylko czymś w rodzaju dodatku. Wydostał się z mojego życia, wydostał się z mojej woli i jak jakaś zimna żelazna maszyna stoi przede mną i czeka, by go uruchomić. Wydawało się, że pomiędzy mną a czynem nie było żadnego związku, połączenia. Dotąd jestem ja, a dalej to nie ja... Dlaczego usiłuję stać się nie-mną?

Oparłem się o pień sosny. Zachwyciła mnie zimna, mokra kora drzewa. Czulem, że to wrażenie, to zimno to właśnie ja. Świat stanął w miejscu nie zmieniony, nie miałem żadnych pragnień, byłem całkowicie usatysfakcjonowany.

– Co zrobić z tym zmęczeniem? – zastanawiałem się. – Mam chyba gorączkę, czuję się ociężały, nie mogę nawet swobodnie poruszać rękami. Muszę być chory.

Złota Pagoda jeszcze lśniła. Wyglądała jak wizja krajobrazu w *jissōkan** którą widział Shuntokumaru opisany w *Yorobōshi*** . Niewidomy Shuntokumaru ujrzał blask zachodzącego słońca, unoszący się nad morzem w Naniwa. Nie było chmur, widział więc skałę Eshima na Awaji, Akashi w Suma, a nawet morze koło Kii***, odbijające blask zachodzącego słońca.

* *Jissōkan* – sposób patrzenia na zachodzące słońce (na zachodzie jest raj z Buddą Amidą) i myślenie o Czystej Ziemi (raj), dostrzeżenie prawdy w sercu – jeden z 16 sposobów patrzenia, wyjaśniony w sutrze *Kanmuryōjū-kyō*.

** *Yoroboshi* (Wędrowni mnich) – sztuka teatru *nō* autorstwa Motomasa Kanze (ok. 1394–1432), aktora i twórcy sztuk teatru *nō*. Bohaterem *Yoroboshi* jest ślepy wędrujący mnich Shuntokumaru, którego z powodu pomówienia ojciec wygania z domu.

*** Wybrzeże w Naniwa – wybrzeże w okolicach dzisiejszej Osaki. Skała Eshima na Awaji – malownicza skała na północnym krańcu wyspy Awaji, położonej na Morzu Wewnętrznym w prefekturze Hyōgo. Akashi – miasto nad cieśniną o tej samej nazwie na Morzu Wewnętrznym, w pobliżu Awaji, w rejonie Suma, niedaleko Kobe, w prefekturze Hyōgo; piękny widok tego wybrzeża był od dawna opiewany w literaturze japońskiej. Wybrzeża Kii – wybrzeża półwyspu Kii od strony Morza Wewnętrznego, na południowy zachód od Kioto i Osaki.

Moje ciało jakby ścierpło i łzy płynęły bez ustanku. Nie szkodziłoby nawet, gdybym stał tu tak do rana i ktoś by mnie znalazł. Nie powiedziałbym ani słowa na swoje usprawiedliwienie.

Do tej pory długo rozpisywałem się o bezsilności wspomnień z młodości, ale muszę powiedzieć, że wspomnienia, które nagle powracają, posiadają wielką siłę odradzania się. Przeszłość nie tylko wciąga nas z powrotem w przyszłość. We wspomnieniach z przeszłości tu i tam znajdują się nie-liczne, lecz mocne stalowe sprężyny. I gdy w terażniejszości ich dotykamy, sprężyny natychmiast rozciągają się i przenoszą nas w przyszłość. Ciało miałem zeszywniałe, ale mój duch błędził gdzieś po omacku wśród wspomnień. Jakieś słowa pojawiły się na chwilę i zniknęły. Prawie udało mi się ich dosięgnąć, lecz znowu się ukryły. Te słowa mnie wołają. Prawdopodobnie chcą się do mnie zbliżyć, aby mi dodać odwagi.

„Zwróć się za siebie, zwróć się przed siebie, a gdy spotkasz, od razu zabij” – taka była pierwsza linijka. Słynne zdanie z rozdziału pod tytułem „Objaśnienia dla uczniów” ze zbioru Rinzairoku. A potem przypominałem sobie cały tekst, słowo za słowem. „Kiedy spotkasz świętego, zabij go, kiedy spotkasz swojego przodka, zabij go, kiedy spotkasz ucznia Buddy, zabij go, kiedy spotkasz swoich rodziców, zabij ich, kiedy spotkasz krewnego, zabij go, dopiero wtedy będziesz zbawiony. Zostaniesz zbawiony i uwolniony od rzeczy materialnych”. Te słowa wyrwały mnie z bezsilności, w którą popadłem. Nagle całe moje ciało wypełniło się siłą. Jakaś część mnie nadal uparcie twierdziła, że czyn, który mam popęlnić, jest beużyteczny, lecz moja siła nie bała się robienia niczego na próżno. Ponieważ czyn był beużyteczny, musiałem go popęlnić.

Zwinąłem poduszkę i chustkę, które leżały obok, włożyłem je pod pachę i wstałem. Spojrzałem w stronę Złotej Pagody. Jej błyszcząca wizja z moich wyobrażeń zaczynała blednąć. Ciemność stopniowo pochłonęła balustrady, a rząd

kolumnienek stał się niewyraźny. Zniknął blask wody, zniknęło także światło, odbijające się w okapach dachów. Wkrótce wszystkie szczegóły skryły się w ciemnościach nocy i Złota Pagoda stała się jedynie czarnym niewyraźnym zarysem.

Biegłem. Okrążyłem świątynię od strony północnej. Moje nogi przywykły już i nie potykałem się. Ciemność otwierała się przede mną i pokazywała mi drogę. Od Sōsei przeskoczyłem do zachodniego wejścia, do tych drewnianych dwuskrzydłowych drzwiczek, które uprzednio zostawiłem otwarte. Poduszkę i chustę rzuciłem na stertę moich rzeczy. Serce biło mi w piersi pogodnym rytmem, ręce miałem mokre i lekko drżące. W dodatku zapalki też zamokły. Pierwsza nie chciała się zapalić. Druga zapaliła się, ale potem złamała. Trzecia zapaliła się, oświetlając wnętrze dłoni, osłaniającej zapalkę od wiatru.

Szukałem słomy. Zapomniałem już, że niedawno sam ją powtykałem tu i tam pomiędzy pakunkami. Gdy ją wreszcie znalazłem, zapalka dopaliła się. Przykucnąłem i tym razem zapaliłem dwie zapalki naraz.

Ogień wyrysował skomplikowane cienie sterty słomy, przyniósł zapach wyschniętych łąk i po trochu rozszedł się we wszystkich kierunkach. Następnie skrył się w unoszącym się dymie. Lecz niespodziewanie w dali ukazał się płomień, wydymając zieloną moskitierę. Wydało mi się, że wszystko wokoło nagle ożyło.

W jednej chwili mój umysł rozjaśnił się. Miałem ograniczoną liczbę zapalek. Podbiegłem więc z innej strony i starając się nie zmarnować zapalki, podpaliłem inną wiązkę słomy. Rozpalający się ogień dodał mi otuchy. Dawniej, gdy z kolegami paliliśmy ogniska, byłem bardzo dobry w rozpalaniu ognia.

We wnętrzu Hosuiin pojawił się wielki pełgający cień. Posągi triady – Buddy Amidy, Kannon i Seishi, zostały wyraźnie oświetlone. Zabłyśły oczy Yoshimitsu. Cień tej drewnianej rzeźby falował w tle.

Prawie nie czułem gorąca. Widząc, jak ogień miarowo przesuwa się do skrzynki ofiarnej, pomyślałem, że teraz już musi się udać.

Zupełnie zapomniałem o calmotynie i o nożu. Nagle przyszło mi do głowy, by zginąć w Kukyōchō w objęciach ognia. Uciekając od ognia, wbiegłem po wąskich schodach. Drzwi do Chōondō były otwarte, ale nie zastanowiło mnie to. Pewnie stary przewodnik zapomniał pozamykać drzwi na piętrze.

Dym doganiał mnie. Kaszłąc, patrzyłem na posąg bogini Kannon, przypisywany Eshinowi*, i na malowidła muzykujących aniołów na suficie. Chōondō stopniowo wypełniał dym. Wszedłem jeszcze wyżej i spróbowałem otworzyć drzwi wiodące do Kukyōchō. Nie otwierały się. Drzwi na drugie piętro były zamknięte na klucz.

Zastukałem w te drzwi. Stukałem bardzo głośno, ale sam tego nie słyszałem. Stukałem z całej siły. Wydawało mi się, że ktoś w Kukyōchō te drzwi dla mnie otworzy.

Myślę, że marzyłem o Kukyōchō jako miejscu mojej śmierci, ale ponieważ dym mnie już doganiał, pukałem w te drzwi pośpiesznie, zupełnie jakbym poszukiwał tam ratunku. Po drugiej stronie tych drzwi jest tylko niewielki kwadratowy pokój o boku dwudziestu dwóch stóp i siedmiu cali. W tamtej chwili wyraźnie marzyłem, że ten mały pokój, w którym w rzeczywistości pozlota prawie całkiem oblaża ze ścian, jest od podłogi do sufitu wyłożony złotem. Nie potrafię wyrazić, jak marzyłem o znalezieniu się w tym oślepiającym pokoju, gdy tak stukałem do drzwi. Myślałem, że tak czy inaczej muszę się tam dostać... Stukałem ze wszystkich sił. W końcu, ponieważ stukanie rękami nie skutkowało, uderzyłem w drzwi całym ciałem. Drzwi się nie otworzyły.

* Eshin Sōzu – pseudonim Genshina (942–1017), mnicha epoki Heian, wyznawcy buddyjskiej sekty tendai. Eshin często rzeźbił sakralne posągi; uważany za założyciela szkoły artystycznej jego imienia.

Chōondō wypełniło się dymem. Z dołu dochodziło trzaskanie ognia. Dławilem się od dymu i omal nie straciłem przytomności. Zanosząc się kaszlem, jeszcze raz zastukałem w drzwi. Nie otworzyły się.

Gdy w pewnej chwili uświadomiłem sobie, że niewątpliwie zostałem odrzucony, nie zawahałem się. Odwróciłem się i rzuciłem się biegiem w dół po schodach. Przebiegłem przez kłęby dymu aż do Hosuiin, prawdopodobnie przedostałem się przez ogień. W końcu dotarłem do zachodnich drzwi i wyskoczyłem na zewnątrz. Potem, sam nie wiedząc dokąd się kieruję, pomknąłem jak błyskawica.

Biegłem. To wręcz nie do uwierzenia, jak długo biegłem bez odpoczynku. Nie pamiętam nawet, którędy biegłem. Prawdopodobnie obok Wieży Gwiazdy Polarnej, przez tylną bramę po północnej stronie, minąłem Myōōden, wbiegłem górską drogą obrośniętą bambusową trawą i azaliami i dotarłem na szczyt Hidari Daimonjiyama.

To na pewno na tej górze, osłaniającej Złotą Pagodę dokładnie od północy, leżałem pośród trawy w cieniu sosen, dysząc i próbując uspokoić oszalałe bicie serca. Gdy usłyszałem krzyk spłoszonego ptaka, wróciła mi jasność umysłu. Ptak wzleciał mi przed samym nosem, bijąc wielkimi skrzydłami. Leżałem na plecach i patrzyłem w nocne niebo. Niezliczone ptaki z krzykiem przelatywały ponad wierzchołkami sosen. Tu i ówdzie iskry tańczyły już nade mną. Usiadłem i spojrzałem na dolinę, w której stała Złota Pagoda. Dobiegł stamtąd jakiś osobliwy dźwięk. Jakby odgłos fajerków. Jakby jednocześnie trzasnęło w stawach niezliczonych ludzi.

Z miejsca, gdzie się zatrzymałem, nie było widać Złotej Pagody. Jedynie wirujący słup dymu i wznoszący się ku niebu ogień. Iskry z ogromnego ognia wlatywały pomiędzy drzewami i niebo nad Złotą Pagodą wyglądało, jakby ktoś zasiał tam złoty piasek.

Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami i długo się wpatrywałem.

Gdy przyszedłem do siebie, zauważyłem, że całe ciało miałem pokryte bąblami i zadrapaniami i że krwawiłem. Z palców też sączyła się krew; prawdopodobnie poraniłem się, stukając do drzwi. Zacząłem lizać rany jak zwierzę, któremu udało się uciec.

Pogrzebałem w kieszeni i znalazłem nóż oraz fiolkę calmotinu zawinięte w chusteczkę. Rzuciłem to celując w środek doliny.

W drugiej kieszeni wymacałem papierosy. Zapaliłem jednego. I jak człowiek, który pali papierosa po zakończeniu pracy, pomyślałem sobie, że chce mi się żyć.

14 sierpnia 1956 roku

Mishima Yukio i Złota Pagoda

Mishima Yukio (właściwie Hiraoka Kimitake; 1925–1970) urodził się w Tokio 14 stycznia, a zmarł śmiercią samobójczą 25 listopada. Nauki pobierał w elitarnej szkole Gakushūin. Jeszcze jako licealista opublikował opowiadanie *Hanazakari-no mori* (Las w rozkwicie, 1944) pod pseudonimem Mishima Yukio, który odtąd stał się nazwiskiem pisarza. Studiował prawo na Uniwersytecie Tokijskim (1944–1947), zdał egzamin kwalifikacyjny na wyższego urzędnika państwowego i idąc w ślady ojca i dziadka, rozpoczął pracę w Ministerstwie Finansów. Po niespełna roku zrezygnował z kariery urzędniczej, ponieważ już wtedy postanowił zostać pisarzem. Właśnie kończył powieść *Kamen-no kokuhaku* (Wyznania maski, 1949). Przyniosła ona rozgłos młodemu autorowi dzięki śmiałej ekspresji niepokojów dojrzewającego chłopca, który odkrył w sobie skłonności homoseksualne i zrozumiał, że nie może żyć normalnie, jak jego koledzy. Do spraw homoseksualizmu wrócił w dwuczęściowej powieści *Kinjiki* (Zakazane barwy, 1951, cz. II – 1953).

Kilka lat później Mishima odwiedził Grecję. Fascynacji jej tradycją i pięknem krajobrazu dał wyraz w romansie *Shiosai* (Szum fal, 1954), wydanym w Polsce pod tytułem *Ballada o miłości* (1972). Przetwarzając grecką idyllę o Dafnis i Chloe, japońskich bohaterów umieścił na pięknej wysepce Utajima, czyli Wyspa Pieśni, w pobliżu Ise.

Nastroje i okrucieństwo rozczarowanej młodzieży, jej poczucie nihilizmu i moralnego chaosu w powojennej Japonii wyraził w powieściach *Kyōko-no ie* (Dom Kyōko, 1959), *Uta-*

ge-no ato (Po bankiecie, 1960) i w *Gogo-no eikō* (Na uwięzi, dosł. „Po południu na holu”, 1963).

Mishima interesował się nie tylko tradycją grecką, lecz także klasycyzmem francuskim oraz pięknem rodzimego dramatu *nō*. Najlepszym utworem wzorowanym na tradycji francuskiej jest sztuka *Sado-kōshaku-fujin* (Madame de Sade, 1965). Natomiast wzorce teatru *nō* przetworzył w *Kindai-nō-gakushū* (Zbiór współczesnych dramatów *nō*, 1965), wystawianych za granicą, również w Polsce. W obu dramatach pisał o relacjach między iluzją a rzeczywistością, między snem a jawą i o znaczeniu sztuki penetrującej zakazane obszary życia ludzkiego.

Wstrząsającą opowieścią jest *Yūkoku* (Umiłowanie ojczyzny, 1960), arcydzieło sztuki nowelistycznej, w którym poczucie honoru decyduje o zachowaniu i losie bohaterów. Honor ma tutaj rodowód samurajski, ściśle związany z „drogą wojownika” *bushidō*. Mishima wstąpił na tę drogę na początku lat sześćdziesiątych, publikując *Umiłowanie ojczyzny*. Stopniowo zaangażował się politycznie po stronie patriotycznej prawicy. Przeszedł trening w wojsku, założył stowarzyszenie umundurowane Stowarzyszenie Tarczy. I tak zbliżał się do tragicznego końca, do którego przygotowywał się fizycznie, psychicznie i ideologicznie. Dowodem tego są artykuły „*Bunka-bōeiron*” (W obronie kultury, 1969) czy „*Taiyō-no tetsu*” (Słońce i żelazo, 1968). Najważniejszą księgą wiary stała się *Hagakure-nyūmon* (Wstęp do Hagakure, 1967), nawiązująca do osiemnastowiecznej księgi cnót samurajskich – poddaństwa, ofiarności, lojalności wobec pana i gotowości na śmierć.

Pod koniec życia Mishima napisał tetralogię *Hōjō-no umi* (Płodne morze, 1968–1970), cykl powieści połączonych postacią bohatera i wątkiem buddyjskiej wiary w reinkarnację. Mishima potwierdził tu osiągnięte mistrzostwo języka, zwłaszcza w opisie scen lirycznych, nacechowanych urodą i elegancją średniowiecznej epoki dworskiej.

Złota Pagoda (Kinkakuji, 1956), powieść znana też jako „Złoty Pawilon” lub ściślej – „Świątynia Złotego Pawilonu”,

w Japonii stała się bestsellerem, została też przeniesiona na scenę i ekran filmowy. Przyczyny popularności można upatrywać w wykorzystanym przez Mishimę szokującym Japończyków wydarzeniu, a mianowicie podpaleniu skarbu narodowego – Kinkakuji, w Kioto w 1950 roku. Położony w pięknej scenerii przybytek buddyjski szkoły zen był jednym z ulubionych i najczęściej odwiedzanych zabytków Starej Stolicy. Przetrwał wojnę – mimo że Kioto było na liście miast skazanych na zagładę atomową – a spłonął z ręki buddyjskiego ucznia. To przepiękna architektura ogrodowa sprzed pięciuset lat, z czasów sioguna Ashikagi Yoshimitsu – estety i mecenasa kultury, który zrezygnował z władzy i wstąpił do klasztoru. W XIV wieku znużony życiem polityk w tym właśnie pawilonie słuchał muzyki, oglądał przedstawienia teatralne, uczestniczył w wieczorach układania wierszy. Ten piękny budynek, owiany legendą, symbolizujący wyrafinowaną kulturę czasów średniowiecznych, rozbudził nienawiść w duszy młodego akolity, brzydkiego, jękającego się i zapewne pogardzanego przez innych.

Proces podżegacza i niedoszłego samobójcy, psychopaty schizofrenika, był szeroko relacjonowany i interpretowany przez media. Mishimę zainteresowała obsesja pięknem chorowitego mężczyzny, pozbawionego możliwości samorealizacji fizycznej i psychicznej i stopniowo zmierzającego do samodestrukcji. Nie obchodziły go uwarunkowania rodzinne czy w ogóle społeczne przestępstwa. Szczegóły poznane w czasie przewodu sądowego wykorzystał tylko jako rusztowanie misternej konstrukcji powieściowej. Skoncentrował się na sprawach uwikłania bohatera w konflikty z niemal wszystkimi regułami życia klasztornego, mającymi prowadzić do uszlachetnienia ducha i w końcu do wyższej formy egzystencji po osiągnięciu „oświecenia” satori.

Dookoła bohatera powieści, Mizoguchiego, toczy się życie pozorów i złudzeń. Akolici, poddani treningowi umysłowemu, biorą udział w lekcjach buddyzmu, uczestniczą też w codziennych rytuałach, uczeni są interpretacji zagadkowych

kōanów. Nasz bohater obraca się w tym klasztorze w zgodzie z przyjętym rozkładem zajęć. Zaczyna też studia w jednej ze szkół buddyjskich w Kioto, więc często bywa poza terenem świątyni. Zaprzyjaźnia się z dwoma kolegami. Wszystko toczy się normalnie. Ale to są tylko pozory, ponieważ ani jego koledzy nie są przeciętni i „normalni”, ani stosunki między nimi nie wyzwalają bohatera z mrocznej samotności i desperackiej walki z nieposkromioną władzą piękna świątyni, która zazdrośnie strzeże swego kochanka przed stosunkami z kobietami. Tak, Złoty Pawilon staje się dla niego kochanką – Złotą Pagodą, władczą i bezwzględną...

Z drugiej strony opiekun klasztorny, opat – znajomy zmarłego ojca bohatera, nie jest przez niego traktowany jako mistrz. Okazuje się, że prowadzi podwójne życie – z jednej strony nauczyciela, a z drugiej zabawiającego się z gejszami rozpustnika. Mizoguchi nie spotkał więc ani jednego człowieka, który mógłby go wprowadzić na bezpieczną drogę życia. Stał się nihilistą. Jego droga została określona przez los czy karmę. Nic nie może już powstrzymać biegu wydarzeń. Piękno nie czyni człowieka lepszym. W sporze estetyki z etyką przegrywa etyka. Piękno ma niszczyielską moc – wbrew obiegowemu przekonaniu.

Jakie więc pytania stawia Mishima? Jakie wnioski sugeruje, przedstawiając zmagania nieszczęsnego samotnika z uświęconym tradycją symbolem piękna? Czy wtedy autor zdawał sobie sprawę, co uczyni za kilkanaście lat ze swym ciałem, zdrowym i w pewnym sensie pięknym (kiedyś było chorowite i brzydkie)? W powieści nie ma odpowiedzi na pytania i wątpliwości czytelnika. Autor nie ocenia zachowań bohaterów, nie dzieli na czarnych i białych, granice między złem i dobrem zaciera, unikając jednoznacznej oceny wydarzeń i postępów. Hołduje – jak się zdaje – zasadzie względności wszelkich wartości. A mimo to odnajdujemy w powieści epizody, w których autor nie kryje swej stronnictwośći wobec cech kultury japońskiej. Ukazuje jej wysublimowany smak, delikatność uczuć, wyrafinowanie i finezję. W opozycji jednak –

i bez potępienia – sytuuje chłód i okrucieństwo, skrywane często pod obojętną maską. Niewątpliwie w ten sposób ukazuje drugą stronę japońskiego piękna – kompozycji kwiatowych, miłości, tekstów buddyjskich, wykładanych zasad. Znaki piękna i mądrości nie znajdują przedłużenia w realnym życiu przełożonych, są raczej dyskredytowane przez ich zachcianki i wykroczenia. Bohatera otacza więc urokliwe piękno japońskiej kultury, a z drugiej strony – brzydota, okrucieństwo, kalectwo, złośliwość i perwersyjność ludzi.

Nic w tej powieści nie jest pewne. Wszystko „zdaje się, że jest”, „wygląda na to, że coś robi”, jakby osłonięte mgłą, jak na obrazku namalowanym tuszem, na którym szczegóły są mało widoczne lub zaledwie zarysowane. I w dodatku to, co się wydaje rzeczywiste, często nie jest prawdą. Zazwyczaj później okazuje się, że „wygląd” wprowadza w błąd, o czym czytelnik dowiaduje się przy jakiejś innej okazji, jakby mimo woli. Sylwetki występujących postaci czasem okazują się niezupełnie takie same, jak autor je przez znaczną część powieści charakteryzował. Przykładem jest opat, zwany Nauczycielem lub Mistrzem, a więc kimś najważniejszym dla akolity. Zachowuje się jak przeciętny mężczyzna palący papierosy, pijący alkohol, żarłoczny i nie gardzący kobietami. Tę charakterystykę podważa scena, w której ten mężczyzna siedzi z głową między kolanami, zagłębiony w modlitwie jak zagubiony w życiu, zrozpaczony, cierpiący człowiek. Bohater Mizoguchi nie widzi w tym szczerego cierpienia opata, wyobraża sobie raczej zarys śpiącego zwierzęcia, kogoś bez dumy i godności. Podobnie interpretacja zagadkowych problemów zenistycznych ma swoją anty-interpretację. Najpierw Mistrz przyodziały w najwspanialsze szaty wyjaśnia z całym znanstwem i pietyzmem klasyczny tekst, później pokrętne wyjaśnienie tego tekstu daje ułomny, szpotawy Kashiwagi, człowiek o duszy wyrafinowanej, ale równie kalekiej jak jego stopy.

Złota Pagoda jest intrygującym i pasjonującym dramatem człowieka żyjącego złudzeniami, wyobcowanego z własnej

rodziny, ze środowiska uczniów i kolegów, żyjącego tylko uludą, która odebrała mu wszystko, co człowiekowi pozwala żyć normalnie, w ryzach obyczaju i codziennej rutyny: odebrała ojca, matkę, nauczyciela, kolegów i przede wszystkim – miłość do kobiety.

Europejskiego czytelnika pasjonuje także japońskość tej powieści. Już sam fakt, że główne postaci są wyznawcami lub uczniami medytacyjnej szkoły zen, prowadzi czytelnika w tajemniczy świat japońskiej filozofii życia, jaką niewątpliwie jest zen. Czytelnik stopniowo poznaje mądrości tej nauki, jej teraźniejszość i przeszłość. Poznaje techniki medytacyjne, ale także ich nadużycia lub fałszywą interpretację. Ulega pokusie filozoficznych mocy, ukrytych w naukach zen, aby wkrótce zostać ostrzeżonym przed skłonnością do bałwochwalczej wiary w wartości zen. Niekiedy nie jesteśmy pewni postawy Mishimy. Nie wiemy, czy opiewa piękno japońskiej kultury, którą symbolizuje Złota Pagoda, czy też – lub również – ostrzega przed groźną trucizną, czyhającą na tych, którzy poddają się złudnemu pięknu. Może Mishima tylko prowokuje, sugerując, że piękno nikogo nie uleczy, a sztuka jest tylko grą pozorów.

Nie ufam Mishimie. Ale też nie odrzucam jego prowokującej sugestii.

Mikołaj Melanowicz

Spis rozdziałów

Rozdział I	7
Rozdział II	32
Rozdział III	53
Rozdział IV	78
Rozdział V	102
Rozdział VI	128
Rozdział VII	148
Rozdział VIII	184
Rozdział IX	208
Rozdział X	226
Posłowie	249

日本文庫

ミコヤマノワヅチ 編

Powieść ta – jedno z najważniejszych dzieł Yukio Mishimy – mówi o buncie człowieka przeciw zastanym wartościom, zastygłym już w niemą formę. Formą tą człowiek jest urzeczony, a zarazem musi się przed nią bronić. Martwe piękno *Złotej Pagody* jest niosiącym Absolutem, z którym zmagają się bohater powieści Mishimy. Jego bunt jest protestem przeciw wzorcom krępującym naszą świadomość i nasze działanie.

三島由紀夫



金閣寺